

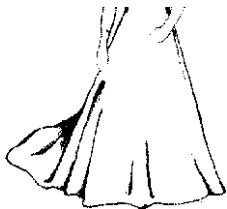
Powieści Meg Cabot

CHŁOPAK Z SĄSIEDZTWA
KIEDY CHŁOPAK POZNAJE DZIEWCZYNĘ
PAPLA
POSZŁA NA CAŁOŚĆ
ŚLEDZTWO NUMER XXL
WŁOSKIE SZALEŃSTWO
ZBRODNIE W ROZMIARZE XL

MEG
CABOT

Papla
wielkim mieście

Przekład
EDYTA IACZEWSKA



Rozdział 1

*Wcale nie wystarczy, żeby język odznaczał się klarownością
i rzeczowością... Musi jeszcze mieć cel.*

*Wprzecywnym razie od języka przechodzimy do gadaniny,
od gadaniny do bełkotu, a od bełkotu do nieporozumienia.*

René Daumal (1908-1944), francuski poeta i krytyk

Otwieram oczy i widząc poranne słońce, ukośnymi promieniami padające na Renoira zawieszonoego nad moim łóżkiem, przez kilka sekund nie mam pojęcia, gdzie jestem.

A potem sobie przypominam.

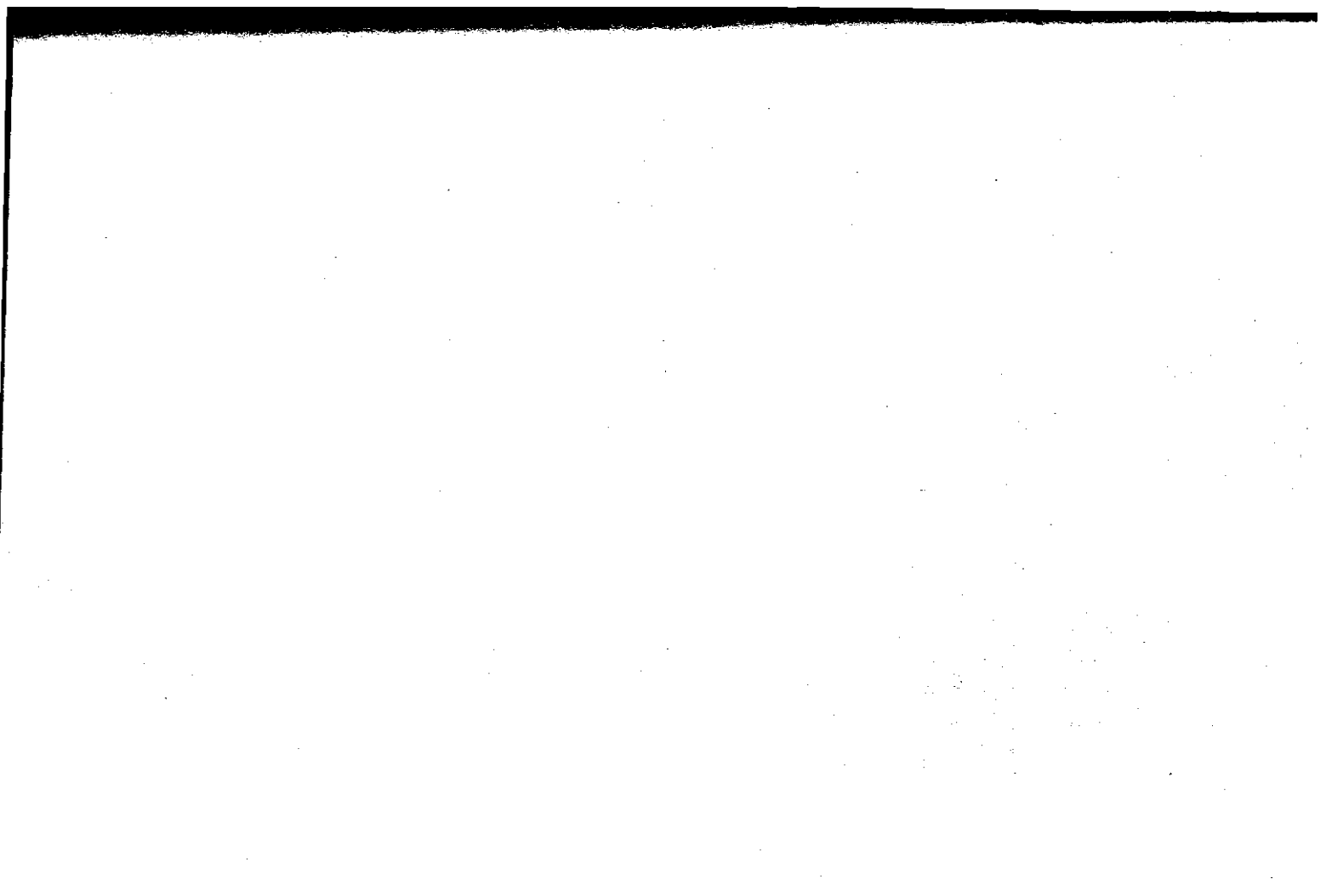
I moje serce podskakuje z podniecenia, a w głowie mi się kręci. Poważnie. Taka jestem podekscytowana.

I wcale nie tylko dlatego, że nad moim łóżkiem wisi Renoir, który... No właśnie. Jest prawdziwy, nie tak jak reprodukcja, którą miałam w swoim pokoju w akademiku. To oryginalny obraz, wyszedł spod pędzla samego mistrza impresjonizmu.

Z początku nie chciałam w to uwierzyć. No bo jak często zdarza się wam, że wchodzicie do czyjejs sypialni, a tam nad łóżkiem wisi oryginalny Renoir? Hm, nigdy. Przynajmniej mnie się nigdy nie zdarzyło.

Kiedy Lukę wyszedł z pokoju, ja zostałam, udając, że muszę jeszcze zajrzeć do łazienki. Ale zamiast tego zdjęłam espadryle, weszłam na łóżko i z bliska przyjrzałam się płótnu.

I miałam rację. Widać było te plamki farby, którymi Renoir tak starannie i szczegółowo odtworzył warstwy koronek przy mankietach rękawów małej dziewczynki. A te prążki na futrzekota, którego ona trzyma? To trochę bardziej wystające plamki farby. Tak, to na pewno prawdziwy Renoir.



I wisi nad łóżkiem, w którym się budzę... Nad tym samym łóżkiem, teraz zalanym promieniami słońca płynącego z wysokich okien po mojej lewej stronie... Promieniami słońca, które odbija się od budynku po drugiej stronie ulicy... A ten budynek to Metropolitan Museum of Art. Ten przy Central Parku. Na Piątej Alei. W Nowym Jorku.

Tak! Budzę się w Nowym Jorku!!! W Wielkim Jabłku! W mieście, które nigdy nie śpi (choć ja usiłuję zapewnić sobie przynajmniej osiem godzin snu na dobę, bo w przeciwnym razie powieki mam opuchnięte i zdaniem Shari robię się zgryźliwa)!

Ale te zawroty głowy ogarniają mnie z jeszcze innego powodu. Słońce, Renoir, Metropolitan, Piąta Aleja, Nowy Jork - nic nie da się porównać z tym, co mnie naprawdę ekscytuje... Jest lepsze niż to wszystko razem wzięte i nowe ciuchy z TJ Maxx na dodatek.

Ten powód leży właśnie tuż obok mnie w łóżku.

Popatrzcie tylko, jak słodko wygląda, kiedy śpi! Ale tak po męsku słodko, nie jak jakiś kociak. Łukę nie leży tutaj z szeroko otwartymi ustami i śliną cieknącą z kącika, jak się to zdarza mnie. (Wiem o tym, bo siostry mi mówiły. Zresztą zawsze, kiedy się budzę, mam na poduszce mokrą plamkę). Udaje mu się bardzo ładnie trzymać usta zamknięte.

A jego rzęsy są takie długie i wywinęte. Dlaczego ja nie mogę mieć takich rzęs? To nie fair. Przecież to ja jestem dziewczyną. To ja powinnam mieć długie wywinęte rzęsy, a nie takie krótkie i sterczące, które muszę podwijać podgrzaną suszarkązalotką i nakładać z siedem warstw tuszu, jeśli chcę wyglądać tak, jakbym w ogóle miała jakieś rzęsy.

Dobra, muszę przestać. Przestać obsesyjnie myśleć o rzęsach mojego chłopaka. Powinnam wstawać. Nie mogę przez cały dzień wylegiwać się w łóżku. Jestem przecież w Nowym Jorku!

No dobra, nie mam pracy. Ani mieszkania.

Bo ten Renoir? Owszem, należy do matki Luke'a. Tak jak łóżko. No i całe mieszkanie.

Ale ona je kupiła tylko dlatego, że wydawało jej się kiedyś, że się z ojcem Luke'a rozstana. Chociaż już się nie rozstają. Dzięki mnie. Więc powiedziała, że Łukę może korzystać z mieszkania, jak długo będzie chciał.

Szczęściarz z niego. Szkoda, że moja mama nie zamierzała rozstać się z moim ojcem i nie kupiła takiego totalnie wspaniałego mieszkania w Nowym Jorku w sąsiedztwie Metropolitan Museum, z którego teraz

korzystałaby tylko parę razy do roku, przyjeżdżając do miasta na zakupy, czy żeby od czasu do czasu obejrzeć spektakl baletowy.

Teraz serio, muszę już wstawać. Jak mogłabym leżeć w łóżku (wielkim i podwójnym, tak przy okazji, i niesamowicie wygodnym, pod białą miękką kołdrą wypchaną gęsim pierzem), skoro za naszymi drzwiami (no cóż, trzeba jeszcze zjechać windą i przejść przez elegancki, wykładany marmurem hol) na odkrycie czeka cały Nowy Jork?

Mojego chłopaka, oczywiście, też miło się odkrywa.

Tak dziwnie się czuję, kiedy to mówię... A nawet kiedy tylko o tym myślę. Mój chłopak.

Bo po raz pierwszy w życiu naprawdę mam chłopaka! Takiego jak Pan Bóg przykazał. Takiego, który rzeczywiście uważa mnie za swoją dziewczynę. Nie jest gejem i nie wykorzystuje mnie jako przykrywkę, żeby jego religijni rodzice nie odkryli, że tak naprawdę chodzi z facetem o imieniu Antonio. Nie próbuje rozkochać mnie w sobie tak bardzo, że bym zgodziła się, jeśli mi zaproponuje, trójkącik z udziałem swojej byłej, ze strachu, że w przeciwnym razie ze mną zerwie. Nie jest uzależnionym od hazardu naciągaczem, który wie, że mam odłożone mnóstwo kasy i że w razie czego za niego założę, jeśli popadnie w długi.

Nie żeby któraś z tych rzeczy spotkała mnie osobiście. To znaczy, nie więcej niż raz.

Lukę i ja jesteśmy razem. Nie mogę powiedzieć, że bym się trochę nie bała - no wiecie, kiedy wyjeżdżałam z Francji i wracałam do Ann Arbor - że być może nigdy więcej go nie zobaczę. Gdyby naprawdę wcale mu na mnie nie zależało i gdyby miał ochotę się mnie pozbyć, to nadarzała mu się po temu idealna okazja.

Ale on ciągle dzwonił. Najpierw z Francji, a potem z Houston, do kąd pojechał spakować wszystkie swoje rzeczy, zwolnić mieszkanie i pozbyć się samochodu, a potem z Nowego Jorku, kiedy już tu się sprowadził. Ciągle powtarzał, że nie może się doczekać, aż mnie znów zobaczy. Opowiadał mi wciąż od nowa o tych wszystkich rzeczach, które zamierzał ze mną zrobić, jak już się spotkamy.

A potem, kiedy w zeszłym tygodniu nareszcie tu przyjechałam, zrobił je wszystkie.

Ledwie mogę sama w to uwierzyć. To znaczy, że facet, który podobno mi się aż tak bardzo jak Lukę, rzeczywiście, odwzajemnia moje uczucie. Że to co nas łączy to nie tylko taki wakacyjny romans. Bo lato już się skończyło i teraz mamy jesień (no cóż, prawie), ale nadal jesteśmy

razem. Razem w Nowym Jorku, gdzie on będzie chodził do szkoły medycznej, a ja znajdę pracę w przemyśle mody i będę robiła coś - no cóż, związanego z modą - i razem spróbujemy poradzić sobie w tym mieście, które nigdy nie zasypia!

Jak tylko znajdę już pracę. Aha, i dach nad głową.

Ale jestem pewna, że Shari i mnie uda się niedługo znaleźć jakieś urocze *pied-a-terre*, które będziemy mogli nazywać domem. A dopóki go nie znajdziemy, mogę mieszkać kątem u Luke'a, a Shari może się zatrzymać w mieszkaniu z osobnym wejściem z ulicy, które w zeszłym tygodniu znalazł w East Village, jej chłopak, Chaz (słusznie zrobił, rezygnując z zaproszenia rodziców, żeby z powrotem wprowadził się do domu w Westchester, w którym dorastał - kiedy nie był w szkole z internatem - a z którego jego ojciec nadal codziennie rano dojeżdża do miasta do pracy).

I chociaż trudno powiedzieć, żeby to była naprawdę najlepsza okolica, nie jest to też najgorsze miejsce pod słońcem, bo leży blisko Uniwersytetu Nowojorskiego, na którym Chaz robi swój doktorat, i jest tanie. (To objęte kontrolą czynszów, trzypokojowe mieszkanie za zaledwie dwa patyki miesięcznie. I dobra, jeden z pokoiów jest przechodni. Ale i tak...)

I co z tego, że Shari widziała z okna salonu napad z nożem w rękę. Nieważne. To była tylko taka kłótnia rodzinna. Facet z kamienicy po drugiej stronie zaatakował nożem swoją ciężarną żonę i teściową. Przecież to nie tak, że na Manhattanie ludzie codziennie atakują nożem zupełnie obce osoby na ulicy.

A potem wszystko skończyło się dobrze. Nawet dla dziecka, które odebrali policjanci na frontowych schodach kamienicy, bo ta żona zaczęła przedwcześnie rodzić. Trzy kilo osiemset! I dobrze, jego tatę zapuszkowali w więziennej celi na River Island. Witaj w Nowym Jorku, mały Julio!

Jeśli chcecie znać moje zdanie, Chaz w duchu liczy na to, że nie znajdziemy żadnego mieszkania i Shari będzie musiała się do niego wprowadzić. Bo Chaz taki już bywa romantyczny.

To by było super. Wtedy Lukę i ja moglibyśmy do nich wpadać i wychodziłibyśmy gdzieś razem we czwórkę, zupełnie jak wtedy u Luke'a we Francji, kiedy Chaz mieszał dla nas kir royale, Shari wszystkich rozstawiała po kątach, a Lukę zajmował się muzyką i tak dalej...

I to by się naprawdę mogło zdarzyć, bo jak do tej pory Shari i mnie nie dopisywało szczęście, jeśli chodzi o mieszkania. To znaczy, odpowiedziałyśmy na jakiś tysiąc ogłoszeń i jak do tej pory albo ktoś nam sprzątał mieszkanie sprzed nosa, zanim któraś z nas zdołała dostać się tam

i je obejrzeć (żeby stwierdzić, czy w ogóle nadaje się do zamieszkania), albo okazywały się tak obrzydliwe, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby w czymś takim mieszkać (widziałam muszlę klozetową balansującą na drewnianych klockach nad dziurą w podłodze. I to była kawalerka w HelPs Kitchen za dwa tysiące dwieście dolarów miesięcznie).

Ale wszystko będzie dobrze. Coś sobie znajdziemy. I ja w końcu znajdę pracę. Nie będę się niepotrzebnie stresować.

Jak na razie.

Och! Już ósma! Lepiej obudzę Lukę'a. Dziś rozpoczyna kurs wprowadzający na Uniwersytecie Nowojorskim. Będzie tam robił program wyrównawczy dla licencjatów, kandydatów na medycynę, żeby później móc zostać lekarzem. Lepiej, żeby się nie spóźnił.

Ale on tak słodko wygląda, kiedy śpi. I nie ma na sobie koszuli. A ta jego opalenizna jest taka ciemna na tle kremowej pościeli jego matki (tysiąc nitki na centymetr kwadratowy, egipska bawełna - wiem, bo spojrzalam na metkę). Jak mogłabym go...

O mój Boże!

Hm, chyba już nie śpi. No bo teraz leży na mnie.

- Dzień dobry - mówi. Nawet jeszcze nie otworzył oczu. Ustami wodzi po moim karku. A pewne części jego ciała przylegają do różnych fragmentów mojego.

- Jest ósma! - wołam. Chociaż, oczywiście, nie chcę wstawać. Co mogłoby być cudowniejszego, niż leżeć tu przez cały ranek i słodko kochać się z moim mężczyzną? Zwłaszcza w łóżku, nad którym wisi prawdziwy Renoir, w mieszkaniu naprzeciw Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku!

Ale on ma zamiar zostać lekarzem. Któregoś dnia będzie leczył dzieci chore na raka! Nie mogę pozwolić, żeby spóźnił się na rozpoczęcie kursu wprowadzającego. Trzeba myśleć o tych dzieciach!

- Lukę - mówię, kiedy jego usta suną w stronę moich. A swoich staram się nie otwierać, bo nie chcę, żeby poczuł, co się dzieje w ich wnętrzu. A tam chyba odchodzi mała imprezka wydana przez posmak wczorajszego kurczaka tikka masala i krewetkowego curry z Baluch's, które zamówiliśmy sobie do domu wieczorem, a które najwyraźniej okazały się odporne na pastę do zębów i płyn do płukania ust, którymi próbowałam się z nimi rozprawić osiem-godzin temu. - Dziś rano masz kurs wprowadzający - przypominam. Co wcale nie tak łatwo powiedzieć, kiedy człowiek stara się nie otwierać ust. Ani wtedy, kiedy

leży na tobie dziewięćdziesiąt kilo wspaniałego nagiego mężczyzny. - Spóźnisz się.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadcza i całuje mnie w usta.

Ale ja się nie poddam i nie otwieram ust. I kącikiem mówię:

- A ja to co? Muszę wstać i iść szukać pracy i mieszkania. W garażu moich rodziców czeka piętnaście pudeł, które wysłał mi, jak tylko będę mogła im podać jakiś adres. Jeśli szybko ich stamtąd nie zabiorę, moja mama na pewno zorganizuje wyprzedaż rzeczy używanych i już ich nigdy nie zobaczę.

- Byłoby wygodniej - mówi Lukę, szarpiąc się z ramiączkami mojej staroświeckiej koszulki - gdybyś spiała nago tak jak ja.

Ale nie udaje mi się na niego wściec za to, że nie słyszał ani jednego mojego słowa, bo zdołał zdjąć ze mnie tę koszulkę ze skwapliwością, która zapiera mi dech w piersiach, i zanim zdążyłam się połapać, jego spóźnienie na zajęcia - moje poszukiwania pracy i mieszkania - a nawet i te pudła, które leżą w garażu moich rodziców, stają się ostatnimi sprawami, które zaprzatają moje myśli.

Niedługo potem on unosi głowę, spogląda na budzik i mówi z niejakim zdziwieniem:

- Och, chyba się spóźnię.

A ja leżę, mokra od potu, na samym środku łóżka. Czuję się tak, jakby mnie rozjechał walec drogowy.

I bardzo mi się to podoba.

- A nie mówiłam? - odzywam się w stronę Renoira wiszącego mi nad głową.

- Hej! - Lukę podnosi się, żeby iść do łazienki. - Mam pomysł.

- Zamierzasz wynająć helikopter, który będzie cię woził stąd do centrum na zajęcia? - pytam. - Bo tylko w ten sposób uda ci się zdążyć na kurs wprowadzający na czas.

- Nie - odpowiada Luke. Teraz już jest w łazience. Słyszę, że włącza prysznic. - Dlaczego nie miałabyś po prostu się tu do mnie wprowadzić? Wtedy musiałabyś się już tylko rozglądać za pracą.

Wystawia głowę zza drzwi łazienki - jego gęste ciemne włosy są uroczo potargane po naszej porannej działalności - i spogląda na mnie pytającym wzrokiem.

- Co o tym sądzisz?

A ja nie jestem w stanie mu odpowiedzieć, bo mam wrażenie, że serce mi właśnie pękło z nadmiaru szczęścia.

Rozdział 2

*Obmówca chodząc wyjawia tajemnice,
duch wierny zamilczy o sprawie.*

Biblia, Księga Przysłów 11,13

Tydzień wcześniej

No cóż, przynajmniej się do niego nie wprowadzasz - zauważa moja starsza siostra Rose, kiedy wrzeszczące pięciolatki na zmianę walą kijkami w wypełnioną słodyczami kukłę w kształcie kucyka, zawieszoną za nami na gałęzi drzewa.

To mnie zabolowało. To znaczy, ta uwaga Rose. W sprawie pięciolatek nie mam nic do gadania.

- No wiesz? - zirytowałam się. - Może gdybyś trochę pomieszkała z Angelo, zanim wyszłaś za niego, doszłabyś jednak do wniosku, że wcale nie jest twoją bratnią duszą.

Rose piorunuje mnie wzrokiem z za piknikowego stołu.

- Byłam w ciąży. Nie miałam wyboru.

- Hm - mrużę, zerkając na najgłośniejszą wrzeszczącą pięciolatkę, czyli dzisiejszą solenizantką, czyli moją siostrzenicę, Maggie. - Takie coś nazywa się antykoncepcja.

- Wyobraź sobie, że niektóre z nas zwyczajnie cieszą się chwilą - mówi Rose - zamiast bez przerwy obsesyjnie zamartwiać się przyszłością. Tak więc antykoncepcja nie jest pierwszą rzeczą, jaka przychodzi nam na myśl, kiedy jakiś przystojniak zaczyna się z nami kochać.

Przychodzi mi do głowy wiele odpowiedzi, kiedy tak siedzę i widzę, że Maggie uznała, iż walenie kukły kijkiem jest mniej zabawne niż

walenie nim własnego ojca. Ale raz w życiu udaje mi się utrzymać język za zębami.

- No bo, na Boga, Lizzie - ciągnie Rose. - Wyjeżdżasz na dwa miesiące do Europy, a po powrocie uważasz, że zjadłeś wszystkie rozumy. A tak nie jest. Zwłaszcza jeśli chodzi o facetów. On nie kupi krowy, skoro mleko może mieć za darmo.

Wytrzeszczam na nią oczy.

- Jej! Z dnia na dzień coraz bardziej przypominasz mamę.

Moja druga siostra, Sarah, nie może się powstrzymać i parska w swój plastikowy kieliszek z margaritą, kiedy słyszy te słowa. Rose patrzy na nią z oburzeniem.

- I ty się śmiejesz, Sarah? - mówi.

Sarah robi zdumioną minę.

- Ja? Przecież w ogóle nie jestem podobna do mamy.

- Nie do mamy. - Nie daje za wygraną Rose. - Ale nie mów mi, że to, co wlewałaś sobie dziś rano do kawy, to nie był likier. Kwadrans po dziewiątej.

Sarah wzrusza ramionami.

- Nie lubię kawy bez dodatków.

- No jak tam sobie chcesz, wnuczko swojej babci. - A potem, przyglądając mi się przez zmrużone powieki, Rose kontynuuje: - Skoro tak cię to interesuje, Angelo jest moją prawdziwą bratnią duszą. Nie musiałam z nim mieszkać przed ślubem, żeby o tym wiedzieć.

- Wow, Rose - rzuciła Sarah. - Twoje najstarsze dziecko właśnie znęca się nad twoją prawdziwą bratnią duszą.

Rose ogląda się i widzi, że Angelo leży na ziemi, wcisnąwszy dłonie między uda. Maggie tymczasem zajęła się na odmianę waleniem boku furgonetki rodziców, przy entuzjastycznym wsparciu paczki swoich urodzinowych gości.

- Maggie! - drze się Rose, podrywając się z ławki. - Tylko nie samochód mamusi! Tylko nie samochód mamusi!

- Lizzie, nie słuchaj Rose - mówi Sarah, kiedy tylko Rose znajduje się poza zasięgiem jej głosu. - Mieszkanie z facetem, zanim się za niego wyjdzie, to świetny sposób, żeby się przekonać, czy pasujecie do siebie w tych sprawach, które naprawdę się liczą.

- Na przykład? - pytam.

- Och, no wiesz - odpowiada wymijająco Sarah. - Czy oboje lubicie oglądać rano telewizję i takie tam. Bo jeśli jedno z was lubi z rana

oglądać sobie Regis i Kelly na żywo, a drugie potrzebuje absolutnej ciszy, żebyjakoś się zmierzyć z nadchodzącym dniem, to możecie się o to kłócić.

O kurczę. Pamiętam, jak Sarah się wściekała, kiedy ktoś z nas chciał rano oglądać telewizję. Nie miałam pojęcia, że mąż Sarah, Chuck, jest takim fanem Regis i Kelly na żywo. Nic dziwnego, że ona potrzebuje li-kieru do porannej kawy.

- Poza tym - mówi Sarah, przeciągając palcem po boku tego, co zostało z urodzinowego tortu Maggie w kształcie kucyka, a potem zlizując z palca waniliową polewę - on cię o to nie prosił, prawda? Żebyś się do niego wprowadziła?

- Nie. Wie, że Shari i ja chcemy mieszkać razem.

- Ja tylko nie rozumiem - włącza się mama, podchodząc do stołu z dzbankiem lemoniady dla dzieciaków - po co ty w ogóle przeprowadzasz się do Nowego Jorku. Dlaczego nie możesz zostać w Ann Arbor i otworzyć tutaj tego zakładu odnawiania starych sukien ślubnych?

- Ponieważ - odpowiadam, wyjaśniając po raz chyba trzydziesty, licząc tylko od momentu mojego powrotu z Francji parę dni temu - naprawdę chcę tego spróbować. I muszę to zrobić w takim miejscu, gdzie będę miała największą możliwą bazę klientów.

- Moim zdaniem to zwyczajnie niemądre. — twierdzi mama, opadając na ławkę obok mnie. - Na Manhattanie ludzie się zabijają, żeby wynająć jakieś sensowne mieszkanie i założyć kablówkę bez kolejki. Wiem o tym. Najstarsza córka Suzanne Pennebaker... Pamiętasz ją, Sarah, była w twojej klasie. Jak ona miała na imię? Aha, Kathy. A więc Kathy pojechała do Nowego Jorku, żeby tam zostać aktorką, i po trzech miesiącach wróciła do domu, tak trudno jej było znaleźć mieszkanie. I jak ty sobie wyobrażasz otwarcie tam własnej firmy?

Powstrzymuję się, żeby nie przypominać mamie, że Kathy Pennebaker cierpi też na narcystyczne zaburzenie osobowości (przynajmniej według Shari, która ocenia ją tak ze względu na wielu, wielu chłopaków, których Kathy odbijała znajomym dziewczynom z Ann Arbor, a potem ich rzucała, gdy tylko mijał urok nowości). Tego typu zachowania na pewno nie przyniosły jej popularności w takim miejscu jak Nowy Jork, gdzie, jak rozumiem, występują pewne niedobory heteroseksualnych mężczyzn, a kobiety nie cofają się przed użyciem siły, żeby nie pozwolić sobie odbić własnego faceta.

Zamiast tego mówię:

- Mam zamiar zacząć od czegoś małego. Znajdę sobie pracę w jakimś sklepie sprzedającym używane ciuchy czy coś i zorientuję się trochę w sytuacji na nowojorskim rynku ubrań vintage, zaoszczędzę pieniądze. .. A potem otworzę własny sklep, może gdzieś na Lower East Side, gdzie czynsze nie są wysokie.

No cóż, a przynajmniej niższe.

Mama mówi:

- Jakie pieniądze? Nic ci nie zostanie, kiedy już zapłacisz te swoje tysiąc sto dolarów miesięcznie za mieszkanie.

Odpowiadam:

- Mój czynsz nie wyniesie aż tyle, bo będziemy go dzieliły na pół z Shari.

- Na Manhattanie kawalerka, to znaczy mieszkanie bez osobnej sypialni, tylko z jednym pokojem, kosztuje dwa tysiące za miesiąc - ciągnie mama. - Będziesz musiała je dzielić z paroma współlokatorkami. Tak właśnie mówi Suzanne Pennebaker.

Sarah kiwa głową. Ona też wie, że Kathy ma zwyczaj kraść cudzych chłopaków, co na pewno utrudnia kontakty ze współlokatorkami.

- Tak właśnie mówili w On View.

Ale ja nie przejmuję się niczym, co mówi ktoś z mojej rodziny. Znajdę jakiś sposób, żeby otworzyć własny interes. Nawet gdybym musiała mieszkać w Brooklynie. Słyszałam, że tam jest szalenie awangardowo. A wszyscy ludzie o prawdziwie artystycznych duszach przenoszą się tam albo do Queens, bo z Manhattanu wypchnęli ich bankierzy inwestycyjni.

- Przypomnijcie mi - mówi Rose, wracając do piknikowego stołu - żebym już nigdy więcej nie pozwoliła Angelo samemu planować urodzinowego przyjęcia.

Oglądamy się i widzimy, że jej mąż wstał już na nogi, ale teraz boleśnie utyka, idąc w stronę werandy na tyłach domu naszych rodziców.

- Mną się nie przejmujcie! - woła z ironią do Rose. - Nie proponuj mi czasem pomocy ani nic. Świetnie sobie poradzę!

Rose podnosi wzrok do nieba, a potem sięga po dzbanek z margaritą.

- Prawdziwa bratnia dusza - mówi Sarah i chichocze pod nosem.

Rose patrzy na nią z gniewem.

- Zamknij się. - A potem odstawia dzbanek. - Pusty. - W jej głosie zaczyna się pojawiać ślad paniki. - Skończyła nam się margarita.

- Ojej! - Mama jest zakłopotana. - Twój ojciec dopiero co znikował nową porcję...

- Pójdę i dorobię - proponuję, zrywając się z krzesła. Wszystko, byle tylko nie musieć jeszcze raz wysłuchiwać, jakie to klęski czekają mnie w Nowym Jorku.

- Zrób mocniejszą niż tata - mówi Rose, kiedy koło jej głowy przeleci zrobiona z masy papierowej noga kucyka. - Proszę.

Kiwam głową i chwytam dzbanek, a potem idę w stronę tylnych drzwi. Jestem gdzieś tak w połowie drogi, kiedy wpadam na babcię, która właśnie wyszła z domu.

- Cześć, babciu. I jak tam *Doktor Queen*?

- Nie wiem. - Widzę, że babcia jest podcięta, chociaż dochodzi za ledwie pierwszą po południu, bo znów włożyła podomkę tył na przód. - Zasnęłam. W tym odcinku nawet nie było Sully'ego. Nie wiem, po co oni w ogóle kręcą odcinki, w których go nie ma. Przecież nikt nie będzie oglądał, jak ta doktor Queen biega po ekranie w swoich spódnico-spodniach. Liczy się tylko Sully. Słyszałam, że próbowały ci wybić z głowy przeprowadzkę do Nowego Jorku.

Oglądam się przez ramię na mamę i siostry. Wszystkie trzy przesuwają palcami po resztkach urodzinowego tortu, a potem zlizują z palców polewę.

- One po prostu martwią się, że skończę jak Kathy Pennebaker.

Babcia się dziwi.

- Mówisz o tej szmacie, która odbija cudzych facetów?

- Babciu. Ona nie jest szmatą. Ona tylko... - Kręcę głową i się uśmiecham. - A w ogóle skąd o tym wiesz?

- Wyczuwam, co w trawie piszczy - powiada babcia tajemniczo. - Ludzie myślą, że skoro jestem starą pijaczką, to nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Ale już ja wiem swoje. Masz, to dla ciebie.

Wciska mi coś do ręki. Opuszczam wzrok.

- Babciu, skąd to wzięłaś?

- Nie zwracaj tym sobie głowy - odpowiada babcia. - Chcę ci to dać. Przyda się, skoro przenosisz się do miasta. A co, jeśli będziesz musiała stamtąd szybko uciec i potrzebna ci będzie gotówka? Nigdy nic nie wiadomo.

- Ależ babciu - protestuję. - Ja nie mogę...

- Och, ja pierniczę! - wrzeszczy na mnie babcia. - Bierz to i już!

- Dobrze - potakuję i chowam schludnie poskładany w kostkę dziecięciodolarowy banknot do kieszeni swojej klasycznej, czarno-białej, letniej sukienki Suzy Perette. - Już. Zadowolona?

- Tak - mówi babcia i poklepuje mnie po policzku. Jej oddech przyjemnie pachnie piwem. Przypominają mi się wszystkie momenty w szkole podstawowej, kiedy pomagała mi odrabiać lekcje. Wiele odpowiedzi miawałam błędnych, ale zawsze dostawałam dodatkowe punkty za wyobraźnię. - To do widzenia, paskudo jedna!

- Babciu, wyjeżdżam dopiero za trzy dni.

- I nie sypiaj z żadnymi marynarzami - dodaje babcia, ignorując moje słowa. - Bo złapiesz trypra.

- Wiesz co? - Uśmiecham się. - Chyba najbardziej będę tęskniła za tobą, strachu na wróble.

- Nie wiem, o co ci w ogóle chodzi - prycha babcia. - Jaki strach na wróble?

Ale zanim zdążę jej to wyjaśnić, Maggie z pozbawionym łba kadłubem kucyka mija nas, maszerując w milczeniu, a za nią drepczą w idealnej wojskowej formacji nagle cisi urodzinowi goście i każdy niesie jakiś kawałek kukły - ten nogę z kopytkiem, inny fragment ogona.

- O kurczę - mówi babcia, kiedy mija nas ostatni uczestnik makabrycznej parady. - Muszę się czegoś napić.

W pełni podzielałam to uczucie.



Rozdział 3

*Wielcy ludzie rozmawiają o ideach,
zwykli ludzie rozmawiają o rzeczach, a ci najzwyklejsi o alkoholu.*

Fran Lebowitz (ur. 1950), amerykańska humorystka

Sama jestem sobie winna, naprawdę. To przez to, że wierzę w bajki.

I to nie dlatego, że mi się zdarza pomylić je z faktami historycznymi czy coś. Ale dorastałam, wierząc, że na każdą dziewczynę czeka gdzieś tam jej książę. A ona tylko musi go odszukać. A potem już żyją długo i szczęśliwie.

Więc sami sobie wyobraźcie, co się stało, kiedy to odkryłam. A mianowicie, że mój książę jest prawdziwy. To znaczy, naprawdę jest księciem.

Nie, ja mówię poważnie. On jest prawdziwym księciem.

I dobra, jego ojczysty kraj tego tytułu nie uznaje, bo ponad dwieście lat temu Francja dość skrupulatnie wybiła większą część swojej arystokracji.

Ale w przypadku tego konkretnego, mojego własnego księcia komuś z jego rodziny udało się zwać przed Madame Gilotyną do Anglii, a wiele lat później ten przodek odzyskał rodzinny zamek, prawdopodobnie w drodze długiego i zażartego procesu sądowego. To znaczy, o ile choć trochę przypominał resztę swojej rodziny.

I owszem, w obecnych czasach posiadanie własnego chateau na południu Francji oznacza mnie więcej sto tysięcy rocznie w podatkach płaconych francuskiemu rządowi oraz ciągłe zamartwianie się o lokatorów i stan dachówek.

Ale hej, ilu znanych ci facetów go ma? Tcznaczy, własny zamek?

Przysięgam jednak, wcale nie dlatego się w nim zakochałam. Nie miałam pojęcia ani o tytule, ani o chateau, kiedy go poznałam. Nigdy się

nimi nie przechwalał. A poza tym, gdyby się przechwalał, to by mi się na pewno nie spodobał. No bo jakiej kobiecie spodobałby się taki ktoś? Żadnej, z którą chciałybyś się przyjaźnić.

Nie, Lukę zachowywał się dokładnie tak, jak można by się spodziewać po zubożałym księciu - jakby ten tytuł wprawiał go w zażenowanie.

No bo faktycznie, trochę go to żenuje. Żenuje go fakt, że jest księciem i jedynym dziedzicem rozległego chateau (z winnicą zajmującą czterysta hektarów, ale niestety mało wydajną) w odległości sześciu godzin podróży pociągiem od Paryża. Dowiedziałam się tego przypadkiem, kiedy zauważyłam taki jeden portret bardzo brzydkiego mężczyzny w głównej sieni chateau Mirac, i podpis mówił, że to jakiś książę, a przy tym nazwisko było takie samo jak Luke'a.

Lukę nie chciał się przyznać, ale ja wyciągnęłam to od jego ojca. Mówi, że to wielka odpowiedzialność, być księciem i zarządzać chateau, i tak dalej. No cóż, tytuł księcia obciąża chyba trochę mniej niż zarządzanie zamkiem. Da się to zrobić - i osiągnąć dochód, który wystarczy na pokrycie corocznych podatków - dzięki wynajmowaniu zamku bogatym amerykańskim rodzinom, a czasami jakiejś wytwórni filmowej do zdjęć do jakiegoś kostiumowego filmu. Bóg świadkiem, że winnica nie przynosi zbyt dużego dochodu.

Do czasu, kiedy się o tym dowiedziałam - o tym całym tytule książęcym - już się zdążyłam na zabój zakochać w Luke'u. Od razu wiedziałam, że to facet dla mnie, w tej samej minucie, w której usiadłam obok niego w tym pociągu. Nie żebym sobie wtedy myślała, że on kiedykolwiek to uczucie odwzajemni czy coś. Ale miał taki miły uśmiech - nie wspominając już o tych naprawdę długich rzęsach - że nie mogłam się w nim nie zadurzyć.

Tak więc fakt, że ma tytuł książęcy i majątek ziemski, jest tylko lukrem na najpyszniejszym torcie, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się spróbować. Lukę nie przypomina żadnego z tych facetów, których poznałam na studiach. W najmniejszym stopniu nie interesuje się pokerem ani sportem. Interesuje go wyłącznie medycyna - to jego pasja - i, no cóż, ja.

To mi całkowicie odpowiada.

Więc to chyba zupełnie naturalne, że natychmiast zaczęłam planować własny ślub. Nie żeby Lukę mi się oświadczył - to znaczy na razie.

Ale planować już chyba mogę. Bo wiem, że któregoś dnia wyjdę za mąż. Przecież facet nie prosi dziewczyny, żeby się do niego wprowadziła, jeśli nie zamierza się z nią kiedyś ożenić, prawda?

No więc sami rozumiecie, że ślub weźmiemy w chateau Mirac, na wielkim porośniętym trawą tarasie, z którego roztacza się widok na całą dolinę - która kiedyś podlegała feudalnym rządóm rodu de Villiersów. To będzie, oczywiście, latem, najchętniej następnego roku po tym, jak mój butik zajmujący się odnawianiem starych sukni ślubnych - Lizzie Nichols Designs - zostanie wykupiony przez Verę Wang. (To kolejna rzecz, która jeszcze się nie zdarzyła. Ale zdarzy się na pewno, prawda?) Shari może być moją główną druhną, a siostry zwykłymi druhami.

I w przeciwieństwie do tego, co one zrobiły swoim druham (a konkretnie, mnie), ja na tę okazję wybiorę dla nich naprawdę gustowne sukienki. Nie będę ich zmuszała (tak jak one zmusiły mnie) do wbijania się w krynoliny z miętowozielonej tafty. Bo w przeciwieństwie do nich, ja jestem osobą życzliwą i szanującą uczucia innych.

Jak przypuszczam, cała moja rodzina uprze się, żeby przyjechać, chociaż nikt z nich nigdy wcześniej nie był w Europie. Trochę się martwię, że moi krewni nie okażą się wystarczająco wyrafinowani dla kosmopolitycznych de Villiersów.

Ale jestem pewna, że koniec końców dogadają się świetnie, kiedy mój tata uprze się nadzorować grilla i urządzi barbecue w stylu ze Środkowego Zachodu, a mama podsunie matce Lukę'a parę wskazówek co do usuwania zażółceń z jej XIX-wiecznej lnianej bielizny stołowej. Babcia może być nieco kłopotliwa, skoro we Francji nie pokazują *Doktor Queen*. Ale po jednym czy dwóch kir royalach na pewno się wyciszy.

Po prostu wiem, że dzień mojego ślubu będzie najszczęśliwszym dniem mojego życia. Totalnie mogę sobie wyobrazić, jak stoimy wśród płam słońca na trawiastym tarasie, ja w długiej białej sukni tubie, a Lukę, taki przystojny i wytworny, w rozpiętej białej koszuli i czarnych spodniach od smokingu. Będzie wyglądał zupełnie jak księżę z bajki, naprawdę...

Tylko muszę jeszcze pomyśleć, jak sobie poradzić z tym, co mnie czeka za chwilę, i będę mogła wracać do domu.

- Okay - mówi Shari, otwierając egzemplarz „Village Voice”, który właśnie dorwała, i zaglądając na stronę z ogłoszeniami drobnymi. - W zasadzie nie ma tu nic wartego obejrzenia, co nie zostało wystawione przez jakiegoś pośrednika.

Chodzi o to, że cała sprawa będzie wymagała ode mnie finezji, o subtelności już nie wspominając.

- A to znaczy, że będziemy musiały zaciśnąć zęby i zapłacić za pośrednictwo. Beznadzieja - ciągnie Shari. - Ale na dłuższą metę powinno nam się to opłacić.

Nie mogę wyjechać z tą nowiną ot tak, prosto z mostu. Muszę jakoś powoli przygotować najpierw grunt.

- Wiem, że masz mało gotówki - dodaje Shari. - Ale Chaz mówi, że może nam pożyczyć tyle, ile będziemy potrzebowały na prowizję dla pośrednika. Możemy mu je zwrócić, kiedy już stanjemy na nogi. No cóż, to znaczy, kiedy ty staniesz na nogi. - Bo Shari już znalazła sobie pracę w pewnej niewielkiej organizacji pozarządowej; rozmawiała z nimi na ten temat jeszcze latem, przed wyjazdem do Francji. Zaczyna od jutra. - To znaczy, chyba że Lukę zgodzi się założyć za ciebie. Zgodzi się? Pewnie nie bardzo chcesz go to pytać, ale daj spokój, facet jest nadziany.

Nie mogę tak z tym znienacka wyskoczyć.

- Lizzie? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Lukę poprosił, żebym się do niego wprowadziła - wypalam, nie mogąc się powstrzymać.

Shari wytrzeszcza na mnie oczy ponad lepiącym się blatem stolika w naszym boksie.

- A ty... kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? - pyta.

Super. Już zawałam sprawę. Jest wściekła. Wiedziałam, że się wścieknie. Dlaczego nie umiem utrzymać na wodzy mojego gadatliwego języka? No dlaczego?

- Shari, on mnie o to poprosił dopiero dziś rano - wyjaśniam. - Tuż przed moim wyjściem na nasze spotkanie. Nie powiedziałam, że się zgadzam. Powiedziałam, że muszę z tobą o tym porozmawiać.

Shari patrzy na mnie i mruga.

- To znaczy, że tego chcesz. - W jej głosie słychać wyraźną ostrą nutkę. - Chcesz się do niego wprowadzić, inaczej z miejsca byś mu odmówiła.

- Shari! Nie! To znaczy, no cóż, owszem... Ale pomyśl sama. T tak wiecznie będziesz przesiadywała u Chaza...

- Nocowanie u Chaza - mówi Shari lodowatym głosem - to nie to samo, co mieszkanie z nim.

- Ale przecież wiesz, że on by bardzo tego chciał - przekonuję ją. - Zastanów się nad tym, Shari. Jeśli ja wprowadzę się do Luke'a, a ty wprowadzisz się do Chaza, to już nie będziemy musiały tracić czasu na szukanie mieszkania... Ani pieniędzy na pośrednika za pierwszy i ostat-

ni miesiąc wynajmu. To nam oszczędzi jakieś pięć tysięcy dolarów. Na głowę!

- Nie rób tego - przestrzega mnie Shari.

Gapię się na nią.

- Czego mam nie robić?

- Nie stawiaj sprawy tak, jakby chodziło o pieniądze. Bo tu nie chodzi o pieniądze. Wiesz, że gdybyś potrzebowała pieniędzy, zdobyłabyś je. Rodzice przysłałby ci kasę.

Ogarnia mnie złość na Shari. Kocham ją strasznie. Naprawdę. Ale moi rodzice mają trójkę dzieci, z których każde bez przerwy na coś potrzebuje pieniędzy. Kierownicy cyklotronów, a taki właśnie zawód wykonuje mój tata, zarabiają nieźle. Ale nie aż tak dobrze, żeby wiecznie wspierać trójkę swoich dorosłych dzieci.

Shari zaś jest jedyną córką znanego chirurga z Ann Arbor. Kiedy potrzebuje pieniędzy, wystarczy, że da znać rodzicom, a oni jej wyślą żadaną kwotę, nie zadając żadnych pytań. To ja jestem tą z nas, która pracowała w handlu detalicznym - a przedtem zarabiała jako opiekunka do dzieci w każdy piątkowy i sobotni wieczór przez wszystkie swoje nastoletnie lata, nie mając żadnego normalnego życia towarzyskiego - przez całe ostatnie siedem lat, za marną pensję. Odmawiałam też sobie wszelkich co droższych rozrywek (kina, jedzenia na mieście, szamponów innych niż suave, samochodu i tak dalej, i tym podobne), żeby tylko odłożyć wystarczająco dużo kasy, by któregoś dnia wyrwać się do Nowego Jorku i spróbować zrealizować swoje marzenie.

Czymkolwiek by to marzenie było.

Wcale się nie skarzę. Wiem, że rodzice zrobili dla mnie wszystko, co mogli. Ale złości mnie to, że Shari nie rozumie, iż nie każdy ma tak zaможnych rodziców jak ona. Mimo że usiłowałam jej to wyjaśniać.

- Nie możemy sobie pozwolić, żebyśmy stały się niewolnicami Nowego Jorku - ciągnie Shari. - Nie możemy pozwolić, żeby najważniejsze życiowe decyzje, takie jak wprowadzenie się do chłopaka, były podyktowane wyłącznie oszczędnością. Jeśli zaczniemy to robić, już po nas.

Patrzę na nią i milczę. Poważnie, ja nie wiem, skąd ona bierze takie pomysły.

- Bo jeśli chodzi wyłącznie o pieniądze— nie daje za wygraną Shari - a ty nie chcesz zwracać się o nie do rodziców, to Chaz bez problemu ci pożyczycy. Wiesz o tym.

Chaz, który pochodzi z długiej linii zaradnych finansowo prawników, jest nadziany. I nie tylko dlatego, że jego krewni wciąż umierali, zapisując mu swoje majątki, ale też dlatego, że oprócz kasy odziedziczył po nich skłonność do oszczędzania i inwestuje rozsądnie, jednocześnie żyjąc skromnie - a przynajmniej, w stosunku do własnych aktywów, które podobno przewyższają nawet majątek Luke'a. Nie żeby Chaz na dowód swojego bogactwa miał we Francji jakiś chateau.

- Shari - mówię. - Chaz to twój chłopak. Nie zamierzam brać pieniędzy od twojego chłopaka. Niby czym to by się różniło od wprowadzenia się do Luke'a?

- Tym, że z Chazem nie uprawiasz seksu - stwierdza Shari ze swoją zwykłą szorstkością. - To byłaby czysto finansowa umowa, zupełnie nie dotycząca spraw osobistych.

Ale z jakiegoś powodu pomysł poproszenia Chaza o pożyczkę - chociaż wiem, że dla niego nie byłoby to żaden problem i że z miejsca by się zgodził - do mnie nie przemawia.

Poza tym rzeczywiście nie chodzi o pieniądze. Nigdy o nie nie chodziło.

- Problem w tym - przyznaję - że to nie dotyczy wyłącznie pieniędzy, Shari.

Shari wyrywa się jakiś jęk, a potem chowa twarz w dłoniach.

- O Boże - mamrocze w stronę własnych kolan. - Wiedziałam, że to się stanie.

- Co? - Nie rozumiem, czym się tak bardzo zmartwiła. To znaczy, ja wiem, że Chaz to żaden książę i tak dalej, w tych swoich noszonych daszkiem do tyłu bejsbolówkach i wiecznie nieogolony. Ale jest naprawdę zabawny i miły. Kiedy nie rozwodzi się na temat Kierkegaarda albo funduszy emerytalnych. - Przepraszam. Ale czy to się nie może jakoś ułożyć? No bo właściwie o co chodzi? O tamtego nożownika? Nie chcesz mieszkać u Chaza ze względu na sąsiedztwo? Ale policja ci mówiła, że to było zwykłe rodzinne nieporozumienie. To się już więcej nie powtórzy. No chyba że wypuszcza tatę Julia z Rikers...

- Zupełnie nie o to chodzi - ucina Shari. W blasku neonu reklamującego Pabst Blue Ribbon na ścianie obok naszego boksują czarne kręcące się jak szalone włosy nabierają niebieskawego odcienia. - Lizzie, znasz Luke'a od miesiąca. I już zamierzasz się do niego wprowadzić?

- Od dwóch miesięcy - poprawiam ją, urażona. - A poza tym jest najlepszym przyjacielem Chaza. Mieszkał z Chazem przez kilka lat. No

cóż, przynajmniej w akademiku. Więc to nie tak, że Luke jest jakimś kompletnym nieznanym, takim jak Andrew...

- Właśnie. Co z Andrew? - pyta Shari. - Lizzie, ty dopiero co z nim zerwałaś. To był kompletnie powalony związek, ale jednak jakiś związek. I popatrz tylko na Luke'a! Dwa miesiące temu mieszkał z kimś innym! A teraz z miejsca śpieszy mu się do mieszkania z nową dziewczyną? Nie uważasz, że może powinniście troszkę zwolnić tempo?

- Przecież się nie pobieramy, Shari. My tylko rozmawiamy o tym, czy ze sobą nie zamieszkać.

- Może Luke myśli tylko o tym - ciągnie Shari. - Ale ja cię znam, Lizzie. Ty już w cichości ducha marzysz o ślubie z Lukiem. Nie próbuj zaprzeczać.

- Wcale nie! - wołam, zastanawiając się, jak ona zdołała domyślić się prawdy. Wprawdzie zna mnie praktycznie od zawsze. Ale mimo to... To przerażające.

Spogląda na mnie, mrużąc oczy.

- Lizzie... - mówi ostrzegawczym tonem.

- Och, no niech ci będzie - ustępuję, garbiąc się w naszym obitym krwistoczerwonym skajem boksie. Jesteśmy w Honey's, obskurnym barze karaoke w centrum miasta, w pół drogi między mieszkaniem Chaza na Wschodniej Trzynastej między Pierwszą Drugą Aleją gdzie mieszka Shari, a mieszkaniem Luke'a na rogu Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej i Piątej Alei, żebyśmy obydwie miały mnie więcej tak samo utrudniony (czy też ułatwiony, zależy z której strony na to spojrzeć) dojazd.

Honey 's to może i speluna, ale zazwyczaj jest pusta - a przynajmniej przed dziewiątą wieczorem, kiedy zaczynają się pokazywać poważni fani karaoke - więc możemy tam sobie pogadać i napić się coli za jedynego dolara. Poza tym barmanka - Amerykanka koreańskiego pochodzenia, punkowa tuż po dwudziestce - nie przejmuje się specjalnie tym, czy coś zamówimy, czy nie. Jest za bardzo zajęta kłótniami przez komórkę ze swoim chłopakiem.

- No więc chcę za niego wyjść - wyznaję przynębiona, a barmanka w tle wrzeszczy do swojej różowej komory: „Wiesz co? Wiesz co?! Beznadziejny jesteś!” - Kocham go.

- Nie ma nic złego w tym, że go kochasz, Lizzie. To naturalne. Ale nadal nie jestem przekonana, czy przeprowadzka do niego to najlepszy pomysł. - Och, świetnie. Teraz jeszcze zagryza dolną wargę. - Ja po prostu...

Podnoszę wzrok znad swojej coli light.

- Co?

- Posłuchaj mnie, Lizzie. - Jej ciemne oczy wydają się niezgłębione w panującym w barze półmroku. Chociaż na zewnątrz jest jasno, zaledwie dochodzi południe. - Luke jest świetny i tak dalej. I moim zdaniem to, co zrobiłaś, że dzięki tobie jego rodzice się pogodzili i że przekonałaś Luke'a, żeby zrealizował swoje marzenie o karierze medycznej, to wszystko było naprawdę super. Ale jeśli chodzi o was dwoje na dłużej...

Gapię się na nią, totalnie osłupiała.

- Co, jeśli chodzi o nas?

- Ja po prostu - oznajmia Shari - tego nie widzę.

W głowie mi się nie mieści, że ona mówi coś takiego. Moja - rzekomo - najlepsza przyjaciółka.

- Dlaczego? - pytam z przerażeniem, czując, że oczy zaczynają mnie piec od łez. - Bo on jest księciem? A ja jestem tylko jakąś dziewczyną z Michigan, która za dużo gada?

- No cóż - mówi Shari. - Mniej więcej. No bo, Lizzie... Ty lubisz oglądać w łóżku maratony *Real World*, pod ręką mając półlitrowy pojemnik lodów Coffee Heath Bar Crunch i ostatni numer „Nowoczesnej Krawcowej”. Lubisz słuchać na cały regulator Aerosmith, kiedy obrębiasz koktajlowe sukienki z lat pięćdziesiątych na swoim singerze 5050. Czy możesz sobie wyobrazić, że cokolwiek z tego będziesz kiedyś robiła przy Luke'u? Czy tak się naprawdę przy nim zachowujesz? A może zachowujesz się jak dziewczyna, która twoim zdaniem Luke'owi by się podobała?

Piorunuję ją wzrokiem.

- W głowie mi się nie mieści, że mnie w ogóle o to pytasz. - Prawie płaczę, ale usiłuję to ukryć. - Oczywiście, że przy Luke'u zachowuję się naturalnie.

Chociaż to prawda, że od przeprowadzki do Nowego Jorku codziennie noszę swoje obciskające majtki. A one zostawiają czerwone, zaognione ślady wokół talii i muszę czekać, aż zbledną, zanim pozwolę się Lukowi zobaczyć go.

Ale to tylko dlatego, że kiedy byłam we Francji, znów zaczęłam jeść chleb i przybyło mi trochę tej masy, którą zrzuciłam latem! Tylko trochę. Jakieś siedem kilo czy coś.

O Boże, Shari ma rację!

- Posłuchaj.- Shari najwyraźniej dostrzegła moją przerażoną minę. - Ja nie twierdzę, że nie powinnaś się do niego wprowadzać, Lizzie. Ja tylko mówię, że może lepiej byłoby, żebyś trochę wyluzowała z tym planowaniem ślubów. A przynajmniej twojego ślubu. Z Lukiem.

Unoszę dłoń, żeby obetrzeć łzy z oczu.

- Jeśli za chwilę powiesz, że on nie kupi krowy, skoro mleko dostanie za darmo - mówię z goryczą - to się porzygam.

- Oczywiście, że nic takiego nie powiem - oświadcza Shari. - Tylko nie rób dalekosiężnych planów, dobra? I zachowuj się przy nim swobodnie. Bo jeśli nie kocha ciebie takiej, jaka jesteś naprawdę, to nie jest żadnym wymarzonym księciem.

Nie mogę się powstrzymać i gapię się na nią z otwartymi ustami. Przecież ona czyta ludziom w myślach.

- Jakim cudem - pytam przez łzy - zrobiłaś się taka przenikliwa?

- Mam dyplom z psychologii - mówi Shari. - Zapomniałaś?

Kiwam głową. Jej nowa praca polega na doradzaniu kobietom w ramach programu, który wspiera ofiary przemocy domowej. Pracownicy pomagają im znajdować zastępcze mieszkanie, załatwiać sądową ochronę i ogólnodostępne świadczenia, takie jak kupony na żywność i opieka dla dzieci. Jeśli chodzi o pensję, to nie jest opłacalna praca. Ale czego Shari zabraknie z punktu widzenia finansowej satysfakcji, nadrobi to świadomością, że ratuje ludziom życie i pomaga im - zwłaszcza kobietom - stworzyć dla siebie i dla ich dzieci lepszą egzystencję.

Chociaż, jak się nad tym zastanowić, to te z nas, które pracująw przemyśle związanym z modą, robią dokładnie to samo. Może niekoniecznie ratujemy życie. Ale sprawiamy, że staje się lepsze w ramach naszych niewielkich możliwości. To tak jak w piosence... Młode dziewczyny nudzą się, kiedy ciągle chodzą w tej samej starej kiecce.

Naszym zadaniem jest zapewnić im sukienkę nową (albo starą, ale odnowioną), żeby mogły poczuć się trochę lepiej we własnej skórze.

- Posłuchaj - mówi Shari. - Sama nie wiem. Jestem jakaś taka przybita. Naprawdę cieszyłam się na myśl, że wynajmiemy razem jakieś mieszkanie. Myślałam nawet o tym, jak to będzie fajnie, kiedy będziemy szukały używanych mebli, a potem je odnawiały. Albo że pożyczymy jakiś samochód i pojedziemy do Ikei w New Jersey zrobić trochę zakupów. A teraz będę musiała mieszkać z Chazem wśród tych starych gratów, których jego rodzina pozbyła się z biur swojej nowojorskiej kancelarii prawniczej.

Nie mogę się nie roześmiać. Widziałam te wyszukane, wykończone złoceniami sofy w salonie u Chaza - tym, gdzie podłoga jest nieco spadziasta od południowej strony i gdzie w oknach są okiennice, które zasłaniają schodki przeciwpożarowe... W tych samych oknach, z których Shari widziała, jak tata Julia wpada w swój nożowniczy szał.

- Przyjdę do was i zobaczę, co się da zrobić z tymi sofami - mówię. - Mam kilka bel materiałów, które kupiłam, kiedy zamykano So-Fro Fabrics. Kiedy mama prześle mi moje pudła z rzeczami, będę mogła uszyć wam jakieś pokrowce. I zasłony - dodaję. - Żebyś nie musiała już patrzeć na żadne nożownicze ekscesy.

- Byłoby super. - Shari wzdycha. - No cóż. Masz. - Podsuwa mi egzemplarz „Village Voice”. - Przyda ci się.

Bezmyślnie patrzę na gazetę.

- Na co? Lukę i ja już mamy gdzie mieszkać.

- Żeby poszukać pracy, ty głąbie - wymyśla mi Shari. - A może Lukę ma zamiar nie tylko zapewnić ci dach nad głową, ale też i finansować twoje grzebanie się w starych ciuchach?

- Och. - Śmieję się bez przekonania. - Tak. Dzięki.

I zaglądam do działu *Praca* w ogłoszeniach drobnych...

..A w tej samej chwili jakiś karzeł z długą łagą, zupełnie jak laska Gandalfa, otwiera drzwi Honey's i wolnym krokiem podchodzi do naszego stolika. Patrzy na nas, a potem zawraca i wychodzi, przez cały czas nie wypowiadając ani jednego słowa.

- To miasto jest dziwne - stwierdzam.

- Chcesz o tym porozmawiać? - pyta Shari.



Rozdział 4

Płotka to narzędzie dla poety, temat jałowych dyskusji dla naukowca i pociecha dla gospodyni domowej, geniusza dowcipu i intelektualisty.

*Zaczyna się w pokoju dzieciennym,
a kończy, kiedy człowiek milknie już na wieki.*

Phyllis McGinley (1905-1978), amerykańska poetka i pisarka

Może Shari ma rację. Może powinnam nieco zwolnić tempo w tym związku z Lukiem. Nie muszę już teraz planować naszego ślubu. Przecież dopiero co zrobiłam dyplom... A i to niezupełnie, biorąc pod uwagę, że dopiero złożyłam swoją pracę licencjacką, a moja promotorka mówi, że technicznie rzecz biorąc, dyplom uzyskam dopiero w styczniu. Nie żebym zamierzała zmienić datę zrobienia dyplomu, którą wpisałam sobie w CV, bo wiecie... Kto to w ogóle będzie sprawdzał?

A poza tym, mama i tata dostaliby zawału, gdyby odkryli, że pojechałam do Europy, zanim tak naprawdę skończyłam studia - nie wspominając już o tym, że przyjąłam w prezencie z okazji dyplomu wszystkie te latarki do czytania książek.

Tak samo dostaliby zawału, gdyby odkryli, że wprowadzam się do faceta, którego tam poznałam. To znaczy, w Europie. Będę musiała swoją sytuację mieszkaniową trzymać w tajemnicy. Może powiem im, że Shari i ja mieszkamy razem... Ale co, jeśli oni porozmawiają z doktorem Dennisem? Cholera...

Dobra, pomartwię się tym później.

Powinnam, oczywiście, wykorzystać ten moment, żeby się skupić na własnej karierze. No bo jak inaczej mam kiedyś zostać poproszona o wywiad dla „Vogue'a”, jeśli nie zrobię czegoś, co byłoby warte takiego wywiadu?

Chociaż Shari naprawdę wyglądałaby ślicznie w sukni drużny z jedwabnej surówki z obcisłym stanikiem, bufiastymi rękawkami i spódnicą do połowy łydki w kolorze zgaszonego różu, jak ta spódnica na manekinie na tamtej wystawie...

Dobra, przestaję. Nie mam zamiaru teraz o tym rozmyślać. Będzie mnóstwo czasu, żeby zaprojektować taką suknię drużny, która na Shari będzie wyglądała ślicznie, a na Rose i Sarah okropnie. W tej chwili powinienam raczej skoncentrować się na znalezieniu pracy. To obecnie najważniejsza sprawa. Co mam zrobić ze swoim życiem? Przecież nie mogę być tylko czyjąś żoną. Każdy by to potrafił.

Założę się, że „Vogue” przeprowadziłyby ze mną wywiad tylko dlatego, że wysłałam za księcia. No cóż, prawie księcia. Bez przerwy robią wywiady z żonami jakichś niby-książąt. Mówią o nich „damy z towarzystwa”.

Nie chcę być żadną „damą z towarzystwa”. Ja nawet nie przepadam za towarzyskimi imprezami.

Nie, muszę znaleźć jakiś sposób na zostawienie po sobie na tym świecie śladu. To musi być coś, co umiem tylko ja. I wygląda na to, że jest to odnawianie starych klasycznych sukni ślubnych.

I można by oczekiwać, że na takie usługi będzie panowało wielkie zapotrzebowanie. Czy w każdym domu na strychu nie leży jakaś suknia ślubna, którą warto byłoby odnowić? Cały dowcip w tym, jak dotrzeć do tych wszystkich kobiet, które mogą potrzebować moich usług, a jednocześnie jakoś na siebie zarobić. Oczywiście, zawsze pozostaje Internet, ale...

Och, jaka piękna sukienka z czerwonej hiszpańskiej koronki Jonathana Logana... Szkoda, że koronka jest rozdarta. Ale łatwo to zacerować. Ile to może... Na litość boską! Czteryście pięćdziesiąt dolarów? Czy oni poszaleli? Dokładnie taką samą sprzedałyśmy wVintage to Vavoom w Ann Arbor za dolara pięćdziesiąt centów. A ta tutaj to dwójka. Kto by się w ogóle zmieścił w coś tak małego?

- Czy mogę w czymś pomóc?

Och. Racja. Nie przyszedłam tu na zakupy.

- Witam - mówię i rzucam olśniewający, mam nadzieję, uśmiech na stronę sprzedawczyni w spodniach w kratę (to pewnie ironiczny akcent) i z licznymi piercingami na twarzy. — Czy jest może ktoś z kierownictwa?

- A po co pani kierownictwo?

Hm. Wypiercingowana Damulka majak widzę, charakterek. No ale z drugiej strony, skoro jej sklep mieści się przy ruchliwej ulicy w Village, pewnie trafiają się tu różne typy. Widocznie musi być podejrzliwa. Kto wie, jakie szalone dziwadła tu przyłażą? Jeśli przypominają tego faceta, którego przed chwilą widziałam na rogu, ze spodniami opuszczonymi aż do kostek, który grzebał w pojemniku na śmieci i mruczał pod nosem coś o Stalinie... Rozumiem, jeśli wobec obcych reaguje nieco nieufnie.

- Właściwie - mówię energicznie - zastanawiałam się, czy sklep nie potrzebuje pracowników. Mam sporo doświadczenia w handlu używanymi ubraniami, a poza tym...

- Proszę zostawić swoje CV na kontuarze - mówi Wypiercingowana Damulka. - Jeśli kierowniczką się zainteresuje, oddzwoni.

Ale coś mi mówi, że kierowniczką nigdy nie oddzwoni. Tak samo jak ta przedstawicielka działu kadr z Metropolitan Museum nie oddzwoniła. I tak jak nie oddzwoniła szefowa Kolekcji Kostiumów i Tkanin z Muzeum Miasta Nowy Jork. Tak samo jak nie oddzwoniła Vera Wang. Zupełnie tak samo, jak nie oddzwonili do mnie z tych niezliczonych miejsc, w których zostawiałam swoje CV.

Ale w tym konkretnym przypadku wiem, że kierowniczką nie oddzwoni nie dlatego, że przeczyta moje CV i stwierdzi, że mam niedostateczne kwalifikacje do tej pracy, albo dlatego że nie szukają żadnych pracowników, lub dlatego że nie mam żadnych nowojorskich referencji, jak w tych pozostałych miejscach. Wiem, że kierowniczką nie oddzwoni, bo nigdy tego mojego CV nie zobaczy. Bo Wypiercingowana Damulka już uznała, że mnie nie lubi i wywali moje CV do kosza w tej samej minucie, w której wyjdę ze sklepu.

- Mogę być superdyspozycyjna - mówię w odruchu desperacji. - I mam mnóstwo wprawy jako szwaczka. Świetnie sobie radzę z przeróbkami...

- Nie robimy przeróbek w naszym sklepie - odpowiada Wypiercingowana Damulka z wyniosłym grymasem. - W tych czasach, jeśli ktoś potrzebuje coś przerobić, załatwia to w pralni chemicznej.

Przełykam to.

- Słusznie. No cóż, zauważyłam, że ten Jonathan Logan, który tu wisi, jest rozdarty. Mogłabym to z miejsca zacerować...

- Ludzie, którzy kupują nasze ubrania, sami załatwiają takie rzeczy - oświadcza Wypiercingowana Damulka. - Proszę zostawić swoje CV na ladzie, oddzwonimy...

Jej mocno podmalowane oczy obejmują mnie spojrzeniem od głowy - włosy przewięzałam szeroką apaszką w stylu Jackie Onasis - przez sukienkę, rzadko spotykaną Gigi Young z lat pięćdziesiątych, błękitną w białe grochy, ze spódnicą z rozszerzających się plis, aż po buty - białe balerinki (bo nie da się chodzić na obcasach, kiedy człowiek włóczy się po Manhattanie). Z miny Wypiercingowanej Damulki widać wyraźnie, że Wypiercingowanej Damulce nie podoba się to, co widzi. Albo i nie. - Wypiercingowana Damulka potrząsa swoją fryzurą na Irokeza, a potem żegna mnie machnięciem ręki. Zauważam, że to co wzięłam za bajecznie kolorowe rękawy bluzki, to jej gołe ramiona, których skóra pokryta jest tatuażami. - Na razie.

- Hm. - Nie mogę oderwać wzroku od tych tatuaży. - Na razie.

Dobra, no więc może i faktycznie rynek pracy w Nowym Jorku jest nieco... odmienny od tego w Ann Arbor. A może tylko trafiłam do niewłaściwego sklepu w niewłaściwy dzień.

Tak, dokładnie tak. Pewnie nie wszyscy są tu tacy. Może popełniłam błąd, zaczynając od Village.

A może w ogóle nie powinnam myśleć o handlu detalicznym. Może powinnam poszukać sklepów z sukieniami ślubnymi - nie u Very Wang, najwyraźniej, bo już się na nich sparzyłam: kobieta, która odebrała telefon w biurze Very Wang, kiedy chciałam sprawdzić, czy dostali moje CV, aż zbyt wyraźnie dała mi do zrozumienia, że mam czekać, aż oni do mnie oddzwonią (pewnie za dziesięć lat, kiedy już skończą przebijać się przez inne CV pozostawiane u nich przez kandydatki na projektantki sukien ślubnych) - i zostawiać u nich swoje CV z jakimiś zdjęciami tych sukien, nad którymi pracowałam. Może to będzie bardziej sensowne. Może...

O Boże, co ja powiem Luke'owi? Shari ma rację, wprowadzanie się do kogoś to jest poważne wydarzenie, a nie coś, co się robi tylko dlatego, że wychodzi to taniej niż opłacenie prowizji pośrednika od nieruchomości.

Chociaż, oczywiście, wcale nie dlatego to robię. Kocham Lukę'a i uważam, że mieszkałoby się z nim wprost cudownie. Więc na razie będę się w to angażowała bez większych oczekiwań - jak powiedziała Shari - na małżeństwo. Będę żyła dniem dzisiejszym. Oboje jesteśmy teraz w przejściowym okresie życia, Lukę zajęty tymi swoimi studiami, a ja... No cóż, tym wszystkim, co zamierzam osiągnąć. Nie możemy myśleć o małżeństwie. Jeszcze nie przez parę lat.

Ale mam nadzieję, że niezbyt długo. Bo naprawdę chciałabym w dniu ślubu włożyć suknię bez rękawów, a przecież Bóg jeden wie, ile jeszcze to potrwa, zanim stracę elastyczność ramion i nabawię się tego galaretowatego drżenia, tak nieładnego u panny młodej. Czy każdej innej kobiety.

No dobra, to nie działa. To włączenie się po okolicy i zostawianie CV w sklepach z klasyczną używaną odzieżą. Muszę zmienić strategię. Trzeba będzie usiąść z książką telefoniczną albo pogrzebać w sieci i skoncentrować wysiłki na tych miejscach, które faktycznie pasują do mojego stylu. Powinam...

Och, popatrzcie tylko na te steki. Może to właśnie powinienam zrobić. Kupić coś na obiad. No bo Lukę pewnie nie będzie miał ochoty jeść na mieście po całym długim dniu zajęć przygotowawczych.

I owszem, nie jestem najlepszą kucharką na świecie. Ale umiem przynajmniej przyrządzić grillowany stek. A mówiąc ściśle, usmażyć go, skoro grilla nie mamy.

Tak właśnie zrobię. Kupię steki i butelkę wina i zrobię obiad. A potem Lukę i ja możemy porozmawiać o tym wspólnym mieszkaniu i co to dla nas oznacza. Ajutro, kiedy już sobie wszystko wyjaśnimy, wrócę do szukania pracy.

Idealnie. Okay.

Tylko może powinienam zrobić zakupy bliżej domu, a nie tutaj, bo nie chcę dźwigać za dużo, zwłaszcza w metrze. A tak w ogóle, gdzie to metro?

- Hm, przepraszam. Może mi pan powiedzieć, jak dojść do stacji metra?

Och! Co za bezczelność!

Wcale nie jestem idiotką. Jak można nazwać kogoś idiotką za pytanie, którędy dojść do metra? Boże, więc to faktycznie prawda, te rzeczy, które mówią o nowojorczykach? Na razie rzeczywiście robią aroganckie wrażenie. Czy to dlatego Kathy Pennebaker wróciła do domu? To znaczy, pomijając tę jej manię odbijania cudzych chłopaków?

A może została zmuszona do odbijania jeszcze większej liczby cudzych chłopaków właśnie taką arogancką postawą mieszkanek Nowego Jorku?

No dobra, to gdzie ja jestem? Róg Drugiej Alei i Dziewiątej ulicy. Wschodniej Dziewiątej ulicy, bo strona wschodnia i zachodnia są rozdzielone Piątą Aleją (a tam właśnie znajduje się mieszkanie matki Lukę'a. Mieszkanie z widokiem na Central Park... i na Metropolitan Museum).

Lukę mówił mi, że aby się dostać na Piątą Aleję, jeśli się idzie w kierunku zachodnim od East River, trzeba przeciąć Pierwszą, Drugą i Trzecią Aleję, a potem Lexington, Park i wreszcie Madison (żebym zapamiętała kolejność nazw tych alej, Lukę kazał mi powtarzać: „Lic przed, myśl potem”, czyli Lexington, Park, Madison, Piąta).

Ulice - na przykład Wschodnia Pięćdziesiąta Dziewiąta, na której jest Bloomingdale's, albo Wschodnia Pięćdziesiąta, gdzie jest Saks - bieżą prostopadle do alej. Tak więc Bloomingdale's jest na Pięćdziesiątej Dziewiątej przy Lexington Avenue, a Saks na Pięćdziesiątej przy Piątej Alei. Mieszkanie matki Lukę'a jest na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Piątej Alei... Tuż za rogiem jest Betsey Johnson na Madison między Osiemdziesiątą Pierwszą a Osiemdziesiątą Drugą.

No a poza tym jest też West Side. Ale tego będę się musiała nauczyć później, bo teraz już i tak jest mi wystarczająco trudno pamiętać, gdzie właściwie mieszkam.

No dobra, więc metro jeździ po East Side wzdłuż Lexington Avenue. Czyli, powiedział Lukę, jeśli się zgubisz, wystarczy, że znajdziesz Lexington, a trafisz też i do metra.

Chyba że człowiek jest w Village, czyli tam, gdzie teraz jestem, bo tam Lexington nagle przechodzi w coś, co się nazywa Czwartą Aleją, a potem Lafayette, a potem Centurę Street.

No ale nie będę się tym właśnie teraz przejmowała. Po prostu ruszę na zachód od Drugiej Alei i może znajdę gdzieś po drodze Lexington, niezależnie pod jaką nazwą akurat tu się kryje, i jakiś przystanek metra, żeby dojechać do domu.

Dom. Wow. Ja już mówię, że to mój dom.

No cóż, czy nie zawsze tak jest? To znaczy, kiedy chodzi o miejsce, gdzie mieszkasz z kimś, kogo kochasz?

Może to dlatego Kathy Pennebaker wyjechała z Nowego Jorku. Nie przez niemiłych ludzi ani niezrozumiałe nazewnictwo ulic, ani te wszystkie numery z podkradaniem cudzych chłopaków, ale dlatego, że nie miała tu nikogo, kogo by mogła kochać.

A przynajmniej takiego kogoś, kto by tę miłość odwzajemniał.

Biedna Kathy. Pożarta i wypluta przez wielkie miasto.

No cóż, mnie to nie spotka. Ja się nie zamienię w kolejną Kathy Pennebaker z Ann Arbor. Nie wrócę do domu z podkulonym ogonem. Poradzę sobie w Nowym Jorku, nawet jeśli mnie to zabije. Bo jeśli poradzę sobie tutaj, to będę umiała poradzić sobie...

Och, taksówka! I to wolna!

Ja wiem, taksówki są drogie. Ale może chociaż ten jeden raz. Bo jestem tak okropnie zmęczona, a do metra jest jeszcze tak daleko, a ja chcę dojechać do domu na tyle wcześnie, żeby zdążyć zrobić obiad dla Luke'a, i...

- Na Osiemdziesiątą Pierwszą przy Piątej poproszę.

Och, i patrzcie, tu zaraz jest przystanek metra Astor Place. Gdybym tylko przeszła jeszcze jedną przecnicę, zaoszczędziłabym piętnaście dolców...

No cóż, nieważne. W tym tygodniu już żadnych taksówek. A tak miło się siedzi w czystej, klimatyzowanej taksówce, zamiast przedzierać się w tłumie w dół schodów na śmierdzący peron, gdzie trzeba czekać na zapchane metro, w którym nawet nie znajdzie się miejsce siedzące. A poza tym w każdym wagoniku żebrzą o pieniądze. Mnie się nigdy nie udaje odmówić. Nie chcę się zamienić w jedną z takich twardych, pozabawionych serca mieszkanki Nowego Jorku, jak ta Wypiercingowana Damulka, która wyraźnie uważała, że moja sukienka Gigi Young jest bardzo zabawna. Jeśli nie potrafi się współczuć komuś, kto ma kłopoty - albo choćby zdać sobie sprawę z tego, jak trudno jest znaleźć sukienkę Gigi Young, która nadawałaby się jeszcze do noszenia - to po co człowiek w ogóle ma żyć?

Więc kończy się na tym, że za każdym razem, kiedy jadę metrem, wychodzę z niego o pięć dolarów uboższa, nie licząc nawet opłaty za bilet. Właściwie taniej jest jechać taksówką. W pewnym sensie.

0 Boże. Shari ma rację. Muszę znaleźć sobie pracę. I jakieś własne życie.

1 to szybko.

Rozdział 5

*Pokażcie mi kogoś, kto nigdy nie plotkuje, a ja wam pokażę kogoś,
kto nie interesuje się ludźmi.*

Barbara Walters (ur. 1929),
amerykańska dziennikarka telewizyjna

Marynuję steki, kiedy odzywa się telefon. Nie moja komórka, ale domowy telefon matki Luke'a.

Nie odbieram, bo wiem, że to nie do mnie. Poza tym jestem zajęta. To nie żarty przygotować obiad choć w przybliżeniu godny smakosza w nowojorskiej kuchence, mniej więcej tak dużej, jak wewnątrz tej tak-sówki, którą wracałam do domu z miasta dziś po południu. Mieszkanie mamy Luke'a jest naprawdę przyjemne, jak na manhattańskie apartamenty zjedna sypialnią. Nadal są tu oryginalne przedwojenne gzymsy i złocona armatura, i drewniane parkiety, i tak dalej.

Ale kuchenka nadaje się raczej do rozpakowywania jedzenia zamówionego z dostawą do domu niż do gotowania.

Po mniej więcej pięciu dzwonekch włącza się automatyczna sekretarka pani de Villiers. Słyszę jej głos - z tym południowym akcentem, jeszcze teatralnie przesadzonym: „Halo, dodzwonili się państwo do Bibi de Villiers. Albo rozmawiam z drugiej linii, albo w tej chwili odbywam drzemkę. Proszę zostawić wiadomość, a ja postaram się jak najszybciej oddzwonić”.

Chichoczę. „Vogue” powinien zrobić wywiad z Bibi. Skoro mowa o profesjonalnych paniach domu z towarzystwa. Poza tym jest przecież żoną księcia. No cóż, prawie księcia. I ma świetny - nawet jeśli nieco konserwatywny - gust w doborze ubrań. Nie widziałam jej nigdy w niczym poza Chanel lub Ralphem Laurenem.

- Bibi. - W mieszkaniu rozlega się jakiś męski głos... W mieszkaniu, które przepełnia też zapach świeżo posiekanego czosnku, który dodałam do marynaty razem z sosem sojowym, miodem i oliwą z oliwek, a wszystko to kupiłam w Eli's na Trzeciej Alei... Czyli ładny kawałek drogi z Piątej. - Nie odzywasz się już dość długo. Gdzie ty się podziwasz?

Najwyraźniej ten przyjaciel nie ma pojęcia, że pogodziła się z mężem w czasie ślubu swojej siostrzenicy na południu Francji ani że oboje rodzice Luke'a są nadal w Dordogne, gdzie cieszą się niezwykłym francuskim światłocieniem... *Fantastique*, jak by powiedzieli Francuzi. A może i nie.

- Będę na ciebie czekał tam, gdzie zwykle - ciągnie facet. - W ten weekend. Mam tylko nadzieję, że nie będę czekał na próżno.

Zaraz, momencik. Tam, gdzie zwykle? Będzie na nią czekał? A kim, do diabła, jest ten facet? I jak to możliwe, że są z Bibi tak blisko, a on nawet nie wie, w jakim kraju ona akurat przebywa?

- To na razie do widzenia, *cherie* - mówi ten facet. A potem się rozłącza.

Cheriel On tak na serio? Kto zostawia ludziom wiadomości na automatycznej sekretarce, zwracając się do nich: *cheriel* No chyba, że jest jakimś żigolakiem.

O Boże. Czyżby matka Luke'a zatrudniała żigolaka?

Nie, oczywiście, że nie. Ona by nie musiała. To taka pełna życia, piękna kobieta - i to najwyraźniej nadziana, wystarczy się tylko rozejrzeć po tym *pied-a-terre* na Manhattanie. Renoir to perła jej kolekcji. Ale poza tym nie brakuje tu Miro ani Chagalla, i jest nawet jeden malutki szkic Picassa, który wisi w łazience.

Nie mówiąc już o tej kolekcji butów, która zajmuje całą górną półkę szafy w sypialni... Rzędy pudełek z napisami Jimmy Choo, Christian Louboutin i Manolo Blahnik.

Po co takiej kobiecie żigolak?

Chyba że... Chyba że to wcale nie jest żigolak, tylko zwyczajny kochanek! Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że Bibi de Villiers miała jakiegoś kochanka. W końcu była przecież w trakcie rozwodu z ojcem Luke'a... To znaczy, dopóki ja się tam nie pojawiałam. Dlaczego taka wyrafinowana, światowa kobieta jak mama Luke'a nie miałaby mieć jakiegoś przyjaciela... Przyjaciela, o którym zupełnie zapomniała, odkąd znów się zeszała z tatą Luke'a?

Przynajmniej zakładam, że o nim zapomniała. Musiała zapomnieć, skoro on nawet nie wie, gdzie ona jest teraz...

O Boże. To taka... niezręczna sytuacja. Dlaczego on musiał zadzwonić akurat teraz, dziś wieczorem, kiedy Lukę i ja mieliśmy przeprowadzić naszą rozmowę o wspólnym mieszkaniu? Nie mogę powiedzieć do Luke'a: „Hej, jakiś dziwny facet zadzwonił i zostawił wiadomość dla twojej matki, nazywając ją *cherie*... A teraz musimy się zastanowić, w jaki sposób mogłabym się do ciebie wprowadzić, jednocześnie nie tłamsząc swojej tożsamości”.

Może, jeśli uda mi się sprawdzić numer, spod którego dzwonił... To przynajmniej byłaby jakaś wskazówka co do...

No, świetnie. Skasowałam wiadomość. Bo chyba to właśnie oznacza migający światełkiem przycisk „usuń”.

No cóż, to w zasadzie rozwiązuje problem.

Tak chyba nawet będzie lepiej. Przecież facet nie zostawił nazwiska. Nie mogę powiedzieć: „Hm, dzień dobry, pani de Villiers? Tak, jakiś obcy facet z francuskim akcentem, który nie jest pani mężem, dzwonił i pytał, czy spotka się z nim pani tam gdzie zwykle, bo będzie czekał”. To mogłoby być dla niej żenujące.

A ja nie mam zamiaru wprawiać w zażenowanie swojej przyszłej teściowej.

Cholera. I znów to robię, tak? Muszę sobie wreszcie wybić z głowy te myśli o małżeństwie. Chyba przygotuję stół do obiadu. Wyjmę te piękne srebra, które pewnego dnia może będą moje, jeśli...

No dobra, może lepiej będzie włączyć telewizję. Powinny teraz lecieć wiadomości. Odwrócą moją uwagę.

- „Policja dokonała makabrycznego odkrycia w ogrodzie na tyłach domu, który media obecnie nazywają Domem z Horroru w Harlem. Ludzkie szczątki, na razie sześć kompletnych szkieletów, przy czym oczekuje się, że odkryte zostaną następne...”

O mój Boże, co to za miasto? Ogród za domem pełen ludzkich szkieletów? Nie. Po prostu, nie. Zmieniam kanał.

- „... Siedem ucieczek z miejsca wypadku w ciągu zaledwie jednego miesiąca. Tym razem ofiarą padła młoda matka, zabita w czasie odprowadzania do szkoły swoich małych dzieci...”

Dobry Boże! Może lepiej wróć do czytania ogłoszeń o pracę. Ooo, a na stronie szóstej jest kolumna plotkarska! Tylko sobie zerknę, zanim przejdę do działu *Dam pracę*...

„Nowojorskie towarzystwo aż wrze od plotek na temat zbliżającego się ślubu Johna MacDowella, jedyne go spadkobiercy rodziny MacDowellów, potentatów na rynku pośrednictwa nieruchomości. Jego wybranka, Jill Higgins, jest pracownicą zoo w Central Parku. Para poznała się na ostrym dyżurze Szpitala imienia Roosevelta, gdzie panna Higgins zgłosiła się z urazem kręgosłupa, kontuzji powstałej przy przenoszeniu foki, która wymknęła się ze swojego ogrodzenia, a Johnowi MacDowellowi opatrywano skręconą w czasie meczu polo kostkę...”

Och! Jakie to romantyczne! I jaka to ciekawa praca, wśród fok! Gdybym tylko mogła...

Klucz Luke'a w zamku! Wraca do domu!

Dzięki Bogu, że już parę godzin temu ściągnęłam swoje obciskające majtki. Czerwone ślady już mi chyba do tej pory zbladły.

I nie będę już ich więcej wkładała. Lukę będzie musiał kochać mnie taką, jaka jestem - w przeciwnym razie, nic z tego.

Tylko że... Popatrzciejako uroczo wygląda w tych wyblakłych dżinsach i tej ładnej, zapinanej na guziki koszuli, którą dla niego wybrałam! Może jednak troszkę jeszcze ponoszę te obciskające majtki... Dopóki nie zrzucę tych siedmiu kilogramów, które nabyłam we Francji. A na pewno szybko schudnę, biorąc pod uwagę, ile muszę się nachodzić po tym mieście. Poza tym bagietki w Eli's kompletnie zignorowałam...

- Cześć - mówi do mnie. Widząc mnie pochyloną nad kredensem matki, minę ma zdziwioną, ale i zadowoloną. Uśmiecha się szeroko. - Jak leci?

„Cześć, jak leci”. Tak właśnie zwraca się do mnie mój chłopak po tym, jak dziesięć godzin wcześniej zaproponował mi, żebym się do niego wprowadziła. Widać wyraźnie, że od tego czasu raczej nie zdręczał się moją ewentualną odmową.

A może się zdręczał i tylko udaje, że się nie przejmuje.

- Co to za zapach? - pyta.

- Czosnek - odpowiadam. - Zamarynowałam parę steków.

- Super - rzuca, odkładając swoje klucze na małą konsolkę z marmurowym blatem przy drzwiach. - Umieram z głodu. Jak ci minął dzień?

Wow. „Jak ci minął dzień?” Więc to tak jest, jak się z kimś mieszka. To znaczy, z facetem. Właściwie to prawie tak, jakby się mieszkało z koleżanką.

No dobra, może nie do końca tak samo jak z koleżanką. Wcale nie.

- A więc... - Lukę patrzy na mnie z szerokim uśmiechem. - Kiedy przekażesz wielką nowinę rodzicom?

Aha, jasne. Czyli nie zadreczę się swoją odpowiedzią na swoje pytanie, bo już wie, że się zgodzę.

Zarzucam mu ramiona na szyję, nieco oszołomiona.

- Skąd wiedziałeś?

- Żartujesz sobie ze mnie? - Teraz już otwarcie się śmieje. - Stacja Nadawcza Lizzie była czynna od samego rana.

Piorunuję go wzrokiem.

- To niemożliwe. Nic nikomu nie powiedziałam! Nikomu poza... - Urywam i się rumienię.

- Właśnie - mówi Lukę, żartobliwie naciskając czubek mojego nosa palcem wskazującym. - Shari powiedziała Chazowi, a on zadzwonił do mnie i wypytał o moje zamiary.

- Twoje... - Teraz już nie jestem tylko zaróżowiona. Spąsowiałam. - Nie miał prawa tego robić!

Ale Lukę nadal się śmieje.

- On uważa, że ma. Och, nie wściekaj się tak. Chaz myśli o tobie jak o młodszej siostrze, której nigdy nie miał. Moim zdaniem to słodkie.

A moim zdaniem nie. Postanowiłam całkiem nie po siostrzanemu nagadać Chazowi, kiedy go znów zobaczę.

- Co mu powiedziałaś? - Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem tego pytania, kiedy ciekawość pokonuje mój gniew.

- O czym? - Lukę znalazł butelkę kupionego przeze mnie wina, które otworzyłam, żeby pooddychało, i nalewa nam po kieliszku.

- O twoich, hm, intencjach.

Próbuję mówić swobodnym tonem. I lekkim. Faceci nie lubią, kiedy sprawy robią się zbyt poważne, jak zauważyłam. A już zwłaszcza nie lubią, kiedy za dużo mówi się o przyszłości. Zachowują się zupełnie jak te płochliwe leśne stworzonka. Wszystko idzie, dobrze, póki tylko wydzielasz im orzeszki i na nic nie nalegasz.

Ale w tej samej chwili, w której zobaczają sidła, zaczyna się istne piekło. Wykluczone, żebym miała przy Lukę'u poruszyć sprawę zobowiązań. Dwa miesiące znajomości to może nieco za wcześnie, żeby razem mieszkać. Ale to już na pewno o wiele za wcześnie, żeby zaczynać dyskusję na temat wzajemnych zobowiązań.

Nawet jeśli jedno z dwojga bez przerwy ma w głowie ślubne suknie.

- Powiedziałem mu, żeby się nie martwił - mówi Lukę i podaje mi kieliszek wina. - Że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie zniszczyć ci reputacji. - Lukę stuka się ze mną kieliszkiem. - No i że powinien mi przecież podziękować - dodaje i robi do mnie oko.

- Podziękować tobie? - powtarzam za nim. - Za co?

- Bo teraz Shari może się wprowadzić do niego. Prosił ją o to już wcześniej, ale ona mówiła, że nie może cię zostawić na lodzie.

- Och. - Mrugam kilka razy. Tego nie wiedziałam. Shari nigdy nie wspomniała o tym ani słowem.

Ale jeśli chciała ze mną mieszkać wyłącznie z litości, to czemu zareagowała tak, jak zareagowała, kiedy powiedziałam jej o propozycji Luke'a?

- W każdym razie pomyślałem sobie, że powinniśmy gdzieś wyjść, żeby to uczcić - ciągnie Luke. - Nasza czwórka. Nie dzisiaj, oczywiście, skoro kupiłaś te steki. Ale może jutro wieczorem. Jest taka fantastyczna restauracja w centrum, która na pewno bardzo ci się spodoba...

- Musimy porozmawiać. - Słyszę własne słowa. Zaraz. Jakim cudem to mi się wyrwało?

Luke patrzy na mnie ze zdziwieniem, ale nie wydaje się urażony. Siada na białej kanapie swojej matki - ja nie odważyłabym się na niej siadać, jeśli miałabym w dłoniach coś do picia albo do jedzenia - i podnosi na mnie z uśmiechem wzrok.

- Jasne - potakuje. - Oczywiście. Bo mnóstwo rzeczy musimy jakoś ustalić. Na przykład, gdzie ty zmieścisz wszystkie te swoje ubrania. - Uśmiecha się jeszcze szerzej. - Z tego, co mówił Chaz, twoja kolekcja tych klasycznych starych ciuchów jest dość imponująca.

Przecież ja nie o ciuchy się martwię, tylko o swoje serce.

- Jeśli mam mieszkać z tobą... - zaczynam, podchodząc i przysiadając na oparciu kanapy... Są mniejsze szanse na katastrofę, jeśli coś rozleję. Poza tym jestem na tyle daleko, że jego bliskość nie powinna mnie rozpraszać. - Chcę dzielić koszty, opłaty, zakupy, wszystko, po połowie. No wiesz. Tak będzie uczciwie. Wobec nas obojga.

Luke się już nie uśmiecha. Popija wino małymi łydkami i wzrusza ramionami.

- Jasne - mówi. - Jak sobie życzysz.

- Poza tym chcę się dokładać do czynszu.

Spogląda na mnie dziwnym wzrokiem.

- Lizzie. Nie ma żadnego czynszu. To mieszkanie należy do mojej matki.

- Wiem. To znaczy, chciałabym dołożyć się do spłaty kredytu hipotecznego.

Lukę znów się szeroko uśmiecha.

- Lizzie. Nie ma żadnego kredytu. Matka kupiła je za gotówkę.

Jej. To się okazuje o wiele trudniejsze, niż się spodziewałam.

- Mimo to chciałabym coś płacić. No bo przecież nie mogę na tobie pasożytować. To by nie było fair. Zresztą, jeśli będę coś płaciła za mieszkanie, to będę też miała co nieco do powiedzenia w sprawach, które tego mieszkania dotyczą, prawda?

Teraz Lukę unosi jedną brew.

- Rozumiem, co masz na myśli - mówi. - Masz zamiar zmienić wystrój wnętrza?

O Boże. To się wcale nie dzieje tak, jak planowałam. Po co ten Chaz do niego dzwonił? Cały czas ludzie mi wytykają, że za dużo mówię. Ale według mnie chłopcy plotkują o wiele częściej niż dziewczyny.

- Nic podobnego - zaprzeczam. - Bardzo mi się podoba, jak twoja mama urządziła to mieszkanie. Ale będę musiała poprzestawiać trochę meble, żeby zrobić miejsce. - Odchrząkuje. - Na moją maszynę do szycia. I inne takie.

Teraz Lukę unosi już obydwie brwi.

- Twoją maszynę do szycia?

- Jeśli mam otworzyć własną firmę - tłumaczę - to muszę mieć odrobinę przestrzeni, gdzie będę się mogła tym zajmować. To przecież logiczne. A poza tym... Są chyba jakieś miesięczne koszty utrzymania mieszkania? No wiesz, opłata pobierana przez administrację budynku?

- Owszem - mówi Luke. - Trzy i pół tysiąca dolarów.

O mało się nie zakrztusiłam. Dobrze, że przysiadłam tylko na oparciu kanapy, bo naplułabym na nią zamiast na parkiet.

- Trzy i pół tysiąca dolarów?! - wołam, zrywając się na nogi i biegnąc do kuchenki po ściereczkę. - Na miesiąc? Za samą administrację mieszkania? Mnie na to nie stać!

Luke śmieje się teraz głośno.

- No to może jakąś część tej sumy - proponuje i patrzy, jak ścieram rozlane wino. - Jakiś tysiąc miesięcznie?

- Zgoda - przytakuję z ulgą. Chociaż niewielką, bo i tak nie mam pojęcia, skąd wezmę tysiąc dolarów miesięcznie.

- Świetnie - cieszy się Luke. - Skoro to już sobie ustaliliśmy...
- Jeszcze nie - przerywam mu. - To znaczy, jeszcze nie ustaliliśmy.

- Nie? - Ale nie ma zaniepokojonej miny. Raczej rozbawioną. - Omówiliśmy zakupy spożywcze, rachunki, czynsz i twoje zapotrzebowanie na miejsce pod maszynę do szycia. Co jeszcze zostało?

- My.

- My? - Nie ucieka niczym przerażone leśne stworzonko. Jeszcze nie. Po prostu ma zaciekawioną minę. - To znaczy, co?

- Jeśli się wprowadzę - zacznam, mobilizując całą swoją odwagę - to najpierw na zasadzie próbnej. Żeby zobaczyć, czy to się sprawdzi. Bo rozumiesz, znamy się zaledwie dwa miesiące. A co, jeśli się okaże, no sama nie wiem... Że zimą zamieniam się w świra czy coś.

Luke znów unosi obie brwi.

- A zamieniasz się?

- Nie wiem. To znaczy, nie wydaje mi się. Ale była kiedyś taka dziewczyna, Brianna, na naszym piętrze w akademiku McCracken. I ona zamieniała się w totalną psychopatkę, kiedy na dworze robiło się zimno. Nie żeby była jakoś szczególnie zrównoważona latem. Ale zimą bardzo jej się pogarszało. Więc wiesz. Uważam, że powinniśmy sobie zastrzec prawo do wycofania się z tego układu ze wspólnym mieszkaniem, jeśli okaże się, że któreś z nas poczuje, że to się nie sprawdza. A ponieważ mieszkanie należy do twojej matki, to ja będę musiała się wyprowadzić. Ale ty musisz dać mi miesiąc na znalezienie sobie nowego lokum, zanim zmienisz zamki. Inaczej byłoby niesprawiedliwie.

Luke nadal się uśmiecha. Ale teraz już trochę dziwnie.

- Bardzo się przejmujesz - mówi - kwestią sprawiedliwości, prawda?

- No cóż - bąkam, czując, jak entuzjazm we mnie opada po tej jego jedynej reakcji na moje słowa. - Chyba tak. No wiesz, tak mało jest sprawiedliwości na tym świecie. Młode matki giną pod kołami samochodów, których kierowcy uciekają potem z miejsca wypadku, ludzkie szkielety wykopuje się w ogrodach za domami i...

Luke marszczy brwi i wyciąga do mnie rękę.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz - oświadczam, sadzając mnie sobie na kolanach. Na szczęście odstawiłam już kieliszek po winie. - Ale bardzo się cieszę, że odbyliśmy tę małą pogawędkę. Już skończyliśmy?

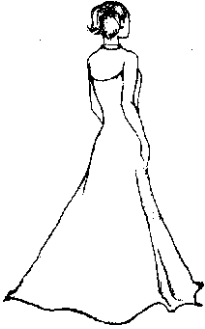
Szybko przebiegam w myślach te sprawy, które chciałam z nim przedyskutować. Podział opłat za czynsz i rachunki, miejsce na moją maszynę

do szycia i trzydziestodniowa odroczenia eksmisji, gdyby któreś z nas (raczej on niż ja, bo ja się nigdzie nie wybieram) jej potrzebowało. Tak, to wszystko.

Kiwam głową.

- Skończyliśmy.

- Super - mówi Luke i kładzie mnie na kanapie. - A teraz, jak się to coś zdejmuję?



Rozdział 6

*Troje może dotrzymać sekretu, pod warunkiem
że dwoje z nich już nie żyje.*

Beniamin Franklin (1706-1790),
amerykański wynalazca

Specjalistyczny Zakład Renowacji Sukien Ślubnych".

Tak mówi tabliczka nad drzwiami.

No cóż, naprawdę jestem taką specjalistką. Przecież ja się tym zajmuję. I nie tylko sukniami ślubnymi, oczywiście. Umieję też odświeżyć - albo przerobić - niemal każdą sztukę ubrania. Ale w sukniach ślubnych kryje się prawdziwe wyzwanie. I w nich, oczywiście, leżą też pieniądze.

Próbuję nie rozmyślać obsesyjnie o pieniądzach. Tylko że bardzo trudno jest nie rozmyślać obsesyjnie o czymś, czego się tak bardzo potrzebuje, żeby w tym mieście choćby przetrwać. Przecież widziałam, w co się ubierają niektóre mieszkanki tej kamienicy, kiedy zjeżdżały windą. Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze aż tylu dodatków Gucciego albo Louisa Vuittona.

Nie żeby człowiek potrzebował do życia Gucciego albo Vuittona. Ale potrzebuje pieniędzy - i to sporych pieniędzy - żeby w ogóle w miarę normalnie żyć na Manhattanie. O ile pod słowem „normalny” rozumie się nieprzesadzanie z taksówkami, kinem albo latte oraz samodzielne szykowanie sobie śniadań, obiadów i kolacji.

I dobra, umiem obyć się w życiu bez najnowszej wielkiej torby na ramię z brezentu z monogramem Luisa Vuittona. Ale trochę mi się to wydaje okrutne, że nie mogę nawet wpaść do najbliższego tureckiego baru na małego falafela. Nie żebym tęskniła za węglowodanami,

które ograniczam ze względu na rozmiar mojego tyłka. Ale wątpię, żeby gdziekolwiek w okolicy Metropolitan Museum była jakaś turecka kebabownia, raczej ich tu nie ma, a rezydencje przy Piątej Alei leżą całe kilometry od jakichkolwiek w miarę przystępnych restauracji czy sklepów spożywczych. W sumie cała ta Piąta Aleja jest zupełnie jak jakaś ziemia jałowa, nie tylko apartamenty po milion dolarów, muzea i park.

Naprawdę zazdrościsz Shari jej mieszkanka z osobnym wejściem, dzielonego z Chazem. Jasne, nie ma tam Renoira, podłoga biegnie ukośnie w stronę okien, w łazience jest tylko prowizoryczna kabina prysznicowa, która przecieka, a emalia na starej wannie jest tak poplamiona, że wygląda, jakby ktoś w niej kogoś zamordował.

Ale zaraz po drugiej stronie ulicy jest totalnie tani bar sushi! I knajpka zaledwie dwa kroki od domu, w której bud lite jest za dolara w trakcie „szczęśliwej godziny”! I w pół drogi do następnej przecznicy spożywczej, gdzie dostarczają zakupy do domu... za darmo!

Ja wiem, że nie powinnam narzekać. No bo mamy odźwiernego. I faceta, który obsługuje windę. I widok z okna na Metropolitan Museum, a wszystkie okna w mieszkaniu matki Luke'a są podwójne, więc nawet nie słyszą klaksonów i syren z Piątej Alei.

I płacę za to tylko tysiąc miesięcznie. Plus rachunki.

Ale wszystko to oddałabym natychmiast, gdybym tylko od czasu do czasu mogła kupić sobie zwyczajną caffè misto i nie borykać się potem z wyrzutami sumienia.

I właśnie to sprowadza mnie do monsieur Henriego, niecałe cztery przecznice od mieszkania pani de Villiers. To jedno z najpopularniejszych miejsc na Manhattanie, gdzie można odnowić lub przerobić suknię ślubną. Każda kobieta, która się choć trochę liczy, oddaje swoją suknię ślubną do przeróbek lub odnowienia właśnie do zakładu monsieur Henriego. A przynajmniej tak twierdzi pani Erickson spod piątki, którą wczoraj wieczorem poznałam w pralni (instalacja wodno-kanalizacyjna w kamienicy pani de Villiers jest tak stara, że nie można w każdym mieszkaniu zainstalować pralki i suszarki, a koszt remontu instalacji wpłynąłby znacząco na już i tak wysoką opłatę administracyjną). W każdym razie ona mi powiedziała, że dodając pół szklanki octu do cyklu płukania, człowiek oszczędza na dodatkowym wydatku na płyn do płukania tkanin. A przecież ona się na tym zna. To znaczy, miała na palcu pierścionek z brylantem niemal tak dużym jak piłeczka pingpongowa. Powiedziała, że sama pierze swoje rzeczy, bo musiała zwolnić

pokojówkę za pijaństwo, a agencja pośrednictwa jeszcze jej nie znalazła następnej.

Więc kiedy naciskam dzwonek przy drzwiach monsieur Henriego, jestem w miarę pewna, że chociaż raz totalnie nie zmarnuję swojego czasu. Pani Erickson zrobiła na mnie wrażenie osoby, która zna się na rynku odnawiania sukien ślubnych - czyli tego segmentu, którym chcę się zająć teraz, skoro odnawianie i sprzedaż klasycznych starych ubrań nie wypaliły. W ciągu ostatnich dwóch tygodni odwiedziłam każdy sklep z odzieżą typu vintage w promieniu pięciu dzielnic... I żaden z nich nie szukał pracownicy.

Przynajmniej tak twierdzili kierownicy. Kilku z nich zauważyło na moim CV, że ukończyłam studia; uznali, że mam za wysokie kwalifikacje. Tylko jednemu z nich chciało się zajrzeć do portfolio przerobionych przeze mnie ubrań typu vintage. A kiedy skończył przeglądanie, powiedział:

- Może to wywiera wrażenie u pani w domu, w Iowa, ale tu klientki mają nieco bardziej wyrafinowany gust. Suzy Perette po prostu nie chwytą.

- Michigan - poprawiłam go. - Jestem z Michigan.

- Nieważne - odparł kierownik, przewracając oczami.

Nie miałam pojęcia, że ludzie potrafią być tacy wredni. A już zwłaszcza ludzie w środowisku, które zajmuje się odnawianiem ubrań vintage. Bo w domu ludzie kupujący używane rzeczy bardzo się nawzajem wspierają, a liczą się przede wszystkim jakość i oryginalność - a nie metka. Tutaj, według słów jednego z kierowników: „Jeśli to nie Chanel, nikt na to nawet nie spojrzy”.

Niedobrze! Bardzo niedobrze!

A poza tym, według pani Erickson: „Po co w ogóle miałybyś pracować w jednym z tych paskudnych sklepików? Wierz mi, ja się na tym znam. Moja przyjaciółka Esther pracuje ochotniczo w takim sklepie ze starociami dla Sloan-Kettering. Mówi, że dochodzi tam do gorszących scen, kiedy zaczyna się walka o zwykłą apaszkę Pucci. Idź i zobacz się z monsieur Henrim. On cię ustawi w branży”.

Luke stwierdził, że podpieranie się w wyborze kariery radą kobiety spotkanej w pralni nie jest najrozsądniejszą rzeczą, o jakiej słyszał.

Ale Luke nie ma nawet pojęcia, w jak rozpaczliwej sytuacji teraz jestem. Bo mu nie powiedziałam. Usiłuję sprawiać wrażenie osoby obytej i bardzo dobrze wychowanej, kiedy w grę wchodzi Luke. To prawda, że

przeżył niezły szok, kiedy dostarczono mi wszystkie te pudła z rzeczami z domu, a my się zorientowaliśmy, że nie mamy gdzie ich trzymać. Na szczęście do mieszkania mamy Luke'a należy też osobne pomieszczenie obok garażu, w suterenie, gdzie schowałam wszystkie swoje bele materiałów i większość zapasów pasmanteryjnych.

Ubrania jednakże trafiły od razu na przenośny wieszak, który kupiłam w Bed, Bath and Beyond, i zainstalowałam w sypialni, pod pełnym dezaprobaty spojrzeniem dziewczynki Renoira. Luke wydawał się nieco zaskokowany, kiedy to zobaczył. „Nie miałem pojęcia, że ktoś może mieć więcej ubrań niż moja matka”, powiedział, ale szybko się pozbierał i nawet poprosił mnie, żebym mu zaprezentowała parę co bardziej seksownych ciuszków (oraz, z jakiegoś powodu, mój bawarski kostium, na którego widok ma jakąś niesamowitą frajdę).

Ale Luke nie wie, że jeśli szybko się coś nie zmieni, to te skórzane spodenki, tak samo jak i cała reszta mojej kolekcji, trafiana eBay. Bo zostało mi zaledwie kilkaset dolarów.

I chociaż serce chyba mi pęknie, jeśli będę musiała sprzedawać ubrania, które przez tyle lat kolekcjonowałam, to jeszcze prędzej by mi pękło, gdybym musiała przyznać się Luke'owi, że nie mam pieniędzy na opłaty za przyszły miesiąc.

I chociaż wiem, że on by się tylko roześmiał i powiedział, że nie ma problemu i żebym się tym nie martwiła, to nie mogę przestać się tym martwić. Nie chcę mieszkać u niego jako jego utrzymanka czy coś w tym stylu. Po pierwsze, to raczej nie jest żadna pewna ścieżka kariery, jak wiemy z historii Evity Peron. Poza tym ja bym chciała móc wybrać się na zakupy! Tak strasznie chciałabym dodać do mojej kolekcji nowe rzeczy!

Ale nie mogę. Bo jestem pod kreską.

A więc monsieur Henri to moja ostatnia nadzieja. Bo jeśli to się nie uda, to ja totalnie będę musiała sprzedać moje Suzy Perette, a może nawet i Gigi Young. Albo zarejestrować się w agencji pracy czasowej. Do końca życia będę już wysyłała faksy i porządkowała dokumenty, o ile w ogóle ktoś mnie zechce zatrudnić.

Monsieur Henri (czy kim jest ten facecik, który wpuszcza mnie, kiedy naciskam guzik dzwonka przy drzwiach zakładu) wprowadza mnie do poczekalni swojej pracowni, cały w uśmiechach i uprzejmościach, dopóki mu nie wytłumaczę, że nie wychodzę za mąż (jeszcze), lecz przyszłam zapytać o możliwość znalezienia u niego pracy. W tym momencie dociera do mnie, że czeka mnie agencja pracy czasowej.

Bo temu wąsatemu panu w średnim wieku rzędzie mina, a potem pyta mnie podejrzliwym głosem, z silnym francuskim akcentem:

- Kto cię tu przysłał? Czy to Maurice?

Wytrzeszczam na niego oczy.

- Nie mam pojęcia, kto to jest Maurice - mówię, a w tej samej chwili drobniutka, przypominająca ptaszka Francuzeczka wychodzi z zaplecza, a na ustach ma szeroki uśmiech... Póki nie słyszy słowa „Maurice”.

- Uważasz, że ona jest szpiegiem od Maurice'a? - pyta tego pana szybką francuszczyzną (którą teraz rozumiem - no cóż, w większości - spędziwszy całe lato we Francji, a przedtem ucząc się francuskiego przez semestr na studiach).

- Na pewno - odpowiada mężczyzna po francusku i równie szybko. - No bo niby skąd wzięłaby się tutaj?

- Nie, naprawdę! - wołam. Znam francuski na tyle, żeby rozumieć, ale nie dość, żeby samej mówić w tym języku. - Nie znam nikogo o imieniu Maurice. Przysłał tu, bo jak rozumiem, mają państwo najlepszy zakład renowacji sukien ślubnych na Manhattanie. A ja chcę się zajmować renowacją sukni ślubnych. No cóż, to znaczy, ja się tym już zajmuję. Proszę spojrzeć na moje portfolio...

- O czym ona mówi? - pyta męża madame Henri (bo przecież to musi być właśnie ona, nieprawdaż?)

- Nie mam pojęcia - odpowiada on. Ale bierze ode mnie album i zaczyna przerzucać kartki.

- To suknia Huberta de Givenchy'ego, znalazłam ją na strychu - opowiadam im, kiedy dochodzą do strony ze zdjęciem sukni ślubnej Bibi de Villiers. - Owinięto nią dubeltówkę i cała była poplamiona rdzą. Udało mi się usunąć rdzę, mocząc ją przez całą noc w dwuwinianie potasu. Potem w rękę naprawiłam ramiączka i obrębek na dole...

- Ale po co ty nam to pokazujesz? - pyta monsieur Henri, oddając mi album. Za jego głową na ścianie wiszą liczne zdjęcia sukni ślubnych przed renowacją i po tej przeprowadzonej przez niego. Robią niemałe wrażenie. Niektóre z nich były tak pożółkłe ze starości, że wyglądały, jakby miały się rozpaść przy najlżejszym dotknięciu.

Ale monsieur Henri potrafił przywrócić im tę oryginalną, śnieżną biel. Albo naprawę zna się na tkaninach, albo na zapleczu trzymają jakieś potężne chemikalia.

- Ponieważ - mówię powoli - dopiero co przeprowadziłam się do Nowego Jorku z Michigan i szukam pracy...

- Maurice cię tu nie przysłał? - Monsieur Henri nadal podejrzliwie mruży oczy.

- Nie - odpowiadam. Naprawdę, co tu się dzieje? - Ja nawet nie wiem, o kim państwo mówią.

Madame Henri -która stanęła u boku swojego o wiele od niej wyższego męża i z zątego ramienia zerkała do mojego portfolio - mierzy mnie wzrokiem, notując wszystkie szczegóły mojego wyglądu, od dziarskiego kucyka (pani Erickson poradziła mi, bym się uczesała tak, żeby mi włosy nie wpadały do oczu), poprzez sukienkę tubę Josepha Ribkoffa, na którą narzuciłam antyczny kardigan naszywany paciorkami. (Ochłodziło się już od czasu mojego przyjazdu do Nowego Jorku. Lato jeszcze niezupełnie się skończyło, ale zdecydowanie czuje się już w powietrzu jesień).

- Jean, jajej wierzę - mówi do męża po francusku. - Popatrz na nią. Maurice nie wysłałby kogoś tak głupiego, żeby nas wykiwać.

Mam ochotę zawołać gniewnie: „Coś podobnego!”, obrazić się i wyjść z tej pracowni, bo doskonale zrozumiałam, że właśnie określiła mnie jako głupią.

Ale z drugiej strony widzę, że monsieur Henri przewrócił stronę i patrzy na zdjęcia przed i po tej obrzydliwej sukni ślubnej własnoręcznie zaprojektowanej przez kuzynkę Vicky, którą udało mi się przerobić na coś nadającego się do włożenia (choćaż koniec końców wybrała odnowioną przeze mnie suknię Givenchy). Minę ma autentycznie zainteresowaną.

Więc zamiast tego mówię, wskazując na suknię Vicky:

- Musiałam to wszystko szyć ręcznie. Bo byłam wtedy w podróży i nie miałam swojego singera.

- To są ręczne szwy? - pyta, zmrużonymi oczami wpatrując się w zdjęcie i sięgając po parę dwuogniskowych okularów do kieszeni koszuli.

- Tak - odpowiadam, usiłując nie zerkać w stronę jego żony. „Głupia!” A co ona może o mnie wiedzieć?! Przecież najwyraźniej nie umie nawet czytać. Bo w moim CV stoi jak wół, że jestem absolwentką Uniwersytetu Michigan. A przynajmniej będę nią w styczniu. Na Uniwersytet Michigan nie przyjmują głupich ludzi... Nawet gdyby ich ojcowie byli kierownikami cyklotronów.

- Te plamy rdzy — pyta monsieur Henri - usunęłaś bez użycia chemii?

- Tylko dwuwinian potasu - mówię. - Namoczyłam suknię na całą noc.

Monsieur Henri mówi nie bez dumy:

- My tutaj też nie używamy chemikaliów. To dlatego otrzymaliśmy poparcie ze strony Związku Konsultantów Ślubnych i Certyfikat Specjalistów Renowacji Ślubnych Sukien.

Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Ja nawet nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak Certyfikat Specjalistów Renowacji Ślubnych Sukien. Więc po prostu rzucam:

- Super.

Madame Henri szturcha męża łokciem.

- Powiedz jej - mówi po francusku - o tej drugiej sprawie.

Monsieur Henri zerka na mnie przez szkła swoich okularów.

- Narodowy Związek Usługodawców Ślubnych dał nam najwyższą ocenę.

- Ten *cochon* Maurice nigdy takiej nie dostał! - woła madame Henri.

Mam wrażenie, że nazywanie tego biednego Maurice'a - kimkolwiek by był - świnia, to już lekka przesada. Zwłaszcza że o Narodowym Związku Usługodawców Ślubnych też nigdy nie słyszałam.

Ale jeszcze raz udaje mi się, jak nigdy w życiu, trzymać język za zębami. W witrynie malutkiego zakładu na manekinach wiszą dwie ślubne suknie. Według umieszczonych przed nimi tabliczek są to stare, odnowione suknie... i obie są wspaniałe. Jedna jest naszywana drobnymi perłami, które połyskują na niej jak krople rosy i lśnią w słońcu. A druga to skomplikowana konstrukcja z koronkowych falbanek i palce aż mnie świerzbią, żeby jej dotknąć i sprawdzić, jak to cudo zostało skrojone.

Pani Erickson miała rację. Monsieur Henri zna się na swojej pracy. Mogłabym się od niego wiele dowiedzieć - i to nie tylko na temat szycia, ale i sposobu prowadzenia zyskownego interesu.

Szkoda tylko, że madame Henri to taka...

- To bardzo stresująca praca - dodaje monsieur Henri. - Kobiety, które do nas przychodzą... Dla nich to najważniejszy dzień w życiu. Ich suknie muszą być absolutnie idealne i dostarczone na czas.

- Sama jestem w każdym calu perfekcjonistką- odpowiadam.- Zdarzało mi się nie spać całą noc, żeby wykończyć suknię, nawet jeśli nie gonił mnie termin.

Monsieur Henri chyba mnie wcale nie słucha.

- Nasze klientki potrafią być wymagające. Jednego dnia chcą tego. Następnego dnia czego innego...

- Potrafię się dostosować - przerywam mu. - I naprawdę świetnie radzę sobie z ludźmi. Można by nawet powiedzieć, że jestem urodzonym psychologiem. - O Boże. Czy ja to rzeczywiście powiedziałam? - Ale nigdy nie pozwoliłabym klientce wybrać czegoś, w czym nie będzie jej do twarzy.

- To jest rodzinna firma - oświadcza monsieur Henri z nagłą i prze-
rażającą stanowczością, zamykając moje portfolio z głośnym trzaskiem. - Nie mam zamiaru zatrudniać osób spoza rodziny.

- Ale... - Nie. On mnie nie odprawi z kwitkiem. Muszę się dowiedzieć, jak są uszyte te koronkowe falbanki. - Wiem, że nie należę do rodziny. Ale jestem dobra. A czego nie wiem, tego mogę się bardzo szybko nauczyć.

- *Non* - mówi monsieur Henri. - To na nic. Stworzyłem ten interes dla swoich synów...

- A oni nie chcą mieć z nim nic wspólnego - mówi po francusku jego żona z goryczą. - Wiesz o tym, Jean. Te leniwe prosiaki chcą tylko chodzić na *discotheque*.

Hm. Więc jej rodzeni synowie to też świnię? No i jeszcze... *discotheque*"}
}

- ...poza tym sam wykonuję wszystkie prace - kończy wyniosłym tonem monsieur Henri.

- Jasne - parska madame Henri. - I dlatego nie masz już ani chwili czasu dla mnie. Ani dla naszych synów. Puszczasz ich zupełnie samopas, bo wiesz, że musisz mniej się stresować albo skończy się zawałem. Ciągłe powtarzasz, że chciałbyś pracować mniej, czasami zostawić sklep w rękach kogoś innego, żebyśmy mogli pojechać na trochę do Prowansji. Ale co robisz w tej sprawie? Oczywiście, nic.

- Mieszkam tuż za rogiem - mówię, próbując nie zdradzać po sobie, że rozumiem każde słowo z ich rozmowy. - Mogę tu być zawsze, kiedy jestem potrzebna. No wie pan, gdyby chciał pan spędzić nieco więcej czasu z rodziną.

Madame Henri wbija we mnie wzrok.

- Może - mruczy w swoim ojczystym języku - ona wcale jednak nie jest aż taka głupia.

- Proszę - mówię, powstrzymując się, żeby na cały głos nie wrzasnąć: „Gdybym była taka głupia, to czy mieszkałabym przy Piątej Alei?” Bo oczywiście, ludzie, którzy oceniają innych po adresie zamieszkania, są głupi. - Pana suknie są takie piękne. Któregoś dnia zamierzam otworzyć własny zakład. Więc to przecież logiczne, że chciałabym się uczyć od kogoś najlepszego w branży. I mam referencje. Może pan zadzwonić do kierowniczkę ostatniego sklepu, w którym pracowałam...

- *Non* - powtarza monsieur Henri. - *Non*. Nie jestem zainteresowany. I oddaje mi moje CV.

- No i kto jest teraz głupi? - pyta jego żona zgrzyliwie.

Ale monsieur Henri - być może dlatego, że zauważył łzy, które mi nagle napłynęły do oczu... Nie, no ja wiem! Płakać... W czasie rozmowy o pracę! - chyba nieco mięknie.

- Mademoiselle - mówi, kładąc mi dłoń na ramieniu. - To nie tak, że nie ma pani talentu. Tylko że my jesteśmy bardzo małym zakładem. A moi synowie, oni teraz są na studiach. To bardzo drogo kosztuje. Nie stać mnie na zatrudnienie dodatkowej osoby.

I wtedy słyszę te cztery słowa, które wyrwywają mi się z ust - tak jak czasami wymyka się z nich ślina, kiedy śpię - chociaż nigdy bym nie myślała, że usłyszę je z własnych ust. I natychmiast, kiedy już je wypowiedziałam, mam ochotę się zastrzelić. Ale jest za późno. Już to powiedziałam.

- Będę pracowała za darmo.

Boże! Nie! Co ja wygaduję?!

Ale to chyba podziałało. Monsieur Henri ma zaintrygowaną minę. A jego żona uśmiecha się tak, jakby właśnie wygrała los na loterii.

- Chcesz powiedzieć, że to będzie taka praktyka? - Monsieur Henri zdejmuje okulary, żeby przyjrzeć mi się uważniej.

- Ja... ja... - O Boże. Jak ja się z tego teraz wykręcę? Zwłaszcza że wcale nie jestem pewna, czy chcę się wykręcać. - Chyba tak. A potem, kiedy przekonają się państwo, jak ciężko pracuję, może zechcą państwo wziąć pod uwagę awansowanie mnie na płatne stanowisko.

Dobra. No to już zabrzmiało lepiej. Dokładnie tak zrobię. Będę dla niego harowała jak wół i stanę się niezastąpiona. A potem, kiedy już nie będzie mógł się beze mnie obyć, zagrozę odejściem, chyba że mi zapłaci.

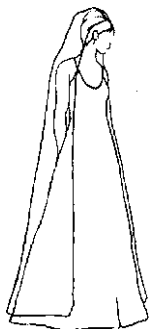
Mam wrażenie, że to nie jest najefektywniejsza strategia zdobywania pracy. Ale tylko taką w tej chwili dysponuję.

- Stoi - mówi monsieur Henri. A potem ściąga dwuogniskowe okulary i wyciąga do mnie rękę. - Witaj w firmie.

- Hm. - Podaję mu dłoń, wyczuwając odciski na jego rękach. -
Dzięki.

Co madame Henri komentuje triumfalnie, po francusku:

- Ha! Ona jednak faktycznie jest głupia!



Rozdział 7

Najłatwiej jest dotrzymać słowa, nie dając go.

Napoleon (1769-1821), cesarz Francji

Zdejmując miarę, płaczę.

Nic na to nie poradzę. Jestem po prostu taka pokręcona.

I przecież wiem, że nikogo nie ma w domu.

Więc kiedy z sypialni wychodzi z zaspaną miną i postrzępioną książką w rękę Chaz i mówi: „Na miły Bóg, co ty tutaj robisz?“, wrywa mi się nagły okrzyk i potykam się, wypuszczając centymetr krawiecki z ręki.

- Nic ci nie jest? - Chaz chce mnie ująć pod ramię, ale jest za późno. Już klapnęłam na tyłek pośrodku jego salonu.

Uważam, że to вина tego pochyłego parkietu. Naprawdę.

- Nie. - Pociągam nosem. - Nie, nic mi nie jest.

- Co się stało? - Chaz właściwie się nie śmieje. Ale kąciuki ust wyraźnie unoszą mu się w górę.

- To nie jest śmieszne - mówię. Życie na Manhattanie kompletnie odarło mnie z poczucia humoru. Och, jasne, wszystko jest w porządku, kiedy Luke i ja leżymy razem w łóżku albo zwijamy się na kanapie jego mamy i oglądamy konkurs striptizu na ekranie jej plazmowego telewizora (kiedy się go nie włącza, jest pomysłowo ukryty za prawdziwym szesnastowiecznym gobelinem z uroczą sielankową sceną).

Ale wówczas, kiedy Luke wychodzi z domu na zajęcia - które zazwyczaj trwają od dziewiątej do piątej w każdy powszedni dzień - a ja zostaję sama, wracają do mnie wszystkie moje wątpliwości i zaczynam zdawać sobie sprawę, że jestem tak samo bliska odniesienia porażki w Nowym Jorku, jak zdarzyło się to Kathy Pennebaker. Jedyna różnica

między nami polega na tym, że ja nie mam żadnych zaburzeń osobowości.

A przynajmniej takich, które dałoby się klinicznie zdiagnozować.

- Przepraszam - powiada Chaz. Próbuje powstrzymać uśmiech, patrząc na mnie. - A zdradzisz mi, po co zakradasz się do mojego mieszkania w środku dnia? Luke nie pozwala ci płakać w mieszkaniu swojej mamy czy jak?

- Nie - odpowiadam, nadal siedząc na podłodze. Dobrze jest tak sobie popłakać. Poza tym Shari i Chaz utrzymują mieszkanie we względnym porządku, więc raczej się nie martwię, że sobie pobrudzę sukienkę. - Shari dała mi wasz zapasowy klucz, żebyśmy mogła przyjść i wziąć miarę na narzuty i zasłony, które chcę dla was uszyć.

- Uszyjesz dla nas narzuty i zasłony? - Chaz ma zadowoloną minę. - Super. - Ale przestaje się cieszyć, kiedy widzi, że nadal płaczę. - Albo może nie super. Jeśli przez to płaczesz.

- Nie płaczę przez narzuty - mówię i ocieram oczy grzbietem dłoni. - Płaczę, bo jestem taka beznadziejna.

- Okay. Skoro tak, to muszę się czegoś napić - oświadcza Chaz i wzdycha. - Chcesz coś?

- Alkohol nic nie zmieni - zawodzę.

- Nie - zgadza się Chaz. - Ale przez całe popołudnie czytałem Wittgensteina, więc może dzięki niemu pozbędę się myśli samobójczych. Pijesz czy nie? Chodzi za mną gin z tonikiem.

- P-piję - czkam. Może odrobina ginu pomoże mi wziąć się w garść. Babcie zawsze jakoś podnosił na duchu.

I w ten sposób za chwilę siedzę obok Chaza na jego wykończonej złoceniami kanapie. (Poduszki też są złote. Gdybym nie wiedziała, że to mebel z kancelarii prawniczej, przysięgłabym, że te kanapy stały kiedyś w chińskiej restauracji. Niezłej restauracji, ale zawsze). Opowiadam mu smutną prawdę o stanie moich finansów.

- I teraz - kończę, trzymając w ręku wysoką, oszronioną szklankę, której zawartość prawie już zniknęła - mam pracę, nie powiem, że to praca moich marzeń, ale uważam, że na pewno mogłabym się tam wiele nauczyć, ale nie mam pensji i nie mam też zielonego pojęcia, jak zdobyć pieniądze na opłaty za następny miesiąc. Bo przecież nawet nie mogę iść do agencji pracy czasowej, bo nie dysponuję całym wolnym dniem, skoro będę musiała siedzieć u monsieur Henriego. A wiesz, że nie nadaje się do stania za barem albo kelnerowania. Poważnie, jeśli nie sprzedam

swojej kolekcji ubrań, to sobie nie poradzę. Ja nawet nie wiem, skąd wziąć kasę na przejazd metrem w drodze powrotnej od was do domu. I nie mogę powiedzieć Luke'owi. Po prostu nie mogę, on pomyśli, że jestem głupia, zupełnie tak jak myśli madame Henri. I nie mogę poprosić rodziców o pieniądze, bo oni ich nie mają, a poza tym przecież jestem dorosła, powinnam sama się utrzymywać. Więc najwyraźniej będę musiała powiedzieć monsieur Henriemu, że jest mi bardzo przykro, ale popełniłam błąd, i iść do najbliższej agencji pracy czasowej i mieć nadzieję, że znajdą tam coś, cokolwiek, dla mnie.

Biorę głęboki, drżący oddech.

- Albo to, albo będę musiała wracać do Ann Arbor i liczyć na to, że moja stara posada w Vintage to Vavoom jest jeszcze wolna. Tylko że jeśli tak zrobię, to wszyscy będą sobie wkoło opowiadali, jak Lizzie Nichols próbowała zrobić karierę w Nowym Jorku, ale nie dała rady, zupełnie jak Kathy Pennebaker.

- To ta, która odbijała cudzych chłopaków? - pyta Chaz.

- Tak - odpowiadam, myśląc, jak miło, że chłopak Shari zna już ważne osoby i odniesienia do naszego życia, więc nie trzeba mu wszystkiego wyjaśniać, tak jak Luke'owi.

- No cóż - mówi. - Nie będą cię z nią porównywali. Ona ma zaburzenia osobowości.

- Właśnie. W przeciwieństwie do mnie miała przynajmniej jakąś wymówkę, żeby sobie w Nowym Jorku nie poradzić.

Chaz się zamyśla.

- Jest poza tym podłą suką. Hej, powtarzam tylko to, co usłyszałem na ten temat od Shari.

Chyba zaczynam dostawać migreny.

- Czy możemy nie mieszać do tego Kathy Pennebaker?

- Sama ją wspomniałaś - wytyka mi Chaz.

Co ja tutaj robię? Co ja robię, siedząc na kanapie chłopaka mojej najlepszej przyjaciółki i opowiadając mu o swoich wszystkich problemach? A co gorsza, to najlepszy przyjaciel mojego chłopaka.

- Jeśli powiesz Luke'owi - warczę - cokolwiek z tego, co ci dzisiaj opowiedziałam, to cię zabiję. Mówię serio, naprawdę, cię zabiję.

- Wierzę ci - odpowiada poważnym tonem Chaz.

- To dobrze. - Wstaję na nogi. Nie trzymam się na nich zupełnie pewnie. Chaz nie żałował tego ginu. - Muszę wracać. Luke niedługo będzie w domu.

- Czekaj, mała - mówi Chaz i ciągnie mnie znów na kanapę, szarpiąc za poję moje go wyszywanego koralikami kardigana.

- Hej - protestuję. - Wiesz, to kaszmir.

- Uspokój się - rzuca Chaz. - Mam zamiar ci pomóc.

Zasłaniam się przed nim obiema wyciągniętymi przed siebie dłońmi.

- O nie. Wykluczone. Nie chcę żadnej pożyczki, Chaz. Poradzę sobie sama albo wcale. Nawet nie tknę twoich pieniędzy.

- Dobrze wiedzieć - kwituje Chaz. - Bo ja wcale nie miałem zamiaru proponować ci kasy. Zastanawiałem się natomiast, czy mogłabyś tę pracę przy sukniach ślubnych wykonywać na pół etatu. Na przykład, tylko popołudniami.

- Chaz - mówię, opuszczając ręce. - Mnie nie będą płacić za tę pracę przy sukniach ślubnych. Kiedy człowiek nie bierze pensji, może sam decydować o godzinach swojej pracy.

- Słusznie. Więc poranki masz wolne?

- Niestety, tak.

- Bo tak się akurat składa, że Pendergast, Loughlin i Flynn właśnie stracili swoją poranną recepcjonistkę na rzecz objazdowego musicialu *Tarzan*.

Gapię się na niego.

- Kancelaria adwokacka twojego taty?

- Właśnie - mówi Chaz. - Jak się okazuje, posada recepcjonistki jest tam zajęciem tak obciążającym, że podzielono ją na dwie zmiany, jedną od ósmej rano do drugiej po południu, a drugą od drugiej po południu do ósmej wieczorem. Popołudniową zmianą zajmuje się obecnie dziewczyna, która chce zostać modelką, więc musi mieć poranki wolne, żeby biegać na castingi... Albo dochodzić do siebie po kacu po imprezach poprzedniego wieczoru, jeśli wolisz wierzyć w to drugie. Ale szukają teraz kogoś, kto weźmie na siebie poranną zmianę. Jeśli poważnie myślisz o pracy, mogłaby to być dla ciebie niezła fucha. Miałabyś wolne popołudnia, żeby pracować za darmo dla tego monsieur Jak-mu-tam i nie musiałabyś wyprzedawać swojej kolekcji Betty Boop czy jak to się tam nazywa. Płacą tylko dwadzieścia dolców za godzinę, ale masz normalne dodatki w rodzaju ubezpieczenia zdrowotnego i płatnych waka...

Ale nie udaje mu się dokończyć. Bo ja rzucam się na niego, kiedy tylko dotarło do mnie to „dwadzieścia dolarów za godzinę”.

- Chaz, ty mówisz poważnie?! - wołam, szarpiąc go za T-shirt. - Wstawisz się tam za mną?

- Auć - syczy Chaz. - Ciagniesz mnie za włosy na kłacie.

Puszczam go.

- O Boże, Chaz! Gdybym mogła pracować przez' cały ranek, a potem iść do monsieur Henriego po południu... Może jakoś dałabym radę. Może jakoś, mimo wszystko, udałoby mi się poradzić sobie w Nowym Jorku! I nie będę musiała sprzedawać swoich rzeczy! Nie będę musiała wracać do domu! - A co ważniejsze, nie będę musiała przyznać się Luke'owi, że jestem taką nieudacznicą.

- Zadzwońię do Roberty z działu kadr i umówię cię na rozmowę. Ale uprzedzam cię, Lizzie, to nie jest łatwa praca. Jasne, zajmujesz się jedynie łączeniem rozmów telefonicznych. Ale kancelaria mojego taty specjalizuje się w rozwodach i planowaniu małżeństw, innymi słowy, w kontraktach przedmałżeńskich. Klienci są dość wymagający, a prawnicy mają muchy w nosie. Naprawdę potrafią stworzyć spiętą atmosferkę. Wiem, bo tata kazał mi kiedyś latem pracować w dziale korespondencji, tuż po liceum. I było okropnie.

Prawie go nie słucham.

- Obowiązuje jakiś strój służbowy? Będę musiała nosić rajstopy? Nie cierpię cienkich rajstop.

Chaz wzdycha.

- Roberta wszystko ci wyjaśni. Posłuchaj. Żeby tym razem wszystko nie kręciło się wyłącznie koło ciebie, możesz mi powiedzieć, co się ostatnio dzieje z Shari?

Tym razem zwraca moją uwagę.

- Shari? O czym ty mówisz?

- Sam nie wiem. - Przez chwilę Chaz wygląda młodziej niż na te swoje dwadzieścia sześć lat, czyli tylko trzy więcej niż mamy Shari i ja, co pod wieloma względami oznacza jednocześnie całe dekady. Osobiście uważam, że to efekt wysyłania dziecka do szkoły z internatem w czasie tych najważniejszych nastoletnich lat. Ale może się myłę. Ja po prostu nie wyobrażam sobie, że człowiek ma dziecko i z własnej woli odsyła je z domu, tak jak Chaza wysłali z domu jego rodzice tylko dlatego, że miał lekkie ADHD. - Ona po prostu nie przestaje gadać o tej swojej nowej szefowej.

- O Pat? - Sama już dostaję mdłości od słuchania opowieści o Pat. Za każdym razem, kiedy rozmawiam z Shari, ma do przekazania kolejną historię o swojej nieustraszonej szefowej.

Ale w sumie się nawet nie dziwię, że ta kobieta zrobiła na Shari wrażenie. Mimo wszystko dzięki niej udało się setkom, a może nawet tysiącom kobiet uratować życie, chroniąc je przed przemocą i znajdując im nowe, bezpieczniejsze schronienie.

- Tak - mruczy Chaz, kiedy o tym wspominam. - Wiem o tym wszystkim. I cieszę się, że Shari lubi swoją pracę i tak dalej. Tylko że... Ja już jej prawie nie widuję. Ciągle jest w biurze. I to nie od dziewiątej do piątej, ale wieczorami, i w niektóre weekendy też.

- No cóż - mówię. Niestety, już zaczynam trzeźwieć. - Jestem pewna, że ona po prostu stara się utrzymać na powierzchni. Z tego co mówi, dziewczyna, która wcześniej pracowała na tym stanowisku, zostawiła po sobie okropny bałagan. Twierdzi, że to potrwa całe miesiące, zanim zdoła wszystko uporządkować.

- Tak - mruczy Chaz. - Też mi to mówiła.

- A więc... Powinieneś być z niej dumny. Pracuje dla dobra tego świata. - W przeciwieństwie do mnie oraz, chciałoby się dodać, Chaza, który przecież zajmuje się wyłącznie swoim doktoratem. Chociaż, kiedy już go zrobi, zamierza wykładać. Co podziwiam. No bo kształtowanie młodych umysłów i tak dalej. To z pewnością więcej niż kiedykolwiek da się powiedzieć o mnie.

Ale młode dziewczyny naprawdę się nudzą...

No dobra, muszę przestać wciąż myśleć o tej piosence.

- Ja jestem z niej dumny - mówi Chaz. - Ja bym tylko chciał, żeby ona dla dobra tego świata pracowała kilka godzin dziennie mniej, to wszystko.

Uśmiecham się do niego.

- Słodki jesteś. Uwielbiasz swoją dziewczynę.

Rzuca mi ironiczne spojrzenie.

- Może ty jednak masz jakieś zaburzenia osobowości - mówi.

Śmieję się i zamierzam na niego ręką, ale się uchyła.

- A co z tobą i Lukiem? - pyta. - Bo pomijając ten wstydlivy sekret, który przed nim ukrywasz, co do swojej skrajnej nędzy, to jak się wam dwojgu układa?

- Świetnie - mówię. Zastanawiam się, czy nie zapytać go, co powinienam zrobić w sprawie mamy Luke'a. Ten facet, który dzwonił, ten z akcentem, znów zostawił wiadomość i był urażony tym, że Bibi nie pojawiła się na spotkaniu. Ponownie nie zostawił nazwiska i po raz kolejny wspomniał, że są umówieni i że będzie czekał.

Skasowałam wiadomość, zanim Luke wrócił do domu po zajęciach. Po prostu uznałam, że żaden facet nie chciałby słuchać podobnych rzeczy. Zwłaszcza na temat własnej matki.

Oczywiście fakt, że nie wypaplałam tego wszystkiego Luke'owi natychmiast, kiedy wszedł do domu, uznałam za znak mojej nowo nabytej dojrzałości i umiejętności trzymania języka za zębami.

A że nie paplę o tym teraz Chazowi, jeszcze bardziej dowodzi, że nabywam niesamowitego, nowojorskiego opanowania.

Zamiast tego zwracam się do Chaza lekkim tonem:

- Tymczasem stosuję metodę na płochliwe leśne stworzonko i to na razie działa.

Chaz gapi się na mnie.

- Na co?!

Nieco za późno zdaję sobie sprawę, że ten jego swobodny sposób bycia wprowadził mnie w złudne poczucie bezpieczeństwa... i to do tego stopnia, że zaczęłam opowiadać mu o rzeczach, które normalnie zachowuję wyłącznie dla Shari! Co ja wyprawiam, opowiadając jakiemuś facetowi o swojej teorii płochliwego leśnego stworzonka? Co gorsza zresztą, facetowi, który jest najlepszym przyjacielem mojego chłopaka?

- Hm, nieważne - mówię szybko. - Z Lukiem wszystko świetnie.

- Ale o co chodzi z tym strachliwym leśnym zwierzątkiem? - dopytuje się Chaz.

- Nic takiego - powtarzam. - To... Nieważne. To takie babskie gadanie. Nic istotnego.

Ale Chaz totalnie nie chce odpuścić.

- Czy tu chodzi o seks?

- O mój Boże! - wołam. - Nie! Nie chodzi o seks!

- No to o co chodzi? Przecież możesz mi powiedzieć. Nic nie powiem Luke'owi.

- Och, jasne! - parskam. - Już to przedtem słyszałam...

Chaz robi urażoną minę.

- Co? Czyja kiedykolwiek wygadałem coś o tobie któremuś twojemu chłopakowi?

Piorunuję go wzrokiem.

- Ja nigdy przedtem nie miałam chłopaka. A przynajmniej takiego, który nie byłby gejem albo nie naciągająby mnie na pieniądze. To znaczy, póki jeszcze miałam jakieś pieniądze.

- No proszę, powiedz mi - nie ustępuje Chaz. - Co to znaczy stosować metodę na płochliwe leśne stworzonko? Przysięgam, że nikomu nie powtórzę.

Widzę, że nie mam wyjścia i będę musiała wszystko mu powiedzieć. Inaczej nigdy się nie odczepi. A znając moje szczęście, wróci do tego kiedyś w obecności Luke'a.

- To tylko taka teoria, jaką sobie wyrobiłam, okay? Że faceci są zupełnie jak płochliwe leśne stworzonka. I że chcąc takie stworzonko przywabić, nie wolno wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Trzeba działać subtelnie. Trzeba być opanowanym.

- Przywabić dokąd? - pyta Chaz, który chyba rzeczywiście nie chwytą. - Przecież Luke'a już przywabiłaś. Znaczący, mieszkacie razem. Chociaż ja nadal nie rozumiem, czemu nie możesz powiedzieć swoim rodzicom, że tak jest. Przecież w końcu będą musieli się dowiedzieć, że to nie z Shari dzielisz mieszkanie. Nie uważasz, że fakt, iż mieszkasz na Piątej Alei, wywoła u nich jakieś niewielkie podejrzenia?

Przewracam oczami.

- Chaz. Moi rodzice nie wiedzą, co to jest Piąta Aleja. Oni nigdy nie byli w Nowym Jorku. A ty wiesz, o czym ja mówię?

- Nie, naprawdę nie wiem. Oświecisz mnie?

- Pewnie - mówię. Bo najwyraźniej on nigdy się od tego tematu nie odczepi. - O skłonieniu ich do podjęcia zobowiązań.

- Skłonieniu ich do podjęcia... - W oczach Chaza pojawia się cień zrozumienia. Cień zrozumienia przemieszanego z całkiem sporą dawką paniki. - Ty chcesz wyjść za mąż za Luke'a?

Nie pozostawia mi wyboru, muszę wziąć jedną z tych złotych poduszek i cisnąć nią w niego w ataku furii.

- Nie mów tego w ten sposób! - wrzeszczy na niego. - I co w tym złego? Ja go kocham!

Tym razem Chaz jest zbyt osłupiała, żeby się uchylić. Poduszka odbija się od niego i przewraca pustą szklankę po ginie z tonikiem, która i tak chwiała się niepewnie na nierównej podłodze.

- Przecież znasz tego faceta od zaledwie jakichś trzech miesięcy! - woła. - I już myślisz o małżeństwie?

W głowie mi się nie mieści, że to się dzieje. Dlaczego ja znów wszystko wypaplałam? Dlaczego nigdy nie umiem niczego zachować wyłącznie dla siebie?

- A co, jest może jakiś konkretny moment, kiedy wolno człowiekowi zacząć o takich rzeczach decydować? Czasami pewne rzeczy po prostu się wie, Chaz.

- No tak, ale... Luke? - Chaz kręci głową z niedowierzaniem. To nie jest dobry znak. Biorąc pod uwagę, że Luke to jego najlepszy przyjaciel. I że on ma na pewno różne informacje z pierwszej ręki.

- Co z tego, że Luke? - pytam ostro. Ale przyznam, że chociaż mówię o tym wszystkim tak spokojnie - a przynajmniej mnie samej tak się wydaje - serce zaczyna mi walić bardzo szybko. O co mu chodzi? Dlaczego ma taką minę? Zupełnie jakby coś mu nieładnie zapachniało?

- Posłuchaj, nie zrozum mnie źle - tłumaczy Chaz. - Uważam, że z Luke'm świetnie jest się spotykać i tak dalej. Ale ja bym za męża za niego nie wychodził.

- Nikt cię o to nie prosi - odparowuję. - W sumie, w większości stanów byłoby to nawet nielegalne.

- Ha, ha - śmieje się Chaz. A potem zamyka się w sobie. - Słuchaj. Nieważne. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem. Zajmij się tym braniem go na strachliwe dzikie stworzonko czy co to tam było. Baw się dobrze.

- Leśne - poprawiam go. Teraz serce już mi nie tylko szybko wali. Raczej mam wrażenie, że za moment eksploduje w klatce piersiowej. - Leśne stworzonko. I wytłumacz mi, o co ci chodzi. Dlaczego nie chciałbyś wyjść za męża za Luke'a? To znaczy, pomijając to, że nie jesteś gejem. - I że Luke o to nie poprosił. To znaczy, mnie.

- Nie wiem. - Chaz ma mocno niepewną minę. - Bo małżeństwo to coś takiego ostatecznego. Musisz spędzić resztę swojego życia z tą osobą.

- Niekoniecznie. O ile wiem, twój tata stworzył sobie całkiem dochodową karierę z dbania o to, żeby nie zawsze tak właśnie bywało.

- W zasadzie o to właśnie mi chodzi - draży dalej Chaz. - Jeśli wybierzesz niewłaściwą osobę, może cię to kosztować setki tysięcy dolarów. To znaczy, o ile reprezentuje cię firma mojego taty.

- Ale moim zdaniem Luke to nie jest niewłaściwa osoba - wyjaśniam mu cierpliwie. - Dla mnie. I nie twierdzę, że chcę wyjść za niego za męża już jutro. Nie jestem przecież idiotką. Chcę ułożyć sobie życie zawodowe, zanim zacznę rodzić dzieci i tak dalej. I ja mu mówiłam, że to całe nasze wspólne mieszkanie to tak na próbę. Myślę, że jeśli wszystko dobrze się ułoży, to kiedy będę miała koło trzydziestki, miło byłoby mi wyjść za męża za Luke'a i już.

- No to chyba w porządku. Ale ja tylko mówię, że mnóstwo rzeczy może się wydarzyć w ciągu tych sześciu lat, zanim skończysz trzydziestkę...

- Siedmiu - poprawiam go.

- ...i że gdybyście byli końmi wyścigowymi, a ja miałbym na was stawiać, to nie stawiałbym na to, że Luke pierwszy z was dobiegnie do mety. Ani że w ogóle dobiegnie.

Kręcę głową. Serce mi się uspokaja. To jasne, że Chaz nie ma pojęcia, o czym mówi. Nie stawiałby na Luke'a? Co on plecie? Nie spotkałam w życiu kogoś fantastyczniejszego niż Luke. Czy Chaz zna jakichś innych facetów, którzy umieliby odtworzyć teksty wszystkich piosenek Rolling Stonesów z albumu *Sticky fingers* - i często śpiewaliby je pod prysznicem - i to nie fałszując? Czy Chaz zna jakiegoś innego faceta, który umiałby wziąć trochę oliwy, octu winnego, musztardy i jajko i zrobić z tego sos do sałaty tak pyszny, że lepszego nigdy nie jadłam? Czy Chaz zna jakiegoś innego faceta, który gotów byłby zrezygnować ze swojej przyjemnej pensji w bankowości inwestycyjnej po to, żeby wrócić na studia i zostać lekarzem i móc leczyć chore dzieci?

- Nieładnie jest mówić takie rzeczy o swoim najlepszym przyjacielu - wytykam mu.

Chaz robi obronną minę.

- Ja nie mówię, że to zły człowiek. Ja tylko mówię, że znam go 0 wiele dłużej niż ty, Lizzie, i że zawsze miał problem z... Cóż, powiedzmy sobie szczerze, że kiedy zaczynają się pojawiać trudności, Luke to taki typ, który pakuje się i znika. No wiesz, umywa ręce.

Jestem oburzona.

- Dlatego że zrezygnował ze studiów medycznych, żeby zostać bankierem inwestycyjnym, a potem zdał sobie sprawę, że popełnił błąd? Ludziom się to zdarza, Chaz, wiesz? Ludzie popełniają błędy.

- Ty nie popełniasz - mówi Chaz. - To znaczy, zdarza ci się pomylić. Ale w innych sprawach. Zawsze, od dnia kiedy cię poznałem, wiedziałaś, co będziesz chciała robić. Wiedziałaś też, że to nie będzie łatwe i że będzie wymagało wiele poświęcenia, i że prawdopodobnie nie zbijesz na tym majątku tak od razu. Ale to cię nigdy nie powstrzymało. Nie zrezygnowałaś ze swojego marzenia, kiedy zaczęły się pojawiać trudności.

Gapię się na niego.

- Chaz, czy ty w ogóle byłeś ze mną, w tym samym pokoju w czasie tej całej ostatniej rozmowy? Przecież właśnie dopiero co skończyłam ci mówić, że muszę zrezygnować ze swojego marzenia.

- Właśnie skończyłaś mi mówić, że zamierzasz wrócić do domu i zastanowić się, w jaki inny sposób, niezwiązany z Nowym Jorkiem, je realizować - poprawia mnie Chaz. - A to różnica. Posłuchaj, Liz, nie zrozum mnie źle. Ja nie twierdzę, że Luke to zły człowiek. Ja po prostu mówię, że ja bym nie...

- Zakładał się, że jako pierwszy dobiegnie do mety, gdyby on był koniem, a ty miałbyś na niego stawiać - kończę za niego niecierpliwie. - Tak, wiem. Słyszałam cię już za pierwszym razem. I chyba rozumiem, o czym mówisz. Ale ty mówisz o dawnym Luke'u. A nie o Luke'u, którym stał się teraz, kiedy ja go wspieram. Chaz, ludzie się zmieniają.

- Nie tak bardzo - upiera się Chaz.

- Owszem - mówię. - Zmieniają się. Aż tak bardzo.

- Czy możesz mi podać jakieś dane empiryczne, które udowodnią, że masz rację? - pyta Chaz.

- Nie - odpowiadam. Teraz już naprawdę zaczynam się niecierpliwie. Czasem nie mam pojęcia, jak Shari w ogóle wytrzymuje z Chazem. Och, jasne, jest słodki, ma taki sportowy wdzięk. I totalnie ją uwielbia, i podobno jest rewelacyjny w łóżku (czasami wydaje mi się, że Shari posuwa się w zwierzeniach za daleko). Ale co z tymi czapeczkami bejsbolowymi noszonymi tył do przodu? I z takimi: „Czy możesz mi podać jakieś dane empiryczne, które udowodnią, że masz rację?”

- W takim razie - ciągnie Chaz - twój argument jest zwodniczy...

Co powiedział Szekspir? „Najpierw zabijemy wszystkich prawników”? To powinno brzmieć: „Najpierw zabijemy wszystkich doktorantów filozofii”.

- Chaz! - przerywam mu. - Chcesz mi pomóc zmierzyć te wasze okna, żebym mogła wrócić do domu i zacząć szyć zasłony, czy nie?

Zerka na okna. Zakryte są ohydnymi składanymi kratownicami, żeby żadnym ćpunom, a z jakiegoś powodu zdaje się, że wszyscy nowojorscy ćpuni mieszkają w okolicy, nie zachciało się włamać do środka.

Są nieprawdopodobnie brzydkie. Nawet facet jest w stanie to zauważyć.

- Chyba tak - mówi z mniejszą pewnością siebie. - Chociaż wolę kłócić się z tobą.

- No cóż, ja nie wolę - informuję go.

Uśmiecha się szeroko.

- Okay. No to do zasłon. Aha, Lizzie?

Złapałam już centymetr i zsuwam buty, żeby wejść na grzejnik i mierzyć dalej.

- Co?

- W sprawie pracy. W biurze mojego taty. Jest jeszcze jedna rzecz.

- Jaka?

- Będziesz musiała trzymać język za zębami. To znaczy, co do tego, kogo tam zobaczysz i co usłyszysz. Nie wolno o tym opowiadać. To kancelaria prawnicza. A oni gwarantują swoim klientom bezwzględną dyskrecję...

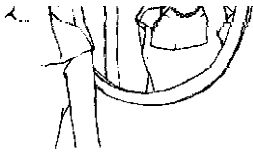
- Boże, Chaz! - Jestem poirytowana na nowo. - Wiesz, że umiem milczeć.

On tylko na mnie patrzy.

- Jeśli to coś ważnego, umiem - upieram się. - Na przykład kiedy zależy od tego moja pensja.

- Być może - mówi Chaz jakby do samego siebie - polecenie cię na to stanowisko nie jest jednak najlepszym pomysłem...

Rzucam w niego centymetrem.



Rozdział 8

*Gdyby Amerykanin musiał ograniczyć własną działalność
do zajmowania się tylko swoimi sprawami,
odarto by go z połowy jego egzystencji.*

Alexis de Tocqueville (1805-1859), francuski polityk i historyk

Nowy Jork to dziwne miasto. Wszystko tu potrafi zmienić się w mgnieniu oka. Pewnie właśnie o tym mówią ludzie, kiedy używają określenia „nowojorska minuta”. Wszystko tutaj dzieje się tak jakby szybciej.

Na przykład zdarza się, że idziesz na pozór przyjemną, wysadzaną drzewami ulicą, a potem, nawet niecałą przecznicę dalej, nagle widzisz dokoła siebie zaśmiecone, wymazane graffiti zaplecze tej samej okolicy, przypominające scenę rodem z któregoś odcinka *Prawa i porządku*. A przecież tylko minęłaś jedno skrzyżowanie.

Więc pewnie, biorąc to wszystko pod uwagę, nie powinnam się tak strasznie dziwić, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin z osoby, która w Nowym Jorku nie ma żadnej pracy, zmieniłam się w dumnego pracownika w dwóch miejscach.

Rozmowa kwalifikacyjna w dziale kadr kancelarii taty Chaza idzie mi dobrze. Naprawdę dobrze. To w sumie przyszłość. Zaganiana kobieta, do której gabinetu wprowadzają mnie po prawie półgodzinnym oczekiwaniu w eleganckim holu (z wykańczanych złoceńmi kanap przestawili się na skórzane, ładnie się komponujące z ciemną boazerią na ścianach i wykładzinami w kolorze nasyconej zieleni), zadaje mi jedno czy dwa miłe pytania o to, skąd znam Chaza: „Z akademika, w którym wszyscy mieszkaliśmy na studiach”, mówię, nie wspominając o tym, że z Shari poznałyśmy go na całonocnym pokazie filmów na świeżym powietrzu, sponsorowanym przez samorząd studencki Akademika McCracken, na

którym Chaz puścił w obieg jointa, więc przez wiele dni później mówiliśmy o nim Facet od Trawy... Aż Shari zauważyła go, jak samotnie jadł śniadanie w jadalni akademika, przysiadła się do niego, zapytała, jak mu na imię, i do wieczora zdażyła się z nim przespać w jego pojedynczym pokoju w jednej z wież akademika. Trzy razy.

- Świetnie - mówi Roberta, która prowadzi rozmowę kwalifikacyjną, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że przedstawiona przeze mnie historia tej znajomości jest dalece niekompletna. - Wszyscy uwielbiamy Charlesa. Kiedy pracował u nas w czasie wakacji, w dziale korespondencji, przez cały czas nas rozśmieszał. Jest szalenie dowcipny.

Tak. Chaz jest istnym komikiem.

- Tylko wielka szkoda - ciągnie Roberta ze smutkiem - że Chaz nie zdecydował się naprawo. Ma ten sam bystry, zdolny umysł, co jego ojciec. Kiedy któryś z nich zaczyna dowodzić swojej racji... No cóż, lepiej schodzić im z drogi.

Tak. Chaz lubi mieć rację, z tym się zgodzę.

- A więc, Lizzie - ciągnie Roberta swobodnym tonem. - Kiedy możesz zacząć?

Gapię się na nią.

- Chcesz powiedzieć, że mnie przyjmiecie?

- Oczywiście. - Roberta zerka na mnie zdziwiona, jakby inna decyzja była wykluczona. - Mogłabyś zacząć jutro?

Czy mogę zacząć jutro? A czyja na koncie nie mam czasem łącznie trzystu dwudziestu jeden dolarów? I czy moje karty kredytowe nie są obciążone do maksimum? I czy nie wiszę tysiąca pięciuset dolarów na MasterCard?

- Naturalnie, że mogę zacząć jutro.

Och, Chaz, wszystko cofam. Kocham cię. Możesz mówić sobie >• o Luke'u, co tylko chcesz. Możesz odnosić się tak pesymistycznie, jak tylko ci się podoba, do moich planów wyjścia za niego za męża. Za to, Chaz, mam u ciebie dług wdzięczności. I to spory.

- Kocham twojego chłopaka - informuję Shari, dzwoniąc na jej komórkę tuż po wyjściu z wieżowca na Madison Avenue, bo tam biuro kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn zajmuje całe trzydzieste siódme piętro.

- Naprawdę? - Jak zwykle, kiedy ostatnio do niej dzwonię do pracy, Shari jest nieco zabiegana. - To go sobie weź.

- Biorę - mówię. Jestem na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy między Madison a Piątą Aleją. Jest taki ładny jesienny dzień, na tyle ciepło, że

człowiek nie potrzebuje płaszcza, i tylko na tyle chłodno, żeby się nie pocić, więc decyduję się iść piechotą do monsieur Henriego. To tylko trzydzieści przecznic w kierunku północnym i oszczędzę na metrze całe dwa dolce. Hej. Liczy się każdy grosz. - Chaz załatwił mi pracę w kancelarii swojego taty.

- Pracę? - Słyszę klikanie w klawiaturę komputera. Shari rozmawia ze mną, a jednocześnie wysyła e-maile. Ale nie ma sprawy. Zgodzę się na wszystko, tak trudno ją ostatnio w ogóle złapać. - Myślałam, że już masz pracę. W tym miejscu od sukien ślubnych.

- Tak - odpowiadam, zdając sobie sprawę, że nie wyjawiałam moim przyjaciółom szczegółów umowy z monsieur Henrim. - Ale to nie jest zajęcie płatne...

- Co takiego?! - Z tonu jej głosu i z tego, że nagle przestała stukać w klawisze, wnioskuję, że obdarzyła mnie teraz swoją niepodzielną uwagą. - Zgodziłaś się na pracę bez wynagrodzenia?

- Owszem - odpowiadam. Trochę trudno jest iść zatłoczonym chodnikiem jak ten, po którym teraz pośpiesznie maszeruję, i jednocześnie rozmawiać przez komórkę. Tylu biznesmenów wraca biegiem do swoich biur, tylu ulicznych sprzedawców handluje podróbkami Prądy, turystów przystaje, żeby gapić się na drapacze chmur, a bezdomnych prosi o drobne, że równie ciężko się tu poruszać, co na torze żużlowym Indy 200 Speedway w czasie wyścigów. - No cóż, niełatwo jest znaleźć w tym mieście płatną fuchę w dziedzinie mody, jeśli dopiero się startuje.

- W głowie mi się to nie mieści - mówi Shari z niedowierzaniem. - A co z *Paszportem do świata mody*!

- Shari. Nie wystąpię w żadnym reality show...

- Nie, ja tylko mówię, że... Że u nich to wszystko wygląda tak prosto...

- No cóż! - wzdycham. -- Ale nie jest proste. W każdym razie chciałabym się z tobą umówić, żeby to uczcić, ty i ja, Chaz i Luke. Więc co robisz dziś wieczorem?

- Och - wzdycha Shari. Słyszę, że znów zaczyna stukać w klawisze. To znaczy, ledwo ledwo, bo na ulicy samochody wyją klaksonami, a ludzie wokoło głośno gadają. Ale i tak orientuję się, że moja najlepsza przyjaciółka słucha mnie tylko jednym uchem. - Nie mogę. Nie dzisiaj wieczorem. Mamy tu istne urwanie głowy...

- Jasne - odpowiadam. Rozumiem, że npwa praca Shari to teraz dla niej najważniejsza rzecz pod słońcem. I tak powinno być. Przecież ona pomaga ratować życie kobietom. - To może jutro wieczorem?

- Lizzie, ten tydzień nie jest dla mnie najlepszy - oświadcza Shari. - Będę pracowała do późna praktycznie codziennie.

- A co z sobotą? - pytam cierpliwie. - W sobotę wieczorem przecież nie pracujesz, prawda?

Zapada cisza. Przez sekundę czy dwie wydaje mi się, że Shari powie, że istotnie zamierza pracować do późna i w sobotę wieczorem.

Ale potem ona mówi:

- Nie, oczywiście, że nie. No to w sobotę.

- Super. Wybierzemy się do Chinatown. A potem do Honey's. W sobotę wieczorem schodzą się prawdziwi wyznawcy karaoke. No i, Shari?

- Co, Lizzie? Naprawdę muszę już kończyć. Pat czeka...

- Rozumiem. - Ostatnio na Shari zawsze ktoś czeka. - Ale chcę cię o coś zapytać... Czy między tobą a Chazem wszystko w porządku? Bo on mnie o ciebie pytał.

Teraz znów mam jej niepodzielną uwagę.

- Ale o co cię pytał w związku ze mną? - odzywa się Shari trochę ostrym tonem.

- Tylko czy moim zdaniem u ciebie wszystko w porządku. Powiedziałam, że wydaje mi się, że tak. On chyba tęskni za tobą tak samo jak ja. - Myślę o tym jeszcze, czekając na zmianę świateł przy przejściu. - W sumie, pewnie tęskni za tobą bardziej...

- Nic na to nie poradzę - ucina Shari - że jestem zbyt zajęta pomaganiem ofiarom przemocy domowej znajdować bezpieczny dach nad głową, żeby przejmować się swoim chłopakiem. Wiesz, to właśnie część problemu. Bo mężczyznom wydaje się, że cały świat kręci się wokoło nich. A kiedy ich kobiety zaczynają sobie radzić, i to świetnie, w świecie pracy, mężczyźni z reguły czują się zagrożeni i wreszcie odchodzą do kogoś, kto znajdzie dla nich więcej czasu.

Mówiąc wprost, osłupiałam po tej przemowie. Osłupiałam do tego stopnia, że na moment przystanęłam, i z tyłu wpadł na mnie jakiś biznesmen z poirytowaną miną.

- Mogłabyś przeprosić - mruknął, zanim mnie pośpiesznie minął.

- Shari. Chaz nie czuje się zagrożony twoją rozpoczynającą się karierą zawodową. On tylko chce wiedzieć, kiedy cię znów zobaczy. On cię wcale nie zostawia.

- Wiem - mówi Shari po krótkiej pauzie. - Ja tylko... Przepraszam. Nie miałam zamiaru obciążać cię tym wszystkim. Mam po prostu złą dzień. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

• - Shari... - Kręcę głową. - To brzmi jak coś poważniejszego niż zwyczajny zły dzień. Czy ty i Chaz.

- Lizzie, ja naprawdę muszę już kończyć. Do zobaczenia w sobotę. A potem się rozłącza.

Wow. I co to miało znaczyć, zastanawiam się. Chaza i Shari zawsze łączył taki dość burzliwy związek, pełno w nim było sprzeczek, a nawet i poważnych kłótni (z których najpoważniejsza rozpełtała się w wyniku decyzji Shari, że zabije, a potem zrobi sekcję zwłok na szczurze laboratoryjnym, Panu Jinglesie. Nawet wówczas, gdy Chaz znalazł w Petsmart idealnie podobnego szczura w zastępstwie, żadne z nas nie przywiązało się do niego w taki sposób, jak do Pana Jinglesa).

Ale zawsze szybko się godzili (pomijając te dwa tygodnie po śmierci Pana Jinglesa, kiedy Chaz nie chciał nawet z Shari rozmawiać). Fantastyczny seks w ramach godzenia się był jednym z powodów, dla których Shari wszczyniała większość tych kłótni z Chazem.

No więc, co się z nimi teraz dzieje? Czy to tylko taka wyszukana intryga ze strony Shari, która chce wnieść do ich związku nieco więcej ożywienia?

Bo jak sama zaczynam się przekonywać, wcale nie jest łatwo podtrzymać ten płomyk, kiedy mieszka się wspólnie, Przyziemne codzienne sprawy mogą totalnie utrudnić życie osobom żyjącym w szczęśliwym wolnym związku. Na przykład czyja kolej zmyć naczynia i kto ma trzymać pilota od telewizora, i kto wyjął z gniazdka ładowarkę od komórki, żeby zamiast tego podłączyć suszarkę do włosów, a potem zapomniał z powrotem tę ładowarkę włączyć.

Takie sprawy naprawdę zabijają romantyczną atmosferę.

Jestem szczęśliwa w każdej minucie mieszkania z Lukiem. To znaczy od momentu, kiedy budzę się i widzę nad sobą uśmiechniętą twarz dziewczynki Renoira, do chwili, kiedy zasypiam, słuchając spokojnego oddechu Luke'a obok mnie. (On zawsze zasypia pierwszy. Nie wiem, jak mu się to udaje. W tej samej chwili, w której jego głowa dotyka poduszki, znika dla świata jak zgaszona świeczka. Może to z powodu tych nudnych lektur z *Wstępu do biologii* i *Chemii ogólnej*, które czyta przed snem w ramach prac domowych). Dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że zdecydowałam się wyjechać z Anglii do Francji. Bo inaczej nigdy bym go nie poznała i nigdy nie byłabym taka szczęśliwa jak teraz (pomijając kłopoty finansowe).

Ale i tak mogłabym chyba zrozumieć, gdyby Shari próbowała zmusić Chaza do jakiejś reakcji, żeby trochę ożywić ich związek. Bo mnie

już zdarzało się oglądać z Chazem telewizję i sposób, w jaki przerzuca się z kanału na kanał, zamiast zdecydować się na jeden w miarę interesujący program albo zajrzeć do telegazety, żeby zobaczyć, co w ogóle dają, może być niesłychanie irytujący, podobnie jak irytujące okazuje się to, że Luke uznaje dokumentalne filmy na temat holocaustu za odpowiednią rozrywkę na piątkowy wieczór w domu.

Ale nie mam czasu martwić się Shari i Chazem - ani nawet awersją Luke'a do romantycznych komedii - bo kiedy tego popołudnia docieram do zakładu monsieur Henriego i dzwonię do drzwi, żeby mnie wpuścili (nie dał mi klucza i pewnie mi go nie da, dopóki nie udowodnię, że potrafię coś więcej, niż tylko szyc ściegiem za igłą), trafiam na istny dom wariatów.

Jakaś pani w średnim wieku, z natapirowaną fryzurą i tego typu jaskrawym ubraniem, które ją z miejsca kwalifikuje, jak się już nauczyłam, jako „most i tunel” (czyli ktoś, kto mieszka poza Manhattanem i żeby się tu dostać, musi przejechać przez most i tunel), trzyma ogromne białe pudło i wykrzykuje: „Patrzcie! No tylko popatrzcie!”, podczas gdy dziewczyna, która musi być jej córką (choć ubrana jest o wiele szykowniej w czerń, a włosy ma wyprostowane na szczotce), stoi obok, a minę ma zgnębiającą i nieźle zbuntowaną.

Tymczasem monsieur Henri mówi:

- Madame, rozumiem. To nie zdarza się po raz pierwszy. Często jestem świadkiem takich sytuacji.

Próbuję trzymać się na uboczu i podchodzę do madame Henri, która obserwuje rozgrywającą się tu dramatyczną scenę zza zasłony oddzielającej pracownię, znajdującą się na zapleczu.

- Co się dzieje? - pytam ją.

Kręci głową.

- Poszły do Maurice'a. - To tyle w ramach odpowiedzi. Co oczywiście nie mówi mi nic. Nadal nie mam zielonego pojęcia, kto to jest Maurice.

Ale wtedy monsieur Henri sięga do pudła i ostrożnie wyjmuje dziewczę, białą, delikatną jak mgiełka ślubną suknię.

A przynajmniej kiedyś ta suknia była biała. Koronki nabrały nieprzyjemnego żółtawego odcienia.

- Przecież obiecywał - mówi kobieta. - Obiecywał, że specjalne pudło nie pozwoli sukni zżółknąć!

- Oczywiście, że obiecywał - mówi monsieur Henri sucho. - A kiedy zanoszą ją pani do niego ponownie, chcąc to pokazać, powiedział, że nabrała takiego koloru, bo złamała pani pieczęć na opakowaniu.

- Tak! - Kobiecie aż broda drży, tak bardzo jest zmartwiona. - Dokładnie tak powiedział! Powiedział, że to moja wina, bo pozwoliłam, żeby do pudła dostało się powietrze!

Wrywa mi się mimowolny okrzyk protestu. Monsieur Henri zerka w moją stronę. Natychmiast się rumienię i szybko cofam się p krok.

Ale monsieur Henri utkwiał we mnie spojrzenie niebieskich oczu i nie odwraca wzroku.

- *Mademoiselle!* - odzywa się. - Chciała pani coś powiedzieć?

- Nie - szybko zaprzeczam, świadoma, że madame Henri sztyletuje mnie wzrokiem. - To znaczy, nic ważnego.

- A może jednak. - Oczy monsieur Henriego sąbardzo jasne. Z bliska nic nie widzi bez swoich okularów. Ale z daleka nic tym oczom nie umknie. - Proszę bardzo. Co chciała pani powiedzieć?

- Tylko to - zaczynam opornie, bojąc się, że palnę coś, co mu się nie spodoba - że przechowywanie tkanin w szczelnie zamkniętych pojemnikach może im zaszkodzić, zwłaszcza jeśli do środka dostanie się wilgoć. Może sprawić, że materiał zbutwieje.

Jak widzę, monsieur Henri robi zadowoloną minę. To mi dodaje odwagi, więc ciągnę dalej:

- Żadne z kostiumów w Metropolitan Museum nie są przechowywane w hermetycznych pojemnikach. A przecież wyglądają świetnie. Ważne jest, żeby nie wystawiać starych tkanin na bezpośrednie działanie światła słonecznego, ale złamanie plomby na szczelnym opakowaniu w żaden sposób nie mogło spowodować, że suknia pożółkła. Prawdopodobnie pożółkła, bo nie została właściwie oczyszczona przed odłożeniem na przechowanie... A najprawdopodobniej suknia w ogóle nie została oczyszczona i pozostawiono na niej plamy z szampana czy potu.

Uśmiech, jakim obdarza mnie monsieur Henri, słysząc tę błyskotliwą konkluzję, sprawia, że jego żona głośno wciąga powietrze w płuca...

.. i zerka na mnie ze zdziwieniem. Wyraźnie zastanawia się nad słowem „głupia” z zeszłego tygodnia.

- Ale jak to możliwe? - pyta kobieta, marszcząc brwi. - Jeśli suknia została oczyszczona przed przechowaniem...

- Boże, mamó - przerywa dziewczyna zdegustowanym tonem. - Nie rozumiesz? Ten cały Maurice wcale jej nie oczyścił. Wcisnął ją po prostu do pudła, zamknął, oddał nam, i tylko powiedział, że ją odczyścił.

- I dodał, żeby nigdy nie otwierała pani pudła - stwierdza monsieur Henri. - Bo złamanie pieczęci spowoduje, że materiał zacznie żółknąć, a wtedy gwarancja przestanie obowiązywać. - Cicho cmokając językiem, monsieur Henri przygląda się trzymanej w rękach sukni. Która, muszą to powiedzieć, nie jest najpiękniejszą ślubną kreacją, jaką widziałam w życiu. To znaczy, nie jest zła.

Ale jeśli ta kobieta złamała pieczęć na opakowaniu, w którym przechowywała suknię po to, żeby jej córka mogła ją włożyć na własny ślub, to czeka ją przykra niespodzianka. Bo ja w żaden sposób nie wyobrażam sobie, żeby Panna Włos na Szczotkę włożyła taką zapiętą pod samą szyję, wiktoriańską suknię, nawet za wszystkie Suzy Perette tego świata.

- Widziałem to już tysiące razy - mówi ze smutkiem monsieur Henri. - To strasznie przykre.

Starsza pani ma przerażoną minę.

- Suknia jest zniszczona? - pyta. - Czy nie da się jej uratować?

- Nie wiem - mówi monsieur Henri z powątpiewaniem. Widzę, że bierze je pod włos. Tej sukni potrzeba tylko porządnego wymoczenia w wodzie z białym octem winnym i może przepierki w chłodnej wodzie z dodatkiem oxycleanu.

- Ojej, to straszna szkoda - mówi Włos na Szczotkę, zanim monsieur Henri zdążył dodać cokolwiek więcej. - No to chyba trzeba będzie kupić nową sukienkę.

- Nie kupimy ci żadnej nowej sukienki, Jennifer - ucina stanowczo Natapirowana. - Skoro ta suknia była wystarczająco dobra dla mnie i dla obu twoich sióstr, to jest też dobra dla ciebie!

Jennifer ma zbuntowaną minę. Monsieur Henri nie musi wkładać okularów, żeby to dostrzec. Waha się i widać, że nie jest pewien, jak ma postąpić. Madame Henri odchrząkuje.

Aleja się wtrącam, zanim zdążyła się odezwać:

- Te plamy da się usunąć. Ale problem jest w czymś innym, правда?

Jennifer zerka na mnie podejrzliwie. Podobnie jak wszyscy pozostali w zakładzie.

- Elizabeth - mówi monsieur Henri, po raz pierwszy używając mojego imienia, słodkim jak cukierek, fałszywym tonem. Widzę wyraźnie, że chciałby mnie ukatrupić. - Nie ma żadnego problemu.

- Owszem, jest - odpowiadam głosem równie sztucznie słodkim. - No bo proszę tylko spojrzeć na tę suknię, a potem na stojącą tu

Jennifer. - Wszyscy obecni w zakładzie patrzą najpierw na suknię, a potem na Jennifer, która zaczyna się nieco puszyć i odrzuca za ramiona wyprostowane na szczotke włosy. - Już widzą państwo ten problem?

- Nie - mówi bez ogródek matka Jennifer.

- Ta suknia na pewno wyglądała na pani znakomicie, pani... - milknę i zerkam pytająco na matkę Jennifer, która się przedstawia:

- Harris.

- Właśnie. Pani Harris. Ponieważ jest pani kobietą o posagowej figurze i świetnej postawie. Ale proszę spojrzeć na Jennifer. Przecież jest filigranowa. Suknia o takiej masie materiału ją przytłoczy.

Jennifer mruży oczy i rzuca szybkie spojrzenie w kierunku matki.

- Widzisz? - syczy. - Mówiłam ci.

- Mm, hm - monsieur Henri wtrąca się z zażenowaniem, nadal z taką miną, jakby chciał mnie zabić. - Właściwie mademoiselle Elizabeth nie należy do naszego stałego personelu...

- Ale łatwo dałoby się tę suknię przerobić tak, żeby pasowała na osobę o proporcjach Jennifer - oświadczam, wskazując na wysoko zabudowany gors sukni. - Wystarczy pokazać więcej ciała w tym miejscu, zrobić dekolt w kształcie serca, może pozbyć się rękawów...

- Absolutnie wykluczone - mówi pani Harris. - To katolicka ceremonia.

- W takim razie rękawy należy zwęzić - ciągnę gładko - żeby zlikwidować bufki. Dziewczyna o tak znakomitej figurze jak Jennifer nie powinna jej ukrywać. A już zwłaszcza tego dnia, kiedy chce wyglądać jak najpiękniej.

Jennifer słucha tego wszystkiego bardzo uważnie. Widzę to, bo przestała bawić się włosami.

- Widzisz, mamo? To samo ci mówiłam - rzuca.

- Sama nie wiem - mruczy pani Harris, zagryzając dolną wargę. - Twoje siostry...

- Jest pani najmłodszą z sióstr? - pytam Jennifer, a ona kiwa głową. - Tak właśnie myślałam. Ja też. Niełatwo jest być tą najmłodszą, zawsze donaszać rzeczy po starszych. Dochodzi się do takiego punktu, że człowiek dałby wszystko za coś nowego, cokolwiek nowego, byle własnego.

- Dokładnie tak! - wybucha Jennifer. .,

- Ale w przypadku sukni ślubnej pani mamy może pani mieć coś nowego, a przy tym uszanować rodzinną tradycję... Wystarczy tylko kilka

drobnych przeróbek, a suknia będzie jak uszyta na indywidualne zamówienie. I bez problemu możemy to tu zrobić...

- Bardzo bym chciała. - Jennifer zwraca się w stronę matki. - Chcę, żeby było tak, jak ona powiedziała. Tak właśnie chcę.

Pani Harris przenosi spojrzenie z sukni na córkę i z powrotem. A potem śmieje się krótko i mówi:

- No dobrze! Jak sobie chcesz! Jeśli to wypadnie taniej niż nowa suknia...

- Tak - wtrąca się madame Henri. - Będzie taniej, oczywiście. Jeśli młoda dama zechce pójść ze mną do przymierzalni, od razu weźmiemy miarę do przeróbek...

Jennifer potrząsa włosami i bez jednego słowa idzie za madame Henri do przymierzalni.

- Och! - woła pani Harris, zerknąwszy na zegarek. - Muszę wyjść i dorzucić drobne do parkometru. Przepraszam bardzo...

Szybkim krokiem wychodzi z zakładu. Jak tylko zamykają się za nią drzwi, monsieur Henri obraca się w moją stronę i pokazuje trzymaną w rękach poślódką suknię, a potem mówi z wahaniem:

- Bardzo dobrze radzisz sobie z, hm, klientkami.

- Och! - wzdycham skromnie. - Cóż, z tą poszło łatwo. Wiem dokładnie, co czuła. Sama mam starsze siostry.

- Rozumiem. - Monsieur Henri spogląda na mnie bystro. - Jestem ciekaw, czy igłą pracujesz równie skutecznie, jak językiem.

- Przekona się pan - mówię i zabieram suknię z jego rąk.

4



Rozdział 9

*Nic nie przemieszcza się prędkością większą niż światło,
może za wyjątkiem złych nowin, które rządzą się własnymi prawami.*

Douglas Adams (1952-2001), brytyjski pisarz i autor sztuk radiowych

Recepcjonistka?

Tak właśnie reaguje Luke, kiedy dzieję się z nim nowinami. Raz wreszcie to on wrócił do domu wcześniej niż ja i szykuje obiad - coq-au-vin. Jedną z wielu zalet posiadania chłopaka, który jest pół-Francuzem, to jego umiejętności kulinarne znacznie wykraczające poza hamburgera z serem. Poza tym umie całować.

- Dokładnie tak - mówię. Siedzę na wyściełanym jedwabiu stołeczku w korytarzyku między kuchnią a salonem połączonym z jadalnią.

- Ale... - Luke nalewa nam po kieliszku cabernet sauvignon, a potem podaje mi kieliszek. - Czy ty... Nie masz przypadkiem zbyt wysokich kwalifikacji, żeby pracować jako recepcjonistka?

- Jasne. Ale w ten sposób będę mogła popłacić rachunki i nadal zajmować się tym, co kocham, a przynajmniej przez część dnia. Skoro nie poszczyściło mi się, kiedy próbowałam znaleźć jakieś płatne zajęcie w tej branży.

- To zaledwie miesiąc - powiada Luke. - Może powinnaś była dać sobie nieco więcej czasu na szukanie.

- Hm. - Jak mam mu to wyjaśnić, nie ujawniając faktu, że jestem bez grosza przy duszy? - No cóż, dam sobie czas. Jeśli znajdzie się coś lepszego, oczywiście, że będę mogła odejść.

Tyle że wcale nie chcę. A przynajmniej - odchodzić z pracy u monsieur Henriego. Bo zaczyna mi się tam podobać. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem już, kim jest Maurice - rywalem wśród „dyplomowanych

specjalistów od sukien ślubnych" i właścicielem niejednego, ale czterech zakładów w całym mieście, który podkrada klientów monsieur Henriemu, mając ich obietnicami nowych chemicznych środków, które potrafią usunąć plamy po tortach ślubnych i winie (żadne takie środki nie istnieją), i który liczy klientom zbyt wysokie ceny nawet za najprostsze przeróbki, a za mało płaci swoim dostawcom i pracownikom (choć nie wiem, jak miałby płacić im mniej, niż monsieur Henri płaci mnie).

Co gorsza, Maurice wyciera sobie gębę monsieur Henrim i każdej panie młodej w mieście opowiada, że Jean Henri chce przejść na emeryturę i wyjechać do Prowansji, więc w każdej chwili może zdecydować się zamknąć zakład, który i tak podupada - w czym jest zresztą sporo prawdy, jak wnioskuję z prywatnych rozmów państwa Henrich, które rozumiem, chociaż oni nie są tego świadomi.

Jak by tego wszystkiego było jeszcze mało, do państwa Henrich dotarła plotka, jakoby Maurice planował otwarcie w mieście kolejnego zakładu... I to naprzeciwko ich pracowni, po drugiej stronie ulicy! Z eleganckimi czerwonymi markizami i dopasowanym do nich czerwonym chodnikiem przy frontowym wejściu (tak!), z czym państwo Henri nijak konkurować nie mogą... Nie przy tych prostych, a przecież gustownych wystawach we frontowych oknach i skromnej fasadzie domu.

Nawet gdyby jutro zadzwonili z Instytutu Kostiumu Historycznego, zamierzam zostać u monsieur Henriego. Za bardzo się zaangażowałam, żeby odejść.

- No cóż. - Luke ma powątpiewającą minę. - Jeśli to cię uszczęśliwi...

- Owszem - mówię. A potem odchrząkuję. - Wiesz, Luke, nie każdy jest stworzony do takiej tradycyjnej pracy od dziewiętej do piątej. Nie ma nic złego w przyjęciu pracy, do której ma się zbyt wysokie kwalifikacje, jeśli możesz za to opłacić rachunki i zająć się w wolnym czasie robieniem tego, co cię naprawdę pociąga. O ile rzeczywiście będziesz się zajmować tym, co lubisz, i nie przeznaczysz całego wolnego czasu na oglądanie telewizji.

- Słuszna uwaga - kwituje Luke. - Spróbuj tego i powiedz mi, co o tym myślisz.

Wyciąga łyżkę, na której jest odrobina sosu spod coq-au-vin.

- Przepyszne - mówię, a serce chyba mi pęknie z radości. Mam chłopaka, który mnie kocha... I który jest rewelacyjnym kucharzem. Aja

mam pracę, którą uwielbiam. I znalazłam" sposób, żeby zapłacić czynsz za to wypasione mieszkanie, w którym mieszkam.

Nowy Jork okazuje się wcale nie taki zły. Może nie stanę się jednak kolejną Kathy Pennebaker z Ann Arbor.

- Aha. W sobotę wieczorem spotykamy się z Chazem i Shari. Żeby uczcić moją nową pracę. A poza tym od wieków ich nie widzieliśmy. Może być?

- Może być - odpowiada Luke - i to jak najbardziej.

- I wiesz, co jeszcze? Uważam, że powinniśmy spróbować ich w ten wieczór zabawić. Bo moim zdaniem Chaz i Shari mają teraz jakiś trudny moment.

- Ty też to zauważyłaś? - Luke kręci głową. - Ostatnio Chaz wydaje mi się bardzo przygnębiony.

- Naprawdę? - Unoszę brwi. Nie mogę powiedzieć, że Chaz wydał mi się przygnębiony, kiedy go widziałam. Ale może to dlatego, że byłam za bardzo zajęta wypłakiwaniem sobie oczu, żeby to dostrzec. - Wow. No cóż. Jestem pewna, że to minie. Kiedy już Shari okrzepnie w tej nowej pracy, wszystko się ułoży.

- Możliwe - mówi Luke.

- Jak to, możliwe? - pytam. - Wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Nic nie wiem. - Luke ma niewinną minę. Zbyt niewinną. Ale uśmiecha się przy tym, więc cokolwiek wie, to nie może być nic złego.

- O co chodzi? - Zaczynam się śmiać. - Powiedz mi.

- Nie mogę ci powiedzieć. Chaz kazał mi przysiąc, że nie powiem. A już zwłaszcza tobie.

- To nie w porządku - mówię, odymając wargi. - Nic nie powtórzę. Przysięgam.

- Chaz uprzedzał, że to powiesz. - Luke uśmiecha się od ucha do ucha, więc cokolwiek to jest, na pewno nie jest czymś niedobrym.

- No powiedz mi-jęcę.

I wtedy nagle się domyślam. A przynajmniej wydaje mi się, że się domyślam.

- O mój Boże! - wołam. - On się chce jej oświadczyć!

Luke gapi się na mnie znad bulgoczącego kurczaka.

- Co takiego?

- Chaz! Poprosi Shari o rękę, prawda?£) kurczę, ale się cieszę!

W głowie mi się nie mieści, że na to nie wpadłam wcześniej. Oczywiście, że o to chodzi. Dlatego Chaz zadawał mi te wszystkie

wnikliwe pytania na temat Shari tamtego dnia w ich mieszkaniu. Badał mnie, żeby sprawdzić, czy Shari nie mówiła¹ czegoś o tym, jak jej się z nim mieszka!

Bo chce, żeby to było już na zawsze!

- Och, Luke! - Muszę się przytrzymać blatu, żeby nie spaść ze stołeczka, bo o mało nie mdleję z wrażenia. - To fantastyczne! I mam świetny pomysł na sukienkę dla niej... Wiesz, taką z gorsetem, z króciutkimi, opadającymi z ramion rękawkami, z surowego jedwabiu, z małymi perłowymi guziczkami z tyłu, bardzo mocno dopasowaną w talii, a potem rozszerzającą się do dołu, z rozkloszowaną spódnicą, ale nie krynolinę, to by jej się nie spodobało... Och, wiesz, może i ta rozkloszowana spódnicą jej się nie spodoba. Może powinnam wybrać coś bardziej... Zaraz, narysuję, o co mi chodzi.

Sięgam po notes, który zostawiła tu jego matka - na górze każdej kartki, kursywą, nadrukowano napis: „Bibi de Villiers” - i zacznym szkicować fason, który mam na myśli, długopisem reklamówką z banku, w którym oboje mamy konta.

- Popatrz? Coś takiego. - Podnoszę szkic i widzę, że Luke nadal przygląda mi się z mieszaniną przerażenia i rozbawienia na twarzy.

- Co? - pytam, zdziwiona tą miną. - Nie podoba ci się? Moim zdaniem byłaby urocza. W odcieniu kości słoniowej? Z doczepianym trenem?

- Chaz nie ma zamiaru prosić Shari, żeby za niego wyszła. - Luke uśmiecha się i jednocześnie marszczy brwi. Widać, że nie wie, na jaką minę ma się zdecydować, więc robi obie naraz.

- Nie? - Odkładam notes i wpatruję się w mój szkic. - Jesteś pewien?

- Absolutnie. - Luke teraz uśmiecha się już szeroko. - Jestem zdumiony, że w ogóle ci to przyszło do głowy.

- No cóż. - Czuję takie rozczarowanie, że nie jestem w stanie tego ukryć. - A dlaczego nie? Przecież chodzą ze sobą już od wieków...

- Owszem - mówi Luke. - Ale on ma tylko dwadzieścia sześć lat. I nadal się uczy!

- Na studiach doktoranckich - zaznaczam. - A poza tym mieszkają razem.

- Tak samo jak my. A przecież my się nie zamierzamy tak zaraz po bierać, prawda? - Luke się uśmiecha.

Zmuszam się, żeby mu zawtórować śmiechem, chociaż, prawdę mówiąc, nie widzę w tej sytuacji niczego zabawnego. Nie, tak zaraz nie

zamierzamy się pobierać. Ale przecież taka możliwość zawsze istnieje, nieprawdaż?

Nieprawdaż?

Ale oczywiście nie zadaję mu tego pytania głośno. Bo nadal traktuję go jak płochliwe leśne stworzonko.

- Chaz i Shari znają się o wiele dłużej, niż my się znamy - zauważam zamiast tego. - Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby się zaręczyli.

- Pewnie nie - zgadza się Luke, chociaż niechętnie. - Ale i tak wydaje mi się, że żadne nich nie należy do tych, którzy śpieszą się do ślubu.

- To jak wyglądają tacy, którym się śpieszy do ślubu? - pytam. I w tej samej chwili, w której to pytanie pada z moich ust, trochę się sama za to nie lubię. Bo z tej rozmowy totalnie widać, że małżeństwo to ostatnia rzecz, o jakiej myśli Luke.

I to wręcz śmieszne, że ja o nim myślę. Bo przecież mam tyle innych zmartwień poza ślubem. Na przykład, jak wyrobić sobie markę w interesującej mnie branży? Albo w ogóle zdobyć płatną pracę w interesującej mnie branży.

Poza tym powinnam przecież podchodzić do tego lekko. Mieszkamy ze sobą na próbę. Jak powiedziała Shari, znamy się z Lukiem od niedawna...

Ale ja nic na to nie poradzę... Może dlatego, że wybrana przeze mnie branża związana jest z pomaganiem kobietom, które mają kogoś, kto chce się z nimi związać na zawsze, przypieczętować ten związek w najbardziej idealnej sukni z możliwych.

I nie umiem przestać myśleć, że gdybym już ułożyła sobie życie uczuciowe, to miałabym więcej czasu, żeby się skoncentrować na karierze.

Więc naprawdę, ja chcę wyjść za mąż - albo chociaż się zaręczyć - jedynie po to, żeby móc lepiej pracować.

No a poza tym Luke... No cóż, Luke to przecież Luke de Villiers, najseksowniejszy, najfantastyczniejszy facet, jakiego kiedykolwiek poznałam. A on wybrał mnie.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiada Luke. - Ci, co się śpieszą do ślubu, to ludzie, którzy nie mają żadnego innego pomysłu na siebie. Więc pobierają się, bo nie wiedzą, co innego ze sobą zrobić.

Wytrzeszczam na niego oczy.

- Ja nikogo takiego nie znam - mówię. - Nie znam nikogo, kto wziął ślub tylko dlatego, że nie miał nic innego do roboty.

- Och, doprawdy? - Luke mi się przygląda. - A twoje siostry? To znaczy, nie obraź się ani nic, bo przecież moja siostra cioteczna Vicky jest taka sama. Ale z tego, co mówiłaś...

- Och! - Całkiem zapomniałam o Rose i Sarah. Które właściwie wyszły za mąż dlatego, że zaszły w ciążę. To tak, jakby nikt u mnie w domu nie słyszał o antykoncepcji. Poza mną.

- Znam wiele takich par - zapewnia mnie Luke. - No wiesz, ze szkoły... Ludzi, którzy nie mają własnego życia, więc doczepiają się do czyjegoś, czy to dla pieniędzy, czy dla życiowej stabilizacji, czy po prostu dlatego, że ich zdaniem właśnie coś takiego powinni zrobić zaraz po studiach. I wierz mi... sanie do zniesienia.

- Jestem pewna, że masz rację. Ale... niektórzy z nich przecież muszą się kochać.

- Prawdopodobnie tak im się wydaje - mówi Luke. - Ale kiedy są tacy młodzi, skąd w ogóle mają wiedzieć, co to jest miłość?

- Hm - zastanawiam się. - Może stąd, skąd ja wiem, że cię kocham?

Wyciąga dłoń i gładzi mnie po policzku, uśmiechając się do mnie czule.

- Jesteś słodka. Aleja nie mówię o nas. Hej, o mało nie zapomniałem. - Unosi swój kieliszek. - Za nową pracę.

- Och! - Jestem zaskoczona. W tej chwili ta nowa praca to ostatnia rzecz, która mi zaprzęta myśli. - Dzięki.

Stukamy się kieliszkami.

„Ja nie mówię o nas”, powiedział. To już coś, prawda? Że wierzy, że my jesteśmy inni. Bo jesteśmy inni.

- Nakryjesz do stołu? - pyta Luke, zaglądając do coq-au-vin, które pachnie tak smakowicie, że podejrzewam, iż pani Erickson spod piątki zaraz do nas zapuka, żeby zapytać, czy może dostać odrobinę. - Chyba za minutę czy dwie będzie gotowe.

- Jasne - mówię, a potem, z wystudiowaną nonszalancją zeskakuje ze stołeczka i podchodzi do szuflady w kredensie, gdzie pani de Villiers trzyma swoje srebra (nie żadne posrebrzane sztuce. Swoje srebra. Które trzeba po każdym użyciu ręcznie myć i odkładać do specjalnego, wykładanego zapobiegającym matowieniu materiałem pudła), żeby nakryć do stołu. - A więc skoro on się nie oświadcza, to o co chodzi?

- Co, o co chodzi? - pyta Luke.

- No z tym, co Chaz ci powiedział i czego masz mi nie powtarzać.

- Och! - śmieje się Luke. - A obiecasz, że nic nie powiesz Shari? Kiwam głową.

- Chciałby jej zrobić niespodziankę w postaci kotka. Ze schroniska dla zwierząt. No wiesz. Tak, dla nich obojga. Skoro Shari uwielbia zwierzęta.

Gapię się na niego. Bo Shari wcale nie uwielbia zwierząt. Chaz je uwielbia. Chaz widocznie chce sam sobie sprawić kota. Co mnie wcale nie dziwi. Skoro tyle czasu spędza sam, bo Shari ciągle pracuje, bo jemu pewnie brak towarzystwa. Sama też trochę znam to uczucie, bo Luke cały dzień jest na zajęciach.

Ale nie mówię tego głośno. Zamiast tego uśmiecham się i mruczę:

- Aha.

- Pamiętaj, masz jej nic nie mówić - ostrzega mnie Luke. - Bo zepsujesz całą niespodziankę.

- Och, nie martw się - kłamię. - Nic jej nie powiem.

Ale człowiek powinien uprzedzić swoją najlepszą przyjaciółkę, kiedy jej chłopak chce ją zaskoczyć prezentem w postaci domowego zwierzęcia. Każdy inny postępek byłby w tej sytuacji nie do pomyślenia.

Jezu. Faceci są naprawdę porąbani.

Rozdział 10

*Milczenie, obojętność i bezczynność były
największymi sprzymierzeńcami Hitlera.*

Immanuel, baron Jakobovits (1921-1999), rabin

Oficjalnie biuro kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn jest czynne dla klientów dopiero o dziewiątej. Nieoficjalnie telefony zaczynają dzwonić punktualnie z wybiciem ósmej. I dlatego recepcjonistka musi być w **fir**mie wcześniej i łączyć rozmowy.

Siedzę w eleganckim skórzanym fotelu (takim **na** kółkach) przy biurku recepcji i usiłują połapać się w tym, co wyjaśnia **mi** recepcjonistka z popołudniowej zmiany, Tiffany. (Nie, ona naprawdę tak **ma na** imię. W pierwszej chwili myślałam, **że** żartowała, ale kiedy poszła przynieść nam kawę **ze** świetnie wyposażonej kuchni **na** zapleczu, zerknęłam do szuflad po obu stronach biurka i zobaczyłam, **że** poza lakierami do paznokci w dwudziestu różnych odcieniach i mniej więcej trzydziestoma testerami szminek, wcisnęła tam wszystkie swoje potwierdzenia wypłat, a **na** nich stało jak wół, **na** różowo i czerwono: „Tiffany Dawn Sawyer”).

- Okay - mówi Tiffany. Kiedy nie pracuje w recepcji Pendergast, Loughlin i Flynn, jest podobno modelką, a **ja jej** wierzę, bo cerę **ma** tak czystą i gładką jak porcelana, włosy opadają **jej** bujną ciemnozieloną falą **aż** do ramion, **ma** metr osiemdziesiąt wzrostu i wygląda, jakby ważyła **ła** najwyżej sześćdziesiąt kilo - zwłaszcza po tym obfitym śniadaniu, którym się raczy w tej chwili **na** koszt firmowej kuchni, czyli czarnej kawy i paczuszcze wiśniowych twizzlers. - Więc tak, kiedy zadzwoni telefon - wyjaśnia Tiffany, a starannie podmalowane powieki same **jej** się zamykają, bo jak **mi** już zdążyła wyjaśnić, wczoraj wypita „o wiele

za dużo" mojitos i nadal jest „naprana” - pytasz, kto dzwoni, a potem przerzucasz ich na „oczekiwanie”, a potem naciskasz klawisz transferu, a potem wybierasz numer wewnętrzny osoby, do której dzwonią, a potem, kiedy ta osoba odbierze, mówisz kto dzwoni i jeśli ta osoba powie, że będzie rozmawiać z tym kimś, kto dzwoni, to naciskasz „send”, a jeśli powie, że nie chce z tym kimś rozmawiać, to znów naciskasz klawisz linii, na której masz tego dzwoniącego, i przyjmujesz wiadomość.

Tiffany bierze głęboki oddech, a potem dodaje śmiertelnie poważnym tonem:

- Wiem, że to naprawdę skomplikowane. Dlatego mnie poprosili, żebym dzisiaj przyszła wcześniej, posiedziała z tobą, i sprawdziła, czy załapałaś, o co chodzi. Więc nie panikuj ani nic.

Spoglądam na dwie strony wydruku numerów wewnętrznych, które Roberta z działu kadr dla mojej wygody pomniejszyła do rozmiaru mieszczącego się w dłoni, a potem zafoliowała, żebym nie mogła ich poplamieć czy podrzeć. Jest tam ponad sto nazwisk.

- Transfer, wewnętrzny, powiedzieć kto dzwoni, nacisnąć „send” albo przyjąć wiadomość - mówię. - Dobrze.

Błękitne jak morze oczy Tiffany szeroko otwierają się ze zdumienia.

- Świetnie. Załapałaś to. Boże. Mnie to zajęło chyba z tydzień.

- No cóż - odzywam się, nie chcąc urazić jej uczuć. Tiffany już mi opowiedziała historię swojego życia: opuściła dom w Dakocie Północnej zaraz po szkole średniej, żeby jechać do wielkiego miasta i zostać modelką, w ciągu czterech lat od tamtego czasu ukazało się wiele jej zdjęć, włącznie z corocznym jesiennym katalogiem Nordstorm, mieszka z fotografem, którego poznała w jakimś barze, a który obiecał jej, że pomoże jej zamieścić gdzieś więcej zdjęć i który „no wiesz, jest żonaty, a ona, no wiesz, to totalna suka. Ale on nie może się z nią rozwieść, bo on jest, no wiesz, Argentyńczykiem i urząd imigracyjny siedzi mu na karku, więc musi, no wiesz, jeszcze trochę poudawać, że to całe małżeństwo istnieje. Jak długo będzie płacił za jej mieszkanie w Chelsea, będzie kłamała, że nadal są razem, ale tak naprawdę mieszka ze swoim instruktorem z siłowni. Ale jak tylko on dostanie tę swoją zieloną kartę, to się skończy. A wtedy ożeni się ze mną”. I nie chcę, żeby poczuła się źle przez to, że ma tylko maturę, a ja jestem po studiach (no cóż, prawie); to przecież

naturalne, że pewne rzeczy chwytam szybciej niż ona, więc mówię: - Łatwe to nie jest.

- Oho, mamy telefon - oświadcza Tiffany, kiedy centralka cicho dzwoni. W biurze Pendergast, Loughlin i Flynn wszystkie dzwonki są mocno wyciszone, żeby nie irytować prawników, którzy według Tiffany są bardzo nerwowi ze względu na swoją niełatwą i czasochłonną pracę, czy też klientów, którzy są bardzo nerwowi ze względu na stawki, jakie muszą płacić za porady prawne w Pendergast, Loughlin i Flynn. - No to odbieraj, tak jak cię uczyłam.

Podnoszę słuchawkę i mówię pewnym siebie głosem:

- Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc?

- Kto mówi, cholera jasna? - odzywa się ostro jakiś facet z drugiej strony.

- Mówi Lizzie - odpowiadam tak uprzejmie, jak się da, biorąc pod uwagę jego ton.

- Czasowe zastępstwo?

- Nie, proszę pana. Jestem nową poranną recepcjonistką. Do kogo mam pana przełączyć?

- Daj mi Jacka - pada zwięzła odpowiedź.

- Oczywiście - mówię, z paniką przeglądając zafoliowaną listę. - A kogo mam zapowiedzieć? - pytam, grając na czas i szukając imienia Jack.

- Jezu Chryste! - wrzeszczy facet po drugiej stronie linii. - Tu Peter kurwa Loughlin, do chorej nędzy!

- Jasne, proszę pana. Już łączę.

- Tylko mi tu, kurwa...

Naciskam klawisz oczekiwania drżącymi palcami, a potem obracam się w stronę Tiffany, która drzemie na swoim fotelu, a jej gęste i długie, idealnie podkrecone czarne rzęsy ocieniają wysokie kości policzkowe.

- To Peter Loughlin! - wołam, budząc ją. - Chce mówić z jakimś Jackiem! Sklął mnie! Przełączyłam go na oczekiwanie...

Tiffany rzuca się do działania niczym student na pizzę, wyrwijając mi słuchawkę z ręki i pomrukując pod nosem:

- Cholera, cholera, cholera. - Jednocześnie pochyla się nade mną, naciska guzik oczekiwania i mówi szybko: - Witam, panie Loughlin, to ja, Tiffany... Tak, wiem. No cóż, jest nowa... Tak, jasne... Oczywiście. Już go daję.

A potem długimi palcami o wypielęgowanych paznokciach błyskawicznie naciska kilka klawiszy i migające światełko połączenia - oraz pan Peter Loughlin - znikają.

- Przepraszam - mówię drżącym głosem, kiedy Tiffany odkłada słuchawkę. - Po prostu nie mogłam znaleźć na liście żadnego Jacka!

- Głupia suka - mówi Tiffany, wyjmując długopis i bazgrząc coś na liście, którą dostałam od Roberty. Oddając mi ją z powrotem, zauważa moją przerażoną minę i wybucha śmiechem. - Nie ty! Ta dziwka, Roberta. Uważa, że jest taka świetna, bo chodziła na uniwersytet należącej do Ligi Bluszczowej. No i co z tego? Ma z tego tylko tyle, że w pracy ustala, kiedy ludzie wezmą sobie urlopy. Zwykła małpa mogłaby sobie z tym poradzić. Wielkie, kurde, rzeczy.

Zerkam na notatkę zrobioną przez Tiffany na mojej liście. Wykreśliła imię „John” przy nazwisku Flynn, a nad nim wpisała: „Jack”. Ponieważ pisała długopisem na folii, poprawka jest ledwie widoczna.

- John Flynn naprawdę ma na imię Jack? - pytam.

- Nie. Ma na imię John. Ale sam mówi na siebie Jack i wszyscy też go tak nazywają - zapewnia mnie Tiffany. - Nie mam pojęcia, dlaczego Roberta zapisała jego prawdziwe imię, zamiast tego, którego ludzie faktycznie używają. Może dlatego, że chce ci utrudnić życie. Roberta jest totalnie zawistna o dziewczyny, które są od niej ładniejsze. No wiesz, przecież sama wygląda jak troll z końską głową.

- O, tu jesteście! - woła Roberta, otwierając przeszklone drzwi prowadzące z korytarza z windami na teren recepcji. Ma na sobie trenażer - po podszewce widzę, że to Burberry - a w ręku niesie aktówkę. Jak na kogoś, kto tylko „ustala, kiedy ludzie wezmą sobie urlopy”, wygląda superprofesjonalnie. - Wszystko w porządku? Tiffany pokazuje ci, co i jak?

- Tak - odpowiadam, rzucając w stronę Tiffany spanikowane spojrzenie. Co, jeśli Roberta podsłuchiwała, jak tamta nazwała ją trollem o końskiej głowie?

Ale Tiffany zupełnie się nie przejmuje. Wyłowiła pilnik do paznokci z jednej z wielu szuflad, w których upchnęła swoje rzeczy osobiste, i opracowuje swoje żelowe tipsy.

- Jak się dzisiaj masz, Roberto? - pyta słodko, piłując paznokcie.

- Super, Tiffany. - Teraz, kiedy przyglądam się Robercie, widzę, że rzeczywiście ma końską twarz i strasznie wielkie zęby. Jest przy tym niezbyt wysoka i ma fatalną postawę, więc prawdę mówiąc, faktycznie

trochę przypomina trolla. - Bardzo ci jestem wdzięczna za dzisiejszapo-
dwójną zmianę i pomoc w przyuczeniu Lizzie. Naprawdę to doceniamy.

- Za nadgodziny dostają półtorej stawki, tak? - pyta Tiffany.

- Oczywiście - zgadza się Roberta, a jej uśmiech robi się cierpki. -
Zgodnie z naszą umową.

Tiffany wzrusza ramionami.

- No to nie ma problemu - cedzi głosem słodkim jak cukier.

Roberta uśmiecha się jeszcze bardziej cierpko.

- Znakomicie - mówi. - Lizzie, czy mogłabyś...?

Telefon dzwoni, a ja rzucam się, żeby go odebrać.

- Pendergast, Loughlin i Flynn. W czym mogę pomóc?

- Mam tu Leona Finkle'a do Marjorie Pierce - mruczy jakiś kobie-
cy głos.

- Jedną sekundkę, proszę - odpowiadam i naciskam guzik transfe-
ru. Potem, wyraźnie czując, że Roberta obserwuje każdy mój ruch, znaj-
duję wewnętrzny Marjorie Pierce na swojej liście, wybieram numer, a
potem pytam, kiedy po drugiej stronie odbiera kobieta: - Leon Finkle do
Marjorie Pierce?

- Połącz - mówi kobieta. A ja naciskam „send” i patrzę, jak mała
czerwona diodka przy klawiszu tej linii przestaje świecić. Zrobione.
Odkładam słuchawkę.

- Bardzo ładnie. - Roberta jest pod wrażeniem. - Tiffany uczyła się
tego całymi tygodniami.

Spojrzenie, jakie rzuca jej Tiffany, zamroziłoby najgorętszą mochac-
cino.

- Nie miałam tak dobrej nauczycielki jak Lizzie - mówi chłodno.

Roberta obdarza nas kolejnym kwaśnym uśmiechem i rzuca:

- No cóż, oby tak dalej. Aha, Lizzie, zajrzyj do mojego gabinetu
przed wyjściem, powinnaś wypełnić formularze do ubezpieczenia.

- Dobrze, przyjdę - obiecuję, a ponieważ telefon znów brzęczy,
rzucam się do słuchawki. - Pendergast, Loughlin i Flynn...

- Proszę z Jackiem Flynnem - odzywa się ktoś w słuchawce. -
Dzwoni Terry O'Malley.

- Proszę chwileczkę zaczekać. - Naciskam transfer.

- Głupia, pieprzona suka - mruczy pod nosem Tiffany i pogryza
swoje twizzers.

- Terry O'Malley do pana Flynnna - mówię, kiedy na linii Flynnna
zgłasza się jakaś dziewczyna.

- Wagina chyba jej zarosła pajęczyną od nieużywania - stwierdza Tiffany.

- Możesz łączyć - mówi dziewczyna.

Naciskam „send”.

- Czy ty wiesz, że ona ośmieliła się powiedzieć mi, żebym nie malowała sobie paznokci przy biurku? - Tiffany przewraca oczami, spoglądając w stronę, gdzie przed chwilą zniknęła Roberta. - Powiedziała, że to nieprofesjonalne.

Powstrzymuję się od stwierdzenia, że również moim zdaniem malowanie sobie paznokci podczas pracy w kancelarii prawnej nie jest profesjonalne.

Telefon znów dzwoni. Odbieram.

- Pendergast, Loughlin i Flynn. Z kim mam połączyć?

- Z samą sobą- mówi Luke. - Dzwonię tylko, żeby życzyć ci powodzenia pierwszego dnia w pracy.

- Och. - Czuję, że kolana mi miękną jak zawsze, kiedy słyszę jego głos. - Cześć.

Już mi przeszło po tym wczorajszym. Kiedy stwierdził, że ludzie w naszym wieku są za młodzi, żeby wiedzieć, czym jest prawdziwa miłość. Bo powiedział, że nie miał na myśli nas dwojga. Najwyraźniej posłużył się zwykłym uogólnieniem. Większość ludzi w naszym wieku prawdopodobnie nie ma pojęcia o prawdziwej miłości. Tiffany, na przykład, pewnie nie ma pojęcia, czym jest prawdziwa miłość.

Poza tym po obiedzie pokazał mi bardzo umiejętnie, że wie, czym jest prawdziwa miłość. No cóż, a przynajmniej jej uprawianie.

- Jak leci? - pyta Luke.

- Świetnie - odpowiadam. - Naprawdę świetnie.

- Nie możesz rozmawiać, bo koło ciebie ktoś siedzi, tak? - Między innymi dlatego tak bardzo go kocham. Bo świetnie wszystko rozumie. A przynajmniej większość spraw.

- Dokładnie tak.

- Nie ma sprawy, moje pierwsze zajęcia i tak zaczynają się za pięć minut. Chciałem tylko sprawdzić, jak sobie radzisz.

Kiedy to mówi, drzwi do recepcji otwierają się i wchodzi jasnowłosa, nieco tęgawa młoda kobieta. Ma na sobie dzinsy i biały półgolf, które nie leżą na niej najlepiej, i parę sportowych butów z wysokimi cholewkami. Nieczęsto widuje się takie obuwie w biurze Pendergast, Loughlin

i Flynn. Kobieta z jakiegoś powodu wydaje mi się znajoma, ale nie umiem zgadnąć, kim jest.

Zauważam jednak, że Tiffany unosi wzrok znad pilnika do paznokci i opada jej szczęka: !

- Hmi muszę kończyć - mówię do Luke'a. - Pa.

Rozłączam się. Kobieta podchodzi do naszego biurka. Widzę, że jest ładna taką zdrową, typowo amerykańską urodą, chociaż maluje się bardzo dyskretnie i zdaje się zupełnie nie przejmować tym, że wałeczek tłuszczu rysuje się miękko nad paskiem jej zbyt nisko wykrojonych biodrówek, zamiast kryć się bezpiecznie pod osłoną dzinsów o wyższej talii, w których byłoby jej znacznie lepiej.

- Cześć - zwraca się do mnie. - Nazywam się Jill Higgins. Mam 0 dziewiątej spotkanie z panem Pendergastem...

- Jasne. - Szybko zaglądam do swojej rozpiski z wewnętrznymi i szukam numeru taty Chaza. - Proszę usiąść, a ja dam znać, że pani przyszła.

- Dziękuję. - Kobieta uśmiecha się, przy czym odsłania całą masę zdrowych, białych zębów. Kiedy idzie w kierunku jednej ze skórzanych kanap, ja wybieram wewnętrzny pana Pendergasta.

- Jill Higgins przyszła na spotkanie z panem Pendergastem o dziewiątej - mówię do Esther, asystentki pana Pendergasta, atrakcyjnej kobiety koło czterdziestki, która przychodząc do pracy, zatrzymała się przy mnie i przedstawiła.

- Cholera - mówi Esther. - Jeszcze go nie ma. Zaraz po nią przyjdę.

Odkładam słuchawkę i w tym samym momencie Tiffany szturcha mnie w ramię.

- Wiesz, kto to jest? - szepcze, wskazując ruchem głowy młodą kobietę na kanapie.

- Tak - odpowiadam szeptem. - Przedstawiła się. To Jill Higgins.

- Tak, ale czy ty wiesz, kto to jest ta Jill Higgins? - pyta Tiffany.

Wzruszam ramionami. Kobieta wydaje mi się znajoma, ale na pewno nie jest żadną gwiazdą telewizyjną czy filmową, bo nosi za bardzo normalne w rozmiarze ciuchy.

- Nie - szepczę w odpowiedzi.

- Nie no, ona wychodzi za, no wiesz, najbogatszego kawalera w Nowym Jorku - syczy Tiffany. - Johna MacDowella. Jego rodzina ma na Manhattanie więcej nieruchomości niż Kościół katolicki. A kiedyś Kościół przecież miał ich więcej niż ktokolwiek inny w mieście...

Obracam głowę i zerkam na Jill Higgins z nowym zainteresowaniem.

- Ta dziewczyna, która pracuje w zoo? - szepczę, przypominając sobie artykuł, który czytałam o niej w kolumnie plotkarskiej. - Ta, która nadwerżyła sobie kręgosłup, podnosząc fokę wyrzuconą na piasek?

- Dokładnie tak - potakuje Tiffany. - Rodzina MacDowellów chce ją zmusić do podpisania kontraktu przedślubnego. Chodzi im o to, żeby, no wiesz, nie dostała od nich złamanego centa, jeśli nie wyciśnie z siebie męskiego potomka. Ale pan młody chce zadbać, żeby jej prawa też zostały zabezpieczone, więc wynajął kancelarię Pendergast, Loughlin i Flynn, żeby ją reprezentowali.

- Och! - Uderza mnie tragizm tej całej sytuacji. Jill Higgins wygląda tak miło i normalnie! Jak ktoś mógłby przypuszczać, że jest naciągaczką?! - To bardzo ładnie z jego strony. To znaczy, że strony Johna MacDowella, że wynajął dla niej prawników.

Tiffany chrząka.

- Tak, jasne. On pewnie robi to tylko po to, żeby później, kiedy ona, no wiesz, da w długą, nie mogła powiedzieć, że ktoś ją wykiwał.

To według mnie ogromnie cyniczna uwaga. No ale z drugiej strony, co ja niby wiem? To mój pierwszy dzień w pracy. Tiffany pracuje tu od dwóch lat, a do tej pory żadna z recepcjonistek nie została w Pendergast, Loughlin i Flynn dłużej.

- Wiesz, jak ją nazywają? - szepcze Tiffany.

- Kto?

- Prasa. Jak nazywają Jill.

Patrzę na nią bezradnie.

- Nie nazywaj jej Jill?

- Nie. Nazywają ją Kranik-Tranik. Bo pracuje z fokami i ma ten wydatny brzusek.

Marszczę brwi.

- To wredne.

- A poza tym - ciągnie Tiffany, najwyraźniej świetnie się bawiąc - dlatego że się zalała łzami, kiedy jeden z dziennikarzy ją zapytał, czy nie czuje się zagrożona, wiedząc, że na świecie jest tyle o wiele od niej atrakcyjniejszych kobiet, które umierają z chęci dorwania się do jej narzeczonego.

- To okropne! - Zerkam w stronę Jill. Wygląda zadziwiająco spokojnie jak na kogoś, kto musiał się z czymś podobnym uporać. Bóg raczy

wiedzieć, jak sama zachowałabym się w podobnej sytuacji. Prasa pewnie dałaby mi przezwisko Chuda Niagara - bo ja bym się po czymś takim totalnie zapłakała.

- Panna Higgins! - Esther pojawia się w holu, wyglądając schludnie w swojej wąskiej spódnicy i zakiecie z materiału w kurzą stopkę. - Jak się pani ma? Zapraszam do nas. Pan Pendergast odrobinę się spóźni, ale mam już dla pani kawę. Z mlekiem i cukrem, prawda?

Jill Higgins uśmiecha się i wstaje.

- Zgadza się - mówi, ruszając za Esther korytarzem. - Jak to miło, że pani pamiętała!

Kiedy są już poza zasięgiem głosu, Tiffany parska i wraca do malowania paznokci.

- Wiesz, ten cały MacDowell może sobie być bogaty i tak dalej. I dobra, okay, dziewczyna będzie mogła zostawić robotę polegającą na rzucaniu zdechłych ryb tym paskudnym foczyskom. Ale ja nie chciałabym wżenić się w taką rodzinę za mniej niż dwadzieścia milionów. A ona będzie miała szczęście, jak zobaczy z tego kilkaset tysięcy.

- Och! - wdycham, zastanawiając się, czy Tiffany nie powinna być aktorką poza tym, że jest modelką, bo ma taki talent do dramatyzowania. - Nie mogą być aż tacy źli...

- Żartujesz sobie? - Tiffany przewraca oczami. - Mama Johna MacDowella to taka wiedźma, że nie da tej biednej dziewczynie zaplanować choćby jednego elementu własnego ślubu. Co moim zdaniem ma pewien sens, bo ona jest przecież z Iowa czy skądś, a jej ojciec to jakiś listonosz. Ale i tak... Kranik-Tranik nie może nawet sama sobie wybrać sukni ślubnej! Zmuszają ją, żeby włożyła jakąś obrzydliwą starą szmatę, która pleśniała u nich na strychu od wieków. Mówią, że to taka tradycja, że panny młode MacDowellów ją noszą... Ale moim zdaniem po prostu chcą, żeby wypadła źle w oczach Johna MacDowella, liczą, że może on się opamięta i rzuci ją dla jakiejś suki z towarzystwa, którą już wypatrzyła dla niego mamusia.

Zastrzygłam uszami na te słowa. Nie na temat dziewczyny z towarzystwa, którą matka Johna MacDowella wolałaby dla syna zamiast Jill, ale na ten drugi temat.

- Naprawdę? A kto jest jej konsultantem od sukni ślubnej? Wiesz? Tiffany patrzy na mnie, jakby nic nie rozumiała.

- Jej kim?

- Konsultantem do spraw sukni ślubnej - mówię. - No przecież chyba jakiegoś ma?

- Ja nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz - stwierdza Tiffany. - Jakiego znów konsultanta do spraw sukni ślubnej?

Ale w tym momencie drzwi do recepcji znów się otwierają i wchodzi pan, którego rozpoznaję jako tatę Chaza - czyli w zasadzie starszą i posiwalajego kopię, tyle że bez obróconej daszkiem do tyłu czapeczki bejsbolowej... A potem przystaje na mój widok.

- Lizzie? - pyta.

- Dzień dobry panu - mówię energicznie. - Jak się pan dzisiaj ma?

- No cóż, mam się świetnie. - Pan Pendergast się uśmiecha. - Jak zawsze, kiedy cię widzę. Naprawdę bardzo się cieszę, że dołączyłaś do naszej firmy. Chaz nie mógł się ciebie nachwalić, kiedy rozmawiałem z nim parę dni temu.

To prawdziwa pochwała, biorąc pod uwagę, że Chaz, o ile wiem, jak ognia unika rozmów ze swoimi rodzicami, jeśli tylko może. Fakt, że dzwonił do nich w mojej sprawie, wystarcza, żeby do oczu napłynęły mi łzy. To naprawdę najfantastyczniejszy facet pod słońcem. Pomijając Luke'a, oczywiście...

- Bardzo panu dziękuję. Strasznie się cieszę, że tu jestem. To takie miłe z pana strony, że...

Ale w tym momencie brzęczy telefon.

- No cóż, obowiązek wzywa - oświadcza pan Pendergast i mruga do mnie okiem. - Do zobaczenia później.

- Jasne. Aha, Jill Higgins już tu jest...

- Świetnie, świetnie! - woła pan Pendergast i szybko idzie w stronę swojego gabinetu.

Podnoszę słuchawkę.

- Pendergast, Loughlin i Flynn - mówię. - Z kim mam połączyć?

Kiedy udaje mi się przełączyć kolejnego rozmówcę, odkładam słuchawkę i zerkam na Tiffany.

- Umieram z głodu - skarży się. - Chcesz coś zamówić z Burger Heaven na dole?

- Nie ma nawet dziesiątej - zauważam.

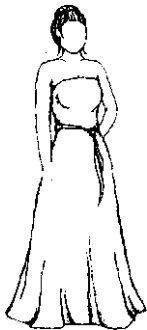
- Nieważne. Jestem taka głodna, że zaraz padnę. Muszę zjeść coś tłustego, inaczej się porzygam.

- Wiesz co? - mówię do Tiffany. - Chyba naprawdę już złapałam, o co chodzi. Możesz już iść, jeśli chcesz.

Ale Tiffany ignoruje tę sugestię.

- I zrezygnować z półtorej stawki za nadgodziny? Nie, dzięki.
Wezmę sobie podwójnego hamburgera. Dla ciebie też?

Wzdycham... I ustępuję. Bo wygląda na to, że to będzie długi dzień.
I prawdę mówiąc, czuję, że przyda mi się trochę białka.



Rozdział I I

*Jeśli chcesz dowiedzieć się, jakie wady ma dziewczyna,
zaczynij ją wychwalać przed jej przyjaciółkami.*

Benjamin Franklin (1706-1790), amerykański polityk i wynalazca

Karzeł wyśpiewuje: „Nie płacz tak głośno”.

- Nie wiem, jak wy - odzywa się Chaz - ale mnie ten występ niezwykle porusza. Dam mu ósemkę.

- Siedem - mówi Luke. - Mnie troszkę przeszkadza, że on przy tym faktycznie płacze.

- Ja mu damę dziesiątkę - decyduję, mruganiem odpędzając własne łzy. Nie wiem, czy to dlatego, że wszystkie piosenki Melissy Manchester wprawiają mnie w lekką melancholię, czy też dlatego, że akurat tę właśnie piosenkę śpiewa z takim uczuciem zapłakany karzeł przebrany za Froda z *Władcy Pierścieni*, w komplecie z laską Gandalfa. Może to te trzy tsingtao, które wypiął do kolacji, i te dwa koktajle z amaretto, które wypiął od tamtej pory tu, w naszym boksie. Ale po prostu mnie wzięło.

Niestety, nie da się tego samego powiedzieć o mojej najlepszej przyjaciółce, Shari. Oskubuje naklejkę ze swojej butelki dud light i minę ma rozdartnioną - miała taką praktycznie przez cały wieczór.

- Hej. - Trącam Shari łokciem. - No mów. Ile dasz za ten występ?

- Uch - Shari odsuwa z oczu kilka ciemnych loków i zerka na facecika na niewielkiej scenie w głębi baru. - Nie wiem. Chyba szóstkę.

- Niewiele. - Chaz kręci głową. - Popatrz na niego. Mało flaków sobie nie wypruje.

- Właśnie o to mi chodzi - mówi Stiari. - Traktuje to o wiele za poważnie. Przecież to karaoke.

- Karaoke w wielu kulturach stało się formą sztuki - oświadcza Chaz. - I jako takie powinno być traktowane z powagą.

- Nie w takim zakazanym barze o nazwie Honey's w śródmieściu - protestuje Shari.

Ton jej głosu się zmienił. Chaz mówi żartobliwie, ale Shari wydaje się zirytowana.

No ale właśnie taka się wydaje od momentu, kiedy przyszli z Chazem do tej tajskiej restauracyjki w śródmieściu, w której umówiliśmy się na kolację. Nieważne, co powie Chaz, Shari albo się z nim nie zgadza, albo go ignoruje. I jeszcze zbeształa go za to, że zamówił za dużo jedzenia. .. Jakby w ogóle można było zamówić za dużo.

- To pewnie tylko stres - mówię do Luke'a, kiedy we dwójkę idziemy za Chazem i Shari w drodze na Canal Street, omijając rybie wnętrzności, które wyrzucają do rynsztoków z mieszczących się po obu stronach ulicy chińskich marketów. - Wiesz, jak ona ciężko ostatnio pracuje.

- Ty sama też dość ciężko pracujesz - odpowiada Luke. - A nie zachowujesz się jak dziewczuszka z podstawówki...

- Ej, przestań - przerywam mu. - Daj spokój. Ona ma nieco bardziej stresującą pracę niż ja. Zajmuje się kobietami, których życie jest zagrożone. Kobietom, z którymi ja pracuję, grozi najwyżej niepewność, czy ich tyłki będą wyglądać szczupło, czy grubo w dniu ślubu.

- To też może być stresujące - upiera się Luke zadziwiająco lojalnie. - Nie powinnaś samej siebie poniżać.

Ale prawdę mówiąc, wcale nie uważam, że Shari dokucza stres w pracy. Bo gdyby chodziło tylko o to, pyszne pad thai i wołowe satay, które właśnie zjedliśmy - nie wspominając już o piwie - na pewno by pomogły. Ale nie pomogły. Po kolacji jest tak samo marudna jak przed. Nawet nie chciała iść do Honey's tylko iść prosto do domu i położyć się spać. Chaz prawie siłą wsadził ją do naszej taksówki; obawiał się, że Shari złapie drugą i wróci do domu.

- Ja tego zwyczajnie nie rozumiem - powiedział do nas Chaz, kiedy Shari na chwilę przeprosiła i poszła do toalety w przerwie między jednym daniem a drugim. - Wiem, że jest nieszczęśliwa. Ale kiedy ją pytam, co się dzieje, ona mówi, że wszystko jest w porządku i że mam jej dać spokój.

- Mnie mówi to samo - stwierdziłam i westchnęłam.

- Może to hormonalne - podsunął Luke. Biorąc pod uwagę te jego wszystkie zajęcia z biologii, była to naturalna reakcja.

- Ale przez sześć tygodni? - Chaz pokręcił głową. - Bo tyle czasu to już trwa. Od momentu, kiedy poszła tam do pracy... i wprowadziła się do mnie.

Z trudem przełknęłam ślinę. Po prostu wiedziałam. Gdybym tylko zamieszkała razem z Shari, tak jak jej to obiecywałam, zamiast zostawić ją na lodzie i przynieść się do Luke'a, wszystko wyglądałoby inaczej...

- Jeśli uważasz, że poradziłabyś sobie lepiej - mówi teraz Chaz, przesuając śpiewnik po stole boksu, w którym siedzimy - to czemu sama nie spróbujesz?

Shari zerka na podsunięty jej czarny segregator.

- Nie uprawiam karaoke - cedzi przez zęby.

- Hm, a ja pamiętam coś zupełnie innego - mówi Luke, unosząc swoje ciemne brwi. - Przynajmniej z pewnego ślubu, który sobie przypominam...

- To - mówi kwaśno Shari - była szczególna okazja. Po prostu starałam się wybawić z opresji obecna tu Gadułę.

Mrugam powiekami. Gadułę? Ja wiem, że to prawda i tak dalej, ale... Ale już zaczynałam się poprawiać. Naprawdę. Nikomu nie powiedziałam, że spotkałam Jill Higgins. I udało mi się ukryć przed Lukiem fakt, że kochanek jej matki (jeśli ten facet w ogóle nim jest... co zaczynałam coraz bardziej zdecydowanie podejrzewać) znów zadzwonił do niej do domu. Jestem prawdziwą kopalnią sekretnych informacji!

Ale Shari odpuszczę, bo naprawdę zostawiłam ją na lodzie.

- No chodź, Shari - mówię, sięgając po segregator. - Znajdę nam coś zabawnego do zaśpiewania. Co ty na to?

- Daj mi spokój - wykręca się Shari. - Jestem za bardzo zmęczona.

- Nigdy nie można być zbyt zmęczonym na karaoke - powiada Chaz. - Wystarczy stanąć tam i czytać z telepromptera.

- Jestem zmęczona - powtarza Shari, tym razem bardziej dobitnie.

- Posłuchajcie - mówi Luke. - Ktoś musi tam iść i coś zaśpiewać. Inaczej Frodo odstawi kolejną balladę. A wtedy będę musiał podciąć sobie żyły.

Zaczynam przerzucać strony segregatora.

- Zajmę się tym. Nie mogę pozwolić, żeby mój chłopak popełnił samobójstwo.

- Dzięki, kotku. - Luke robi do mnie oko. - Jesteś bardzo miła.

Znalazłam piosenkę, o którą mi chodzi, i wypisuję karteluszek, który trzeba wręczyć kelnerce, jeśli chce się zaśpiewać.

- Jeśli to zrobię, to wy też musicie wystąpić, chłopaki.

Chaz zerka z powagą na Luke'a.

- *Poszukiwany żywy lub martwy?*

- Nie. - Luke gwałtownie kręci głową. - Nie ma mowy.

- Jeśli ja się zdecydowałam, to wy też musicie...

- Nie. - Luke teraz się śmieje. - Nie bawię się w karaoke.

- Musisz - stwierdzam ze śmiertelną powagą. - Bo jeśli tego nie zrobisz, będziesz skazany na jeszcze więcej tego czegoś. - Kiwam głową w stronę rozchichotanej grupki dwudziestoparolatków w naszym jankach z podświetlanych penisów i z pijackimi minami, co zdradza, że są uczestnikami wieczoru kawalerskiego - jakby fakt, że wyskrzekują do mikrofonu *Letniq miłość* z *Grease* nie dowodził tego wystarczająco wyraźnie.

- Oni sobie robią kpiny z karaoke - zgadza się Chaz, wymawiając słowo „karaoke” z prawidłową japońską intonacją.

- Jeszcze kolejka? - pyta nas kelnerka w uroczej sukience chince z czerwonego jedwabiu i już nie tak uroczą „sztangą” w dolnej wardze.

- Następne cztery - mówię, podsuwając jej dwie karteczki z zamówieniem na piosenki. - I poprosimy dwa utwory.

- Dla mnie nic. - Shari unosi swoją nadal prawie pełną butelkę piwa. - Wystarczy mi.

Kelnerka kiwa głową i bierze ode mnie karteczki.

- Czyli jeszcze trzy piwa - mówi i odchodzi.

- Jak to, dwie piosenki? - pyta Luke podejrzliwie. - Chyba nie...

- Chcę usłyszeć, jak śpiewasz, że jesteś kowbojem - mówię, szeroko i niewinnie otwierając oczy. - I że jedziesz na stalowym rumaku...

Usta Luke'a wykrzywia powstrzymany uśmiech.

- Ty...

Rzuca się w moją stronę, ale ja chowam się za Shari, która mówi:

- Przestań.

- Ratuj mnie - proszę ją.

- Przestań już - rzuca.

- Och, daj spokój, Shari. - Śmieję się. Co się z nią dzieje? Kiedyś uwielbiała wygłupiać się w takich marnych barach. - Zaśpiewaj ze mną.

- Strasznie mnie wkurzasz - ona na to.

- Zaśpiewaj ze mną - błagam. - Przez pamięć dla dawnych czasów.

- Odczep się - warczy Shari i spycha mnie w stronę końca ławki, na której obie siedzimy. - Muszę iść do kibelka.

- Nie pozwolę ci wyjść, chyba że ze mną zaśpiewasz.

Shari wylewa mi na głowę swoje piwo.

Potem, w damskiej łazience, przeprasza mnie. Pokornie.

- Serio - mówi i pociąga nosem, patrząc, jak suszę sobie włosy pod suszarką do rąk. - Okropnie mi przykro. Nie mam pojęcia, co mnie dopadło.

- Nie ma sprawy. - Prawie jej nie słyszę przez ryk suszarki, o zawodzeniach uczestników wieczoru kawalerskiego na scenie nawet nie wspominając. - Poważnie.

- Nie - protestuje Shari. - Jest sprawa. Jestem okropna.

- Nie jesteś okropna. To ja zachowywałam się jak idiotka.

- No cóż. - Shari opiera się o grzejnik. Damskiej łazienki w Honey's nikt nie określiłby mianem miejsca szykownego. Jest tu jedna umywalka i jeden kibelka, a ściany pomalowano sraczkowato-beżową farbą, która z trudem pokrywa kryjące się pod nią warstwy graffiti. - Zachowywałam się jak idiotka. Ale nie bardziej niż zwykle. To ze mnie zrobiła się ostatnio taka wredna, wściekła suka. Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Chodzi o twoją pracę? - pytam. Suszarka do rąk rozwiązała problem moich mokrych włosów. Ale nic nie poradzi na piwny odorek, który unosi się nad moją minisukienką Vicki Vaughn. Z tym poradzę sobie za pomocą butelki febreze dopiero po powrocie do domu.

- Nie chodzi o moją pracę - mówi Shari wzgardliwie. - Ja swoją pracę uwielbiam.

- Naprawdę? - Nie udaje mi się ukryć zaskoczenia. Shari przecież przez cały czas uskarża się na długie godziny i nadmiar zajęć.

- Naprawdę. Właśnie w tym problem... Ja po prostu wolę być w pracy niż w domu.

Otwieram swoją torebkę od Meyersa z dwiema kieszeniami z lat siedemdziesiątych (z plastiku w porażającym limetkowo-zielonym kolorze, za jedyne trzydzieści pięć dolarów przy mojej zniżce pracowniczej w Vintage to Vavoom), żeby poszukać w niej czegokolwiek, czym mogłabym się spryskać i zabić ten smrodek piwa.

- Czy to dlatego, że tak bardzo kochasz tę swoją pracę? - pytam ostrożnie. - Czy może dlatego, że już nie kochasz Chaza?

Shari się krzywi. I chowa twarz w dłoniach, żeby ukryć łzy.

- Och, Shari... - Serce mi się ściska. Odchodzę od suszarki, żeby objąć ją ramieniem. Zza drzwi słyszę przytłumiony łomot basów, a uczestnicy imprezki kawalerskiej wrzeszczą: „Wszystko zależy od ciebie, to Nowy Jork, Nowy Jork”.

- Nie wiem, co się stało - szlocha Shari. - Ile razy z nim jestem, czuję, że się duszę. I to nawet kiedy nie ma go w pobliżu... Zupełnie, jakby mnie soba t łamsi ł.

Próbuję być wyrozumiała. Bo tak powinny się wobec siebie zachowywać najlepsze przyjaciółki.

Ale znam Chaza od dawna. I on nigdy nie należał do typów, które kogoś soba przy t łaczają czy t łamszą. W ł a ł c i w i e trudno by ł o b y znale ź ć bardziej wyluzowanego faceta. To znaczy pomijając chwile, kiedy plecie o Kierkegaardzie.

- Co przez to rozumiesz? - pytam ją. - W jaki sposób cię t łamsi?

- Na przykład ciagle do mnie wydzwania do pracy. - Shari gwałtownym gestem ociera łzy. Shari nienawidzi p łaka ć... I rzadko sobie na to pozwala. - Czasami nawet dwa razy dziennie!

Patrzę na nią, os łupia ł a.

- Telefon do kogoś do pracy dwa razy dziennie to wcale nie tak duzo - mówię. - Przeciez ja te z dzwonię do ciebie ze dwa razy dziennie. A w ł a ł c i w i e o wiele czę śc i e j. - Nawet nie wspominam, ile razy dziennie zaczę ł a m do niej mailowa ć, odkąd spędzam tyle godzin przy biurku z prawdziwym komputerem, na którym powinnam przygotowywa ć notatki i zapisywa ć wiadomo śc i e telefoniczne dla prawników, dla których pracuję.

- To coś innego - tłumaczy Shari. - Zresztą nie tylko o to chodzi. To znaczy jest jeszcze ta ca ł a sprawa z kotem. - Zdradzi ł a m Shari, że Chaz planuje wzbogaci ć ich domowe ognisko o czworono żnego przyjaciela, co spowodowa ł o, że zosta ł o u niej zdiagnozowane dopiero co ujawnione uczulenie na zwierzęcą sier śc ĩ, i ze smutkiem musia ł a mu wyzna ć, że ju z nigdy nie bę d z i e mog ł a mieszka ć w jednym mieszkaniu czy domu z żadnym futrzakiem. - No i to, że kiedy wracam do domu po pracy, on mnie wypytuje, jak mi mina ł dzie Ń! Po tym, jak ju z mu to opowiada ł a m przez telefon!

Wypuszczam ją z objęć.

- Shari... - zaczynam. - Luke i ja rozmawiamy ze soba milion razy dziennie. - Troszkę przesadam. Ale nieważne. - I zawsze po powrocie do domu pytamy się nawzajem, jak nam mina ł dzie Ń.

- Tak. Ale założę się, że kiedy ciebie nie ma, Luke nie spędza całego dnia, snując się po domu, czytając Wittgensteina, a potem robi zakupy, sprząta i piecze ciasteczka z płatkami owsianymi.

Szczęka mi opada.

- Chaz robi zakupy, sprząta i piecze ciasteczka z płatkami owsianymi, kiedy ty siedzisz w pracy?

- Tak - potwierdza Shari. - I jeszcze pierze. Wyobrażasz sobie? Kiedy ja jestem w pracy, on robi pranie! A potem wszystko składa w idealną kosteczkę! Nawet moją bieliznę! - Spoglądam teraz na Shari podejrzliwie. Coś tu jest nie tak. Bardzo nie tak.

- Shari, czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? Jesteś wściekła na swojego chłopaka za to, że dzwoni do ciebie regularnie, sprząta wasze mieszkanie, chodzi po zakupy, piecze ci ciasteczka i robi pranie. Czy ty zdajesz sobie sprawę, że właśnie opisałaś najidealniejszego mężczyznę pod słońcem?

Shari patrzy na mnie gniewnie.

- Dla niektórych może to brzmi jak opis najidealniejszego faceta, ale nie dla mnie. Wiesz, jak sobie wyobrażam faceta idealnego dla siebie? Takiego, który mniej siedzi w domu. Aha, i jeszcze jedno: on chce seksu. Codziennie. To było w porządku we Francji. Ale to były wakacje. Teraz mamy różne obowiązki, no cóż, przynajmniej niektórzy z nas. Kto ma czas codziennie uprawiać seks? A czasami on tego chce nawet i dwa razy dziennie, rano, a potem wieczorem jeszcze raz. Ja mam tego dosyć, Lizzie. Po prostu... Po prostu już nie mogę. O mój Boże... Dajesz wiarę, że coś takiego sama powiedziałam?

Jestem zadowolona, że zadała to pytanie, bo muszę odpowiedzieć: nie bardzo. Shari zawsze była bardziej seksualnie drapieżna i odważniejsza ode mnie. Wygląda na to, że role się nareszcie odwróciły. Muszę się ugryźć w język, żeby nie palnąć, że z Lukiem często się kochamy dwa razy dziennie - i że mnie to się całkiem podoba.

- Ale ty i Chaz kiedyś, hm, robiliście to tyle razy dziennie. To znaczy, kiedy zaczęliście ze sobą chodzić. I wtedy ci się podobało. Co się zmieniło?

- No właśnie, w tym problem. - Shari ma szczerze zmartwioną minę. - Nie wiem. Boże, co ze mnie za doradczyni, skoro sama nie umiem rozwiązać własnych problemów? Jak ja mam pomagać ludziom?

- Czasami łatwiej jest pomóc ludziom w ich problemach, niż poradzić sobie z własnymi - mówię, mam nadzieję, uspokajającym tonem. -

Rozmawiałaś o tym wszystkim z Chazem? Może gdybyś mu powiedziała, co ci leży na sercu...

- Och, jasne. - Shari ironizuje. — Chcesz, żebym powiedziała swojemu chłopakowi, że za bardzo przypomina ideał?

- Nie musisz tego ujmować dokładnie w taki sposób. Ale może gdybyś...

- Lizzie, jestem zupełnie świadoma, że mówię jak wariatka. Dzieje się ze mną coś złego. Zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie! - wołam. - Shari, to tylko... Taki trudny moment. Właściwie to moja wina. Może nie byliście jeszcze gotowi, żeby razem zamieszkać. Nie powinnam była tak cię wystawiać do wiatru i wprowadzać się do Luke'a. Należało mi się to piwo na łeb. Należy mi się o wiele więcej...

- Och, Lizzie. - Shari patrzy na mnie tymi ciemnymi oczami, w których znów widać łzy. - Nie rozumiesz? To nie ma nic wspólnego z tobą. To przeze mnie. Coś się ze mną dzieje nie tak. A przynajmniej z tym związkiem między mną a Chazem. Prawdę mówiąc... Ja już sama nie wiem, Lizzie.

Gapię się na nią.

- Czego nie wiesz?

- No bo, popatrz tylko na siebie i Luke'a, jak cudownie wam się razem układa...

- Nie jest cudownie - przerywam szybko. Nie chcę przypominać jej o tej kwestii płochliwego leśnego stworzonka. Ani o tym, że jestem prawie pewna, że mama Luke'a ma, a przynajmniej miała, romans, a ja jemu o tym nie powiedziałam. - Naprawdę, Shari. My...

- Ale wyglądacie na takich szczęśliwych. Tak jak kiedyś Chaz i ja... Ale z jakiegoś powodu to zniknęło.

- Och, Shari. - Przygryzam dolną wargę, rozpaczliwie zastanawiając się, co należałoby powiedzieć. - Może gdybyście poszli do jakiegoś terapeuty...

- Nie wiem - mówi Shari. Jej wyraz twarzy i głos są dalekie od optymizmu. - Nie wiem, czy w ogóle warto jeszcze próbować.

- Shari! - W głowie mi się nie mieści, że to powiedziała. I to właśnie na temat Chaza!

- Lizzie? - Ktoś stuka do drzwi. Kobięcy głos znów mnie woła: - Twoja kolej!

Dociera do mnie, że to kelnerka i że zagrają zaraz moją piosenkę - i że mam ją zaśpiewać.

- O nie! - wołam. - Shari, ja... Nie wiem, co mam powiedzieć. Naprawdę uważam, że może z Chazem przeżywacie teraz jakiś trudny moment. Chaz to świetny gość i ja wiem, że on ciebie naprawdę kocha... Jestem pewna, że z czasem wszystko się ułoży.

- Nie ułoży się - mówi Shari. - Ale dzięki, że pozwoliłaś mi to z siebie wylać. I to dosłownie. Przepraszam za to piwo.

- Nie ma sprawy. To było nawet orzeźwiająca. Zaczynało mi się tam robić gorąco.

- Idziesz?! - krzyczy kelnerka. - Czy nie?

- Idę! - wołam. A potem proszę Shari: - Zaśpiewasz ze mną?

- Nie ma mowy - odpowiada z uśmiechem.

I w ten sposób ląduję sama na scenie w Honey's, zapewniając uczestników wieczoru kawalerskiego, którzy obdarzają mnie pijackimi gwizdami, karła, który piorunuje mnie gniewnym wzrokiem, bo go obrabowałam z kolejnego występu, oraz Chaza, Shari i Luke'a, że dziewczyny się nudzą, kiedy wciąż muszą chodzić w tej samej kiece, a kiedy się nudzą, to lepiej na nie uważać.

Rada, którą Chaz, zdaje się, usiłował już zastosować... Z bardzo mi-zernymi skutkami.



Rozdział 12

Plotka dotrze tam, gdzie chce, nawet jeśli nie ma jednej nogi.

John Tudor (ur. 1954), amerykański baseballista

No więc, jakie masz plany na Święto Dziękczynienia? - pyta mnie Tiffany.

Chociaż jej zmiana zaczyna się dopiero o drugiej, Tiffany ostatnio pokazuje się w południe i siedzi ze mną w recepcji, dopóki nie pójde do domu... A czasem nawet przynosi dla nas obu lunch, który pogryzamy sobie po kryjomu za biurkiem, bo w recepcji nie wolno trzymać jedzenia („To wysoce nieprofesjonalne”, jak wyraziła się Roberta, kiedy któregoś dnia złapała mnie na niewinnym pojadaniu popcornu z mikrofalówki, który zwędziłam z kuchni).

Najpierw myślałam, że to jeden z dziwacznych zwyczajów Tiffany - to znaczy to, że przychodzi codziennie do pracy dwie godziny przed czasem. Aż wreszcie Daryl, operator sprzętu kopiująco-faksującego (jego zadaniem jest dbać, żeby wszystkie kopiarki i faksy w biurze miały zapas papieru i działały sprawnie i żeby dokumenty faksowane były od razu pod właściwe numery), poinformował mnie, że tylko sobie zawdzięczam nową i godną pochwały zmianę w etyce zawodowej Tiffany.

- Ona lubi sobie z tobą posiedzieć - powiedział. - Mówi, że jesteś fajna. A nie ma żadnych przyjaciół poza tym swoim zarozumiałym facetem.

Kiedy to usłyszałam, poczułam się wzruszona, ale i zaskoczona. Prawdę mówiąc, Tiffany i ja nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego (poza biurkiem, przy którym siedzimy, i miłością do mody, oczywiście), a jej niewybredne słownictwo potrafi czasem trochę zaszokować. A ja, na przykład, nigdy się z nią nie spotykałam poza pracą... I nie ma się co

dziwić, skoro pracujemy na różnych zmianach. Nie można tego nazwać prawdziwą więzią.

Z drugiej strony obie regularnie wysłuchujemy wrzasków Petera Kurwa Mać Loughlina. A to zmienia człowieka raz na zawsze i w pewien sposób cementuje naszą przyjaźń.

Mimo to, kiedy Tiffany zadaje swoje pytanie na temat Święta Dziękczynienia, zaczynam się bać. Boję się, że zaraz potem padnie zaproszenie, żeby dołączyć na świąteczną kolację do niej i jej „zarozumiałego faceta” (którego Daryl tak nazywa tylko i wyłącznie dlatego - jestem tego na razie pewna - że przez niego Tiffany nie chce się umówić z Darylem).

Pewnie byłoby miło i tak dalej, ale nie jest to coś, na co Luke byłby gotowy - to znaczy, lepiej go jeszcze nie narażać na kontakt z moimi współpracownikami. Na razie udaje mi się trzymać go na bezpieczną odległość od państwa Henrich i uroczych pracowników firmy Pendergast, Loughlin i Flynn.

Biorąc pod uwagę, że jeszcze nie powiedziałam własnej rodzinie, że Luke i ja razem mieszkamy, można by uznać, że przed swoimi krewnymi też go chronię.

- Rodzice Luke'a przyjeżdżają do miasta - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Serio? - Tiffany podnosi wzrok znad pilnika, którym opiłowuje paznokcie. - Przyjeżdżają aż z Francji?

- Hm, nie, z Houston - mówię po krótkiej chwili, w czasie której odbieram i łączę telefon do Jacka Flynna. - Tylko część roku spędzają we Francji, a resztę w Houston, tam urodził się Luke. Przyjeżdżają tu na Święto Dziękczynienia, żeby jego mama mogła zrobić trochę zakupów świątecznych, a tata pójść na parę przestawień na Broadwayu.

- Więc zabierają was na obiad z okazji Święta Dziękczynienia? - Tiffany jest pod wrażeniem. - Jak miło.

- Niezupełnie. Sama robię obiad. To znaczy, ja i Luke. Dla ich dwojga, no i dla Shari, i Chaza.

Tiffany gapi się na mnie.

- Czy ty kiedykolwiek piekłaś indyka? - pyta.

- Nie - odpowiadam. - Ale jestem pewna, że to łatwe. Luke jest naprawdę niezłym kucharzem, a ja sobie wydrukowałam kilka przepisów ze strony internetowej Food Network

- Ach tak. - Głos Tiffany ocieka ironią. - No to wszystko na pewno świetnie się uda.

Ale nie pozwalani, żeby udzielił mi się jej pesymizm. Jestem pewna, że Święto Dziękczynienia uda nam się znakomicie. Nie tylko rodzice Luke'a będą się świetnie bawić, ale Chaz i Shari też. Tak bardzo poruszy ich obraz niezmałconego szczęścia mojego i Luke'a (oraz jego rodziców), że znów zaczną się ze sobą dogadywać.

Jestem tego pewna. Mało że pewna. Całkowicie przekonana.

- Twoja rodzina na pewno za tobą tęskni - rzuca Tiffany lekkim tonem. - Nie obrażę się na ciebie, że nie będziesz na Święcie Dziękczynienia w domu?

- Nie - mówię, zerkając na zegarek. Jeszcze cztery minuty i będę mogła wyjść... I pozbyć się Tiffany aż do jutra. Nie, żeby aż tak bardzo mi przeszkadzała. Ona tylko... No cóż, bywa męcząca. - Wybieram się do domu na Boże Narodzenie.

- Och? Luke pojedzie z tobą?

- Nie. - Teraz muszę się już starać, żeby ukryć rozdrażnienie. - Rodzice Luke'a spędzają Boże Narodzenie w swoim chateau we Francji. Poprosili go, żeby w tym roku pojechał tam z nimi.

I owszem, byłam rozczarowana. Nie tym, że mnie nie zaprosił, że bym pojechała razem z nimi. Bo zaprosił. Chociaż poprzedził zaproszenie słowami: „Domyślał się, że będziesz wolała spędzić święta z własną rodziną, ale...”

W sumie źle się domyślał.

Ale nie do końca. Faktycznie chciałam spędzić święta ze swoją rodziną... I z Lukiem też. Chciałam, żeby pojechał ze mną do Ann Arbor i poznał moich rodziców. Wcale mi się też nie wydawało, że to jakieś przesadne oczekiwanie. Ja już przecież jego rodzinę poznałam. Wydawało mi się, że jeśli Luke chce, żeby nasz związek przetrwał, to zechce poznać moją rodzinę.

Ale kiedy go zapytałam, czy nie miałyby ochoty polecieć ze mną do domu, skrzywił się i powiedział:

- O kurczę, bardzo bym chciał. Ale wiesz, już kupiłem bilet do Francji. Prawdziwa okazja. I nie mogę zmienić rezerwacji ani odzyskać kasy. Ale mógłbym sprawdzić, czy nie znalazłoby się też coś dla ciebie, jeśli chciałabyś polecieć ze mną...

Prawdę mówiąc, w Pendergast, Loughlin i Flynn dali mi tylko trzy dni urlopu (monsieur Henri zamyka zakład na cały tydzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem), a więc to trochę mało czasu, żeby lecieć do Francji i z powrotem. Ale - na moje szczęście - dość,

żeby odwiedzić Ann Arbor. Kiedy wrócę, będę tkwiła w pracy - i mieszkała - sama, dopóki Luke nie wróci po Nowym Roku.

Tak właśnie. Po Nowym Roku. Czeka mnie samotny sylwester na Manhattanie, kiedy on będzie sobie świętował na południu Francji. Szczęśliwego Nowego Roku, Lizzie!

Nie żebym opowiadała o takich rzeczach Tiffany. To nie jej sprawa. Poza tym wiem, co ona by mi powiedziała. Jej chłopak przyjechał do Dakoty Północnej, żeby poznać jej rodziców w pierwszym roku ich znajomości.

- No cóż! - Tiffany wzdycha ciężko. - Raoul i ja pewnie będziemy siedzieć w domu i zamówimy sobie jakieś jedzenie czy coś. No bo żadne z nas nie umie gotować.

Nie zaproszę Tiffany i jej chłopaka na obiad w Święto Dziękczynienia. To przyjęcie tylko dla nas, rodziców Luke'a, Chaza i Shari. Miły posiłek na poziomie, jak te, które latem jedliśmy w chateau Mirac.

Pierwsza pięćdziesiąt dziewięć. Za moment wyjdę.

- Ta chińska knajpa koło nas na Święto Dziękczynienia robi takie jakieś pierożki z indykiem - ciągnie Tiffany. - Są całkiem niezłe. Chociaż, oczywiście, brak mi słodkich ziemniaków. I placka z pekanami.

- W mojej okolicy jest mnóstwo restauracji, które w Święto Dziękczynienia serwują trzy-, a nawet czterodaniowe, świąteczne menu. Może moglibyście sobie zrobić rezerwację w takiej knajpcie.

- To nie to samo, co jeść u kogoś w domu - mówi Tiffany. - Restauracje to takie bezduszne miejsca. W Święto Dziękczynienia człowiek szuka ciepła. Restauracje go w sobie nie mają.

- No cóż. Druga. Skończyłam. Wychodzę.

Wstaję.

- Jestem pewna, że znajdziecie restaurację, która dostarczy wam świąteczny posiłek do domu.

- Tak. - Tiffany wzdycha i wstaje, żeby przesiąść się na mój fotel. - Ale to nie to samo, co domowe jedzenie.

- To prawda.

Nie rób tego, Lizzie, powtarzam sobie. Nie daj się na to złapać. Żadnych odruchów litości.

- Muszę już lecieć...

- Tak - mruczy Tiffany i nie patrzy na mnie. - Powodzenia w tym zakładzie z sukniami ślubnymi.

Jestem w połowie drogi do drzwi, płaszcz przewiesiłam przez ramię, ale czuję, że coś mnie zatrzymuje, zupełnie jakbym była do tego miejsca przywiązana.

- Tiffany... - słyszę z własnych ust, chociaż mój mózg wrzeszczy przy tym: „nieeee!”

Podnosi wzrok znad ekranu komputera, w który się wpatrywała.

- Tak?

- A nie miałybyś ochoty przyjść do mnie z Raulem na obiad w Święto Dziękczynienia?

„Nieeeeeeee!”

Tiffany znakomicie udaje obojętność. Naprawdę, byłaby doskonałą aktorką.

- Sama nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Musiałabym pogadać z Raulem. Ale... no wiesz, to możliwe.

- To daj mi znać. Na razie.

Przez całą drogę windą na parter, do holu, przeklinam samą siebie. W co ja się wpakowałam? Po co ją zaprosiłam? Przecież nie umie gotować, więc to nie tak, że coś ze sobą przyniesie.

A już na pewno nic nie wniesie do rozmowy przy stole. Tiffany Sawyer zna się wyłącznie na ostatnich czółenkach Prądy i tym, która hollywoodzka gwiazda sypia z synem którego hollywoodzkiego producenta...

A ja nawet nie miałam okazji poznać tego całego Raoula, jej żonatego (żonatego!) kochanka. Kto wie, co to za typ. Z tego, co mówi Dary], nic ciekawego (choć Daiyl jest na pewno uprzedzony).

Och, dlaczego pozwalam, żeby to moje gadulstwo pakowało mnie w takie sytuacje? Ale próbuję się pocieszać myślą, że Raoul może się zbuntować przeciwko pomysłowi spędzania Święta Dziękczynienia w towarzystwie obcych mu ludzi.

Chociaż, biorąc pod uwagę, że ci obcy ludzie mają mieszkanie na Piątej Alei, wydaje mi się, że to mało prawdopodobne. Adres na Piątej Alei, jak się przekonuję, to coś takiego, jakby człowiek mieszkał w Beverly Hills. Nowojorczycy - nawet ci napływowi - mają świra na punkcie nieruchomości... Może dlatego, że tak ich niewiele na rynku, a te, które się zdarzają, są nieprawdopodobnie drogie.

Więc ile razy mówię komuś, gdzie mieszkam, ten robi wielkie oczy. I to jeszcze zanim wspomnę o Renoirze.

Och, nieważne. Po prostu postąpiłam ładnie. Przecież Tiffany nie ma innych bliskich osób. Ze swoimi superkonserwatywnymi rodzicami

nie ma zbyt dobrego kontaktu, bo nie aprobującej związku z Raoulem. A nie zanosi się na to, żeby Roberta miała ją w możliwej do przewidzenia przyszłości zaprosić do domu na obiad. Robiąc to, zaliczę parę dodatkowych punktów do ogólnej karmy, co mi się naprawdę przyda, biorąc pod uwagę te wszystkie tarapaty, w które zawsze się łąduję, nie umiając dochować żadnego sekretu...

...Fakt, który dociera do mnie z jeszcze większą siłą, kiedy drzwi windy rozsuwają się na dole, a ja wychodzę i przy recepcji zauważam znajomą twarz. To Jill Higgins, która wybiera się na górę na kolejne spotkanie z tatą Chaza. Dziś ma na sobie zwykłe džinsy, sweter i sportowe buty - chociaż w miniony weekend w „Post” był dwustronicowy dodatek *Baw się w Jill*, gdzie przygotowali laleczkę do wycinania z jej twarzą i zestaw różnych ubrań, w które można ją przebierać, włącznie z uniformem z zoo i kiczowatą suknią ślubną.

Waham się. Sporo myślałam o Jill - właściwie myślałam o niej codziennie. No cóż, trudno o niej nie myśleć, biorąc pod uwagę, że w miejscowych szmatławcach codziennie znajdzie się coś o Kraniku-Traniku. To zupełnie tak, jakby nowojorczyce nie byli w stanie uwierzyć, że ktoś tak bogaty jak John MacDowell mógłby się zakochać w kobiecie, która nie jest tak stereotypowo piękna jak... dajmy na to, Tiffany.

A fakt, że Jill to pracująca dziewczyna - i to pracująca ni mniej, ni więcej tylko przy fokach - zdaje się czynić z niej obiekt jeszcze bardziej zjadliwych uwag nowojorskiego towarzystwa. Najwyraźniej będzie pierwszą panią MacDowell, która kiedykolwiek wykonywała płatne zajęcie (pomijając ochotniczą pracę dla organizacji charytatywnych).

A matrony z Piątej Alei (No wiem... przecież to teraz i moja ulica!) wzdragają się z obrzydzeniem na wieść, że Jill po ślubie zamierza nadal pracować przy fokach.

To wszystko sprawia, że się martwię. Poważnie. I dobra, nieco mniej niż sprawami Shari i Chaza (oczywiście). Ale i tak nie mogę przestać myśleć o tym, co Tiffany powiedziała mi pierwszego dnia w pracy: że rodzina Johna MacDowella zmusza tę biedną dziewczynę, żeby na swój ślub włożyła jakąś przedpotopową suknię ślubną, która jest w rodzinie od miliona lat.

Mogę się założyć, że w najlepszym przypadku ta suknia ma rozmiar S. A Jill nosi L albo XL.

Jak ona się zmieści w taką suknię? A przecież musi. Musi ją włożyć. Ta cała sprawa z suknią... To otwarte wyzwanie rzucone jej przez matkę

narzeczonego. To zupełnie tak, jakby pani MacDowell mówiła: „Zrób to... Inaczej nigdy nie będziesz do nas pasowała”.

I dobra. Może trochę przesadzam. Ale z tego, co czytałam - i z tego, co wiem z pracy dla Pendergast, Loughlin i Flynn - wynika, że nie mogę się bardzo mylić.

No więc co z tym wszystkim zrobi Jill? Musi zanieść tę suknię komuś do przerobienia... Ale komu? Czy to będzie ktoś, kto zrozumie powagę sytuacji? Czy to będzie ktoś, kto jej powie prawdę - że nijak się nie uda wcisnąć ciała w rozmiarze XL w suknię rozmiaru S bez wszycia kilku obrzydliwych poszerzających klinów?

0 Boże, na samą myśl o takich klinach robi mi się niedobrze.

I kiedy tam stoję, patrząc, jak Jill pokazuje swoje prawo jazdy strażnikowi ochrony, żeby dostać przepustkę, łapię się na myśli, że chciałabym, żeby ona z tym przyszła do mnie. Wiem, że to brzmi nierealnie. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek inny pracował nad suknią Jill. Nie dlatego, że boję się, iż padnie ofiarą takiego osobnika jak Maurice... Chociaż tego też się obawiam. Ale dlatego, że chcę, żeby w dniu swojego ślubu wyglądała pięknie. Chcę, żeby rodzinie Johna na widok jej urody zaparło dech w piersiach, kiedy przejdzie nawą. Chcę, żeby tą suknią pokazała swojej teściowej, że może się wypchać. Chcę, żeby nowojorska prasa musiała odszczekać ten Kranik-Tranik i przemianować ją na Boginię.

I wiem, że mogę tego dokonać. Czy Jennifer Harris nie była zachwycona tym, co - pod uważnym spojrzeniem monsieur Henriego, oczywiście - zrobiłam ze ślubną suknią jej matki? Nawet jej matka przyznała niechętnie w czasie ostatniej przymiarki, że na Jennifer suknia wygląda lepiej niż kiedyś na którejkolwiek z jej pozostałych córek.

A tylko jedna rzecz to sprawiła: moja ciężka praca.

Chcę zrobić to samo dla Jill. Przecież ona nabawiła się kłopotów z kręgosłupem, bo podniosła fokę! Takiej dziewczynie należy się najlepsza z możliwych specjalistek od sukni ślubnych.

I dobra, to nie tak, że już jestem wykwalifikowaną specjalistką. Ale to tylko kwestia czasu...

Tylko w jaki sposób mam dać znać Jill, że jestem tu, gdyby mnie potrzebowała? Przecież nie mogę jej wsunąć swojej wizytówki (Och, tak. Zrobiłam sobie wizytówki z adresem zakładu monsieur Henriego i moim telefonem komórkowym.), a jednocześnie zachować tego poziomu „dyskrecji i profesjonalizmu”, o którym mówiła mi Roberta, przedstawiając oczekiwania firmy Pendergast, Loughlin i Flynn co do swoich pracowni-

ków. Jestem pewna, że za coś takiego mogłabym wylecieć z pracy... A ja tej pracy na razie jeszcze potrzebuję.

Ale już nie tak bardzo, zdaję sobie nagle sprawę, kiedy Jill podchodzi do bramki ochrony, a ja poniżej jej talii dostrzegam największą ubraniową gafę z możliwych - widoczną linię majtek. O Boże! Ktoś tej kobiecie musi pomóc!

I, na Boga, tym kimś będę ja. Bo co jest w sumie ważniejsze, żebym zarobiła na czynsz czy żebym pomogła tej biednej, udręczonej dziewczynie wyglądać jak najlepiej w dniu ślubu? Nie ma sobie nad czym łamać głowy. Zaraz do niej podejść i zaproponuję swoje usługi. Nie przebywamy teraz na terenie biura i jestem panią swojego czasu. A może nawet nie będzie pamiętała, gdzie mnie już wcześniej widziała. Nikt nigdy nie pamięta recepcjonistek...

- Przepraszam...

Och! Za późno! No trudno, nieważne. Porozmawiam z nią następnym razem. Jeśli jeszcze nadarzy się okazja...

Musi się nadarzyć.

- No proszę. - Jakiś chuderlawy facecik w sztruksowych spodniach, który łąził wokół kiosku z prasą w holu, podchodzi teraz do mnie.

Świetnie. Tylko tego mi jeszcze potrzeba. Żeby mnie podrywał jakiś gość, który, sądząc po moich ciuchach, bierze mnie za prowincjuszkę ze Środkowego Zachodu, która nabierze się na jego gadkę o tym, że jest fotografem i współpracuje z agencją modelek, więc czy nie przesłałabym się z nim do jego studia, żeby mógł mi zrobić trochę zdjęć? Bo chce ze mnie zrobić gwiazdę. Zieeew.

- Przepraszam - mówię, obracając się i zmierzając do wyjścia na ulicę. - Nie jestem zainteresowana.

Właśnie dlatego nowojorczyki mają opinię ludzi niegrzecznych. Ale to nie nasza wina! To przez takich facetów nowojorczyki są podejrzliwi w stosunku do obcych, którzy zagadują do nich na ulicach!

- Zaczekaj! - Sztruksowe Spodnie ruszają za mną. O, nie! - Czy ty przed chwilą nie machałaś ręką do Jill Higgins?

Przystając, nie mogę nie przystanąć. Słowa „Jill Higgins” wywierają na mnie ten magiczny efekt. Aż tak bardzo chcę dostać w swoje ręce tę jej suknię ślubną.

- Tak - mówię. Kim jest ten facet? Na pewno nie wygląda na zbożenieca. .. No ale z drugiej strony, skąd mam wiedzieć, jak wygląda zbożeniec?

- A więc jesteś jej przyjaciółką? - pytają Sztruksowe Spodnie.

- Nie - zaprzeczam. I nagle, tak zupełnie znienacka, kojarzę, kto to może być. To zadziwiające, jak zahartowany robi się człowiek po zaledwie paru miesiącach na Manhattanie. - Dla jakiej gazety pan pracuje?

- „New York Journal” - odpowiada swobodnie, z kieszeni wyjmując dyktafon i go włącza. - Wiesz, co ona tutaj robi? To znaczy Jill? W tym budynku jest sporo firm prawniczych. Szła do jednej z nich? Wiesz może do której? I po co?

Czuję, że zaczynam się oblewać jaskrawym rumieńcem. Nie dlatego, że się zawstydziałam, że powiedziałam coś, czego nie powinnam. Bo chociaż raz w życiu tego nie zrobiłam. Czerwienię się ze złości.

- Ach wy, dziennikarze... - Mam ochotę go uderzyć. Naprawdę. - Powinniście się wstydzić! Uganiacie się za tą biedną dziewczyną, nazywacie ją Kranik-Tranik... Co wam daje prawo ją oceniać? Dlaczego wyobrażacie sobie, że jesteście od niej o tyle lepsi?

- Wyluzuj - mówią Sztruksowe Spodnie ze znudzoną miną. - A w ogóle, czemu się tak nad nią użalasz? Za parę miesięcy będzie bogatsza od Trumpa...

- Dajcie mi święty spokój! - wołam. - I wynocha z tego budynku, bo zawałam ochronę!

- Dobra, dobra. - Sztruksowe Spodnie odsuwają się, mrużąc pod nosem pięcioliterowe słowo oznaczające żeński organ płciowy, który najwyraźniej mu przypominałam.

Ale mnie to nie obchodzi.

I żeby mieć pewność, że nie doczepi się do Jill, kiedy ta zjedzie na dół, podchodzę do stoiska ochrony, wskazuję Sztruksowe Spodnie Mike'owi i Juliowi i informuję ich, że to zboczeniec, który właśnie się przede mną obnażył. Kiedy po raz ostatni oglądałam się na Sztruksowe Spodnie, właśnie wygania go z budynku dwóch facetów wymachujących pałkami.

Czasami gadatliwość i brak zahamowań przy opowiadaniu jawnych łgarstw rzeczywiście się przydają.

Rozdział 13

Plotka wymiera, bo coraz mniej osób chce mówić o czymś innym niż o samych sobie.

Mason Cooley (1927-2002), amerykański aforysta

Kiedy wreszcie tego popołudnia docieram do zakładu monsieur Henriego, już się tak nie przejmuję tym, że zaprosiłam Tiffany i jej chłopaka na obiad. Tak należało postąpić. Święto Dziękczynienia to święto rodzinne, a Tiffany z całą pewnością jest już członkiem mojej rodziny.

No cóż, przynajmniej mojej firmowej rodziny. Jasne, bywa denerwująca - nadal udało jej się opróżnić dla mnie tylko jedną szufladę w biurku recepcji ze swoich rzeczy i wszędzie zostawia lepkie, na pół przeżute twizzers. Poza tym już parę razy na naszym komputerze skasowała moje zakładki do stron z sukniami ślubnymi.

Ale jest też dla mnie całkiem miła. Na przykład zostawia wszystkie swoje czasopisma o modzie, żebym je mogła poczytać (bo mnie raczej nie stać na to, żeby je sobie kupować), i prawie zawsze znajdzie dla mnie jakąś wskazówkę co do kosmetyków - na przykład, że wazelina działa na suchą skórę równie dobrze, jak drogie kremy nawilżające, albo że posmarowanie dezodorantem wzdłuż linii bikini po depilacji zapobiega wrastaniu włosów.

A to więcej niż mogłabym powiedzieć o madame Henri. Nie w kwestii dezodorantu (Nie żebym kiedykolwiek podchodziła do niej po to, żeby ją obwąchiwać.), ale co do jej sympatycznego postępowania. Och, jasne, toleruje mnie.

Ale tylko dlatego, że sporo pomagam jej mężowi w pracy, dzięki czemu więcej czasu spędza w domu... Chociaż wcale niejestem pewna, czy on jest z tego powodu szczęśliwy.

Kiedy tego popołudnia wchodzę do zakładu, monsieur Henri i jego żona są w trakcie zawziętej sprzeczki, którą toczą, oczywiście, po francusku, żeby Jennifer Harris i jej matka, które przyszły na ostatnią przymiarkę sukni Jennifer, nie mogły ich zrozumieć.

- Musimy to zrobić - upiera się madame Henri. - Nie wiem, jak inaczej sobie poradzimy. Maurice odebrał nam resztki klientek tymi swoimi ogłoszeniami w gazetach. A kiedy otworzy nowy zakład przy naszej ulicy... No cóż, nie muszę ci chyba mówić, to będzie ostatni gwóźdź do naszej trumny!

- Zaczekajmy - powiada jej mąż. - Może nie będzie tak źle.

A potem dostrzeżę mnie i mówi po angielsku:

- Ach, mademoiselle Elizabeth! I co pani o tym sądzi?

Jakby musiał pytać. Stoję tam i gapię się na Elizabeth Harris, która wyszła z przebieralni w swojej sukni i wygląda...

No cóż, jak anioł.

- Strasznie mi się podoba - mówi Jennifer.

I każdy może zobaczyć, dlaczego. Suknia - która teraz ma dekolt w stylu królowej Anny - i ciasne, sięgające aż poniżej nadgarstka koronkowe rękawy (doszyłam do nich pętelki zakładane na środkowy palec, żeby koronka się nie podwijała) - wygląda fantastycznie.

Ale najpiękniej wygląda sama Jennifer. Wręcz promienieje.

Oczywiście, może promienieć, skoro odwaliłam taki kawał dobrej roboty przy jej sukni.

Ale to już pomijam.

- Masz na sobie pantofle, które zamierzasz włożyć na ślub? - pytam, zapominając zupełnie o ostatniej sprzeczce państwa Henrich i podbiegam, żeby poprawić spódnicę jej sukni. Dodałam w talii draperię z koronki - żeby pasowała do rękawów - nadając sukni jeszcze bardziej renesansowy styl. Przy długiej szyi Jennifer i jej prostych jak druty włosach to naprawdę działa.

- Oczywiście - odpowiada Jennifer. - Kazałaś mi, pamiętasz?

Spódnica ma idealną długość - ledwie muska ziemię. Jennifer wygląda jak księżniczka. I to nie byle jaka. Prawdziwa księżniczka z bajki.

- Jej siostry mnie zabiją, kiedy ją w tym zobaczą - mówi pani Harris, ale jej ton nie jest pozbawiony sympatii. - Bo wygląda w niej o wiele lepiej, niż one.

- Mamo! Wiesz, że to nieprawda! - Jennifer wie, że wygląda fantastycznie, więc może sobie pozwolić na wielkoduszność.

Ale nie jest w stanie oderwać oczu od własnego odbicia w lustrze, więc widać, że zdaje sobie sprawę, iż matka ma rację.

Zadowolona z efektów swojej pracy - i efektów pracy monsieur Henriego, muszę dodać, bo w końcu dostarczył tę koronkę - pomagam Jennifer zdjąć suknię i pakuję ją, podczas gdy matka reguluje wcale nie taki znów mały rachunek (choć i tak dużo mniejszy, niż gdyby kupiły zupełnie nową suknię, zwłaszcza gdyby wybrały się - aż drzę na tę myśl - do Kleinfekfs).

Oddaję Jennifer torbę z suknią i instrukcje, jak ma za pomocą pary wodnej usuwać zagniecenia (wieszając suknię w łazience i puszczając prysznic z gorącą wodą). Cokolwiek się zdarzy, napominam ją, nie wolno sukni prasować. Jennifer jest tak podekscytowana swoim wyglądem, że mówi tylko: „Dobrze”, takim tonem, jakby śniła, i bez jednego słowa więcej biegnie w stronę parkingu, gdzie matka zostawiła samochód.

Matka Jennifer zachowuje się jednak nieco bardziej powściągliwie i po rozliczeniu się z monsieur Henrim zatrzymuje się przy mnie, ściska mnie za rękę i mówi, patrząc mi prosto w oczy:

- Lizzie. Dziękuję ci.

- Och, nie ma o czym mówić, pani Harris. - Czuję się trochę zażenowana. Dziwnie jest słuchać podziękowań za zrobienie czegoś, co się kocha robić i co by się zrobiło tak czy inaczej, nawet i bez zapłaty. (Choć przecież w moim przypadku faktycznie nikt mi za to nie płaci).

Ale kiedy pani Harris cofa dłoń z uścisku, widzę, że się myliłam. Bo po cichu wsunęła mi w dłoń jakiś banknot.

Przypominając sobie natychmiast o babci i zaskórniaku na czarną godzinę, jaki od niej dostałam (nadal trzymam go w torebce), zerkam i ze zdziwieniem dostrzegam dwa zera po jedyńce na banknocie, który dała mi pani Harris.

- Och, ja nie mogę tego przyjąć - zaczynam.

Ale pani Harris już zamyka za sobą drzwi z obietnicą, że wszystkim przyjaciółkom, które mają córki w wieku odpowiednim do małżeństwa, opowie o monsieur Henrim.

-I zadbam, żeby trzymały się z daleka od tego okropnego Maurice'a! - słyszę jej pożegnalny okrzyk.

W tej samej sekundzie, w której znika, madame Henri znów zaczyna znęcać się nad mężem.

- I jakby nie było jeszcze wystarczająco źle, ci twoi dwaj okropni synowie znów nocowali wczoraj w mieszkaniu na górze!

- To także twoi synowie - zwraca uwagę żonie monsieur Henri.
- Nie - sprzeciwia się madame Henri. - Już nie. Jeżeli mają zamiar pojawiać się w mieście tylko po to, żeby biegać po klubach, a potem brudzić w moim idealnie wysprzątanym mieszkaniu, w którym nie powinni nocować, i doskonale o tym wiedzą, to są tylko twoimi synami. Bo nie chcesz ich zdyscyplinować.

- A co ja mam twoim zdaniem zrobić? - pyta monsieur Henri. - Chcę, żeby mieli możliwości, jakich ja w ich wieku nie miałem!

- Mieli już wystarczająco wiele możliwości - stwierdza madame Henri z naciskiem. - Teraz czas, żeby zaczęli radzić sobie sami. Niech zobaczą, jak wygląda prawdziwe życie, w którym na wypłatę trzeba zarobić.

- Wiesz, że to nie takie proste - mówi monsieur Henri.

Ma trochę racji. Spoglądam na studolarowy banknot w dłoni. To pierwszy mój dodatkowy zarobek, odkąd przeprowadziłam się do tego miasta. Wszystko tu jest takie drogie! Czasem mam wrażenie, że kiedy tylko dostaję wypłatę, cała z miejsca znika, najpierw na mieszkanie, potem na rachunek za elektryczność, potem najedzenie, na kablówkę (bo nie mogę żyć bez kanału Style) i wreszcie, jeśli cokolwiek zostanie, na mój rachunek za komórkę.

- No cóż - mówi madame Henri, pociągając nosem. - Zamierzam zmienić zamki w mieszkaniu. A klucz będę trzymała tu, w zakładzie. I dobrze go schowam.

A co ze składkami na ubezpieczenie? Fundusz ubezpieczeniowy (o którym Tiffany nie wyraża się inaczej niż: „ci cholerni idioci, którzy odbierają mi kasę”) pochłania większą część mojej pensji.

- Ile mnie to będzie kosztowało? - chce wiedzieć monsieur Henri.

- Tyle, ile trzeba, bo i tak to się będzie opłacać - oświadcza Madame Henri. - Jeśli dzięki temu te świnię nie dostaną się do środka. Powinieneś zobaczyć, co znalazłam w koszu na śmieci w sypialni! Prezerwatywę! Zużyta!

Nie mogę udawać, że nie rozumiem francuskiego, kiedy słyszę coś podobnego. Nie udaje mi się nie skrzywić... zwłaszcza że madame Henri potrząsa plastikową torbą ze śmieciami, w której najwyraźniej trzyma dowód prawdziwości swoich słów.

- Uch! - wrywa się mi.

Kiedy państwo Henri zerkają na mnie z zaciekawieniem, szybko marszczę nos i dodaję:

- Te śmieci śmierdzą. - Bo prawdę mówiąc, faktycznie tak jest. —
Może wyniosę to na zewnątrz?

- Eee, tak, dziękuję - mamrocze madame Henri po chwili waha-
nia: - To śmieci z mieszkania na górze.

Chwytam torbę dwoma palcami.

- To mieszkanie na górze należy do państwa?

To dla mnie coś nowego. Nie wiedziałam, że są właścicielami całej
kamieniczki, w której mieści się zakład. I byłam przekonana, że miesz-
kają w New Jersey. Przecież tak bardzo narzekali na dojazd.

Monsieur Henri kiwa głową.

- Tak. Pierwsze piętro wykorzystujemy jako składzik. Na drugim
jest małe mieszkanie. Czasami tam nocuję, kiedy do późna zasiedzę się
nad jakąś suknią... Co nie zdarzyło się, odkąd sięgam pamięcią, czyli
już od dość dawna. Zakład nie miał aż tylu zleceń, żeby ktokolwiek z nas
musiał pracować po nocach. W przeciwnym razie stoi puste. Czasami
korzystają z niego nasi synowie...

- Bez pozwolenia! - woła madame Henri po angielsku. - Chciałabym
je wynająć i dzięki temu pokryć niektóre koszty prowadzenia firmy.
Niech moi świnowaci synowie nie myślą, że mogą sobie tam sypiać, ile
razy spóźnią się na pociąg do domu po nocnej hulance. Ale ten uparty
osioł nie zgadza się na mój pomysł!

- Sam nie wiem. - Monsieur Henri nie wygląda tak, jakby się przeje-
mował rzekomym rozpasaniem własnych synów. - Nie chcę mieć kłopot-
ów związanych z wynajmowaniem mieszkania. I co, jeśli trafi się nam ja-
kiś szalony lokator, he? Jak ci, o których czytamy w gazetach? Ci, co mają
mnóstwo kotów i nie chcą się wyprowadzić? Nie chcę czegoś takiego!

Madame Henri potrząsa w stronę męża zwiniętą w pięść dłońią.
Uśmiecham się i wymykam na zewnątrz, żeby wynieść śmieci do po-
jemnika przy ganku. Kiedy wydaje się, że cały Nowy Jork szuka lepsze-
go mieszkania, dziwnie jest słuchać, że jakieś stoi puste... Poza tym, że
od czasu do czasu jest wykorzystywane jako noclegownia przez dwóch
imprezujących chłopaków.

- Mademoiselle Elizabeth - zwraca się do mnie madame Henri, kie-
dy wchodzi do środka. - Zna pani może kogoś, kto chciałby wynająć
niewielką umeblowaną kawalerkę?

- Nie. Ale jeśli o kimś usłyszę, dam państwu znać.

- To nie może być byle kto - stwierdza stanowczo monsieur Henri. -
Musi mieć referencje...

- I zgodzić się płacić dwa tysiące dolarów miesięcznie - dodaje madame Henri.

- Dwa tysiące?! - woła monsieur Henri po francusku. - Kobieto, to rozbój w biały dzień! Czyś ty oszalała?

- Dwa tysiące dolarów miesięcznie za piękną kawalerkę z osobną sypialnią to zupełnie godziwa cena! - odpala ona, też po francusku. - Czy ty wiesz, ile ludzie biorą za dwupokojowe mieszkania? Dwa razy tyle!

- W budynkach, gdzie na dachu jest basen! - strofuje ją monsieur Henri. - A na naszym czegoś takiego nie ma!

I we dwójkę zaczynają biegać po zakładzie, sprzecząc się zawzięcie. Ale mnie to nie przeraża. Już dość czasu z nimi spędziłam, żeby wiedzieć, że oni po prostu tacy już są. To znaczy, kłóca się jak dzień długi...

...Ale widziałam, jak madame Henri z ogromną czułością czesze mężowi włosy, jednocześnie oskarżając go o to, że celowo stosuje niewłaściwą dietę, żeby szybciej zejść z tego świata i uwolnić się od żony.

A monsieur Henri regularnie zerka pożądlivym wzrokiem na nogi swojej połowicy, jednocześnie mówiąc, jak bardzo go wkurza jej zrządzenie.

Raz ich złapałam na całowaniu się na zapleczu.

Małżeństwa. Wszystkie chyba mają lekkie kuku na muniu, każde na swój sposób.

Mam nadzieję, że kiedy Luke i ja będziemy już tak starzy jak monsieur i madame Henri, będziemy dokładnie tacy jak oni.

To znaczy, pomijając podupadającą firmę i zdegenerowanych synów.

Rozdział 14

*Jednym ze źródeł mojego szczęścia jest to,
że nigdy nie pragnę wiedzieć o sprawach innych ludzi.*

Dolley Madison (1768-1849),
amerykańska pierwsza dama

Totalnie żałuję, że się zgodziłam, żeby rodzice Luke'a zatrzymali się u nas na weekend Święta Dziękczynienia.

Dobra, wiem, że to mieszkanie należy do jego matki. I wiem, że z jej strony to wielka uprzejmość, że pozwoliła nam w nim zamieszkać i to bez płacenia czynszu (no cóż, w przypadku Luke'a).

I wiem też, że świetnie się wszyscy dogadywaliśmy, kiedy mieszkaliśmy w chateau Mirac, siedzibie rodu de Villiersów we Francji, latem.

Ale to jedna sprawa dzielić z rodzicami swojego chłopaka francuski zamek. A zupełnie inna dzielić z nimi kawalerkę z jedną sypialnią... Jednocześnie obiecaliśmy przygotować dla nich tradycyjny obiad w dniu Święta Dziękczynienia, a prawdę mówiąc, nie mamy zbyt wielkiego kulinarnego doświadczenia.

Powaga sytuacji jakoś do mnie nie docierała aż do momentu, kiedy Carlos, odzwrotny, nie zadzwonił na górę powiedzieć, że rodzice Luke'a właśnie przyjechali. Spodziewałam się ich dopiero za godzinę i zajmowałam się układaniem kilku bukietów z frezji i irysów, na które się szarpnęłam - podobnie jak dla pani Erickson spod piątki - w dziale z kwiatami w Eli's, wydając na nie część napiwku od pani Harris. Nic nie sprawia większej radości niż wazon świeżo ściętych kwiatów, gdy ktoś pojawia się z wizytą - i trudno podarować coś ładniejszego komuś, kto tak wam pomógł, jak pani Erickson pomogła mnie, polecając mi zakład monsieur Henriego.

Ale kiedy kwiaty kupuje się w pęczkach i trzeba jeszcze je ułożyć, bo na razie leżą stosem na kuchence, podczas gdy ty biegasz i szukasz wazonów - wtedy trudno wytworzyć atmosferę serdecznego powitania. Zwłaszcza jeśli ma się jeszcze na sobie dres, w którym wyszło się po zakupy - wciąż leżące w torbach na blacie kuchni - a twój chłopak jeszcze nie wrócił do domu z zajęć, a tymczasem odzwierny dzwoni i mówi, że twoi „goście” już są na dole...

- Przyslij ich na górę - mówię do Carlosa przez domofon. Co innego miałabym powiedzieć?

A potem biegam po domu jak wariatka i usiłuję sprzątnąć. Nie jest aż tak źle - właściwie mam świra na punkcie schludności - ale wszystkie te drobne akcenty, które chciałam mieć gotowe na pojawienie się rodziców Luke'a - taca ze świeżo przygotowanymi koktajlami (kir royale, ich ulubione), mieszanka orzeszków w miseczkach do pogryzania, deska serów - muszą poczekać, gdy wciskam brudne ubrania do kosza, szybko przeciągam szczotką po włosach, nakładam na wargi odrobinę błyszczysku, a potem zamasyżuję otwieram drzwi.

- Witajcie! - wołam, zauważając, że państwo de Villiersowie wyglądają jakoś tak, no cóż, starzej, niż wtedy, kiedy ich ostatnio widziałam. No ale kto nie wygląda źle po podróży samolotem? - Jesteście państwo wcześniej!

- Z lotniska do miasta nic nie jechało - mówi pani de Villiers swoim rozlewnym, teksańskim akcentem i całuje mnie w oba policzki, jak to ma w zwyczaju. - Wyjeżdżają z miasta masy. Ale do miasta? Pusto. - RzUCA okiem na mieszkanie, zauważa torby z zakupami, brak koktajli i mój dres. - Przepraszam, że jesteśmy tak wcześnie.

- Och, to żaden problem. Naprawdę. Tyle tylko, że Luke nie wrócił jeszcze z zajęć do domu...

- No cóż, będziemy musieli zacząć świętowanie bez niego - mówi monsieur de Villiers i wyjmuję butelkę schłodzonego szampana, o który zdołał jakoś się wystarać po drodze z lotniska.

- Świętowanie? - Mrugam. - A co będziemy świętować?

- Zawsze się znajdzie coś do świętowania - twierdzi monsieur de Villiers. - A w tym przypadku fakt, że właśnie można zacząć pić beaujolais nouveau.

Jego żona ciągnie walizkę Armaniego na kółkach.

- Gdzie mogę to wstawić? - pyta.

- Och, do pani pokoju, oczywiście - odpowiadam i biegnę wyjąć wysokie kieliszki do szampana. - Luke i ja przeniesiemy się na kanapę.

Monsieur de Villiers krzywi się, kiedy korek wyskakuje z butelki z szampanem, którą właśnie otwiera.

- Mówiłem ci, że powinniśmy zatrzymać się w hotelu! - woła do żony. - Teraz te biedne dzieci dorobią się urazów kręgosłupa od spania na rozkładanej kanapie.

- Ależ nie - protestuję. - Kanapa jest wygodna! Luke i ja jesteśmy pani tak bardzo wdzięczni za to, że możemy...

- To bardzo solidna rozkładana kanapa! - stwierdza pani de Villiers już ze środka sypialni. - Przyznam, że może nie najwygodniejsza pod słońcem, ale nikt się na niej na pewno nie dorobi kłopotów z kręgosłupem!

Usiłuję sobie wyobrazić, jak potoczyłaby się ta rozmowa, gdyby to byli moi rodzice, ale mi się nie udaje. Moi rodzice nadal nie mają pojęcia, że mieszkam z Lukiem, a ja zamierzam ten stan rzeczy utrzymać... A przynajmniej do momentu ogłoszenia naszych zaręczyn. To znaczy, o ile kiedykolwiek się zaręczymy. Nie w tym problem, żeby oni mieli coś przeciwko ludziom mieszkającym ze sobą przed ślubem. Oni tylko mieliby coś przeciwko mojemu mieszkaniu z kimś, kogo poznałam zaledwie parę miesięcy temu.

Co w sumie sporo mówi na temat ich zaufania do mojej zdolności oceny ludzkich charakterów. Chociaż, jak spojrzeć na paru moich byłych, to chyba trudno się rodzicom dziwić.

- Wszystko w porządku - zapewniam monsieur de Villiersa. - Naprawdę.

Pani de Villiers zniosła swoje bagaże do sypialni i już wróciła.

- Miło widzieć, że czujesz się już jak u siebie.

Dociera do mnie, że chodzi jej o stojący wieszak na ubrania z Bed, Bath and Beyond - i o wiszącą na nim moją kolekcję sukienek vintage.

I że w jej głosie pobrzmiewa ślad... No cóż, konsternacji.

Niekoniecznie przyjemnej.

- Och - mówię. - Tak. Przepraszam. Wiem, że moje ubrania zajmują wiele miejsca. Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza...

- Oczywiście, że nie! - odpowiada pani de Villiers trochę zbyt serdecznie. - Cieszę się, że potrafisz wykorzystać każde miejsce. Czy na mojej toalecie nie stoi czasem maszyna do szycia?

O. Mój. Boże.

- Hm, owszem... No cóż, widzi pani, musiałam ją postawić na jakimś stoliku, a pani toaletka ma dokładnie taką wysokość, jak trzeba... - Znienawidziła mnie. Widzę to. Totalnie mnie znienawidziła. - Zaraz ją przestawię, jeśli pani przeszkadza. To absolutnie żaden kłopot...

- Ależ nie ma potrzeby - oświadcza pani de Villiers z uśmiechem, który jest, no cóż, nieco chłodnawy. - Guillaume, poproszę troszkę tego szampana. A właściwie, nie żałuj mi go.

- Zaraz pójde i przestawię - mówię. - To znaczy maszynę. Przepraszam, powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Przecież będzie pani potrzebowała miejsca na kosmetyki...

- Ależ nie ma potrzeby. Możesz to zrobić później. Usiądź teraz i napij się z nami szampana. Guillaume i ja chcemy posłuchać czegoś o tej twojej nowej pracy. Jean-Luc mówi, że pracujesz w kancelarii prawniczej! To na pewno szalenie ciekawe. Nie miałam pojęcia, że interesujesz się prawem.

- Hm - chrząkam, biorąc kieliszek, który podsuwa mi monsieur de Villiers. - Nie interesuję się... - Dlaczego nie zestawiłam tej maszyny do szycia wczoraj wieczorem, kiedy przyszło mi do głowy, że pani de Yilliers może nie być zachwycona, widząc ją na samym środku swojej toaletki? No, dlaczego?

- Zajmujesz się tam pracą, która nie ma ścisłego związku z prawem? - pyta pani de Villiers.

- No właśnie - mówię. I co z całą resztą moich rzeczy, które są w sypialni? W łazience mam tonę własnych kosmetyków. Usiłowałam pomieścić się w plastikowej kosmetyczce, którą mam jeszcze z czasów akademika, ale odkąd pracuję z modelką, zapas kosmetyków strasznie mi się rozrósł, bo Tiffany wciąż mi znosi jakieś próbki, niektóre naprawdę świetne. Jak wszystko z Kiehl, firmy, o której nawet nie słyszałam, dopóki nie przeniosłam się do Nowego Jorku. A teraz od ich balsamu do ust jestem wręcz uzależniona.

Ale gdzie ja mam to wszystko upchnąć, jeżeli nie w łazience? Mamy tylko jedną łazienkę... I to jest właśnie miejsce na kosmetyki...

- Praca administracyjna? - pyta pani de Villiers.

- Nie - odpowiadam. - Jestem tam recepcjonistką. Chce pani, żebym zabrała swoje kosmetyki z łazienki? Przepraszam, że to tak wygląda i że moje rzeczy walają się wszędzie. Wiem, że trochę tego dużo, ale naprawdę mogę spakować...

- Nie przejmuj się tym - uspokaja mnie pani de Villiers. Skończyła już pierwszy kieliszek szampana i wyciąga go w stronę męża po dolewkę. - O której Jean-Luc wraca do domu?

O Boże. Robi się okropnie. Ona już się zastanawia, kiedy Luke tu wreszcie dotrze. Ja zastanawiam się nad tym samym. Ktoś musi nas uratować przed tym niezręcznym milczeniem. Och, zaraz. Monsieur de Villiers włączył telewizor. Dzięki Bogu. Możemy sobie obejrzeć wiadomości czy coś...

- Och, Guillaume, wyłącz to - mówi jego żona. - Przyjechaliśmy z wizytą, a nie po to, żeby oglądać CNN.

- Chciałbym tylko zobaczyć pogodę - upiera się monsieur de Villiers.

- Pogodę możesz sobie sprawdzić, wyglądając za okno - strofuje go żona. - Jest zimno. To listopad. Czego się spodziewałeś?

O Boże. To się robi nie do zniesienia. Ja od tego po prostu umrę. Czuję to. Widziałam jej rozczerowaną minę, kiedy powiedziałam, że jestem recepcjonistką w firmie taty Chaza. Dlaczego tak się skrzywiła? Bo nie może sobie wyobrazić, że jej syn spotyka się ze zwykłą recepcjonistką? To prawda, że jego ostatnia dziewczyna pracowała w bankowości inwestycyjnej. Ale ona była ode mnie starsza! No cóż, o dwa lata. No ale miała ten swój jakiś dyplom z biznesu! A ja specjalizowałam się w historii mody. Czego się po mnie spodziewali?

O Boże. Zapadło niezręczne milczenie. Niiieeee... Dobra, wymyśl, co by tu powiedzieć. Cokolwiek. To są przecież bystrzy, wykształceni ludzie. Powinnaś móc pogawędzić z nimi o wszystkim... O czymkolwiek...

Och, już wiem...

- Pani de Villiers, ogromnie mi się podoba pani Renoir - zagaduję. - Ten, który wisi nad pani łóżkiem.

- Och. - Mama Luke'a ma zadowoloną minę. - To maleństwo? Dziękuję ci. Tak, jest urocza, prawda?

- Zachwycająca - przyznaję szczerze. - Skąd ją pani ma?

- Och! - Pani de Villiers zerka w stronę okien wyglądających na Piątą Aleję, a jej oczy zasnuwa nostalgiczna mgiełka. - To był prezent od kogoś. Już dawno temu.

Nie muszę być jasnowidzem, żeby wiedzieć, że ten „ktoś”, o kim mówi pani de Villiers, był jej kochankiem. Musiał być jej kochankiem. Inaczej, skąd by się wzięła ta nostalgia w jej spojrzeniu?

Czy to mógł być, nie mogę sobie nie zadać tego pytania, ten sam facet, który wciąż wydzwaniał do jej mieszkania i chce się z nią skontaktować?

- Hm - mruczę. Bo naprawdę już nie wiem, co powiedzieć. Ojciec Luke'a nie zwraca na nas najmniejszej uwagi i przerzuca się między New York 1 a CNN. - Bardzo miły prezent.

Najdroższy prezent, jaki kiedykolwiek od kogoś dostałam, to iPod. I to od rodziców.

- Tak - mówi pani de Villiers z kocim uśmieszkiem, popijając swojego szampana. - Nieprawdaż?

- Popatrz - odzywa się monsieur de Villiers, wskazując ekran telewizora. - Widzisz? Jutro będzie padał śnieg.

- No cóż, tym nie musimy się martwić - mówi jego żona. - Nie musimy nigdzie chodzić. W domu będzie nam ciepło i przyjemnie.

O Boże. To prawda. Wszyscy będziemy tu tkwili przez cały dzień, ja będę gotowała (z pomocą Luke'a, mam nadzieję), a jego rodzice... , Boże. Pojęcia nie mam. Co oni będą robić? Oglądać w telewizji paradę Macy's z okazji Święta Dziękczynienia? Mecze futbolowe? Jakoś nie wydaje mi się, żeby interesowały ich parady ani sport.

A to oznacza, że po prostu będą tutaj siedzieć. Cały dzień. Powoli dając mi w kość swoimi pełnymi dobrej woli, a jednak na koniec i tak kąśliwymi uwagami... „Naprawdę powinnaś zastanowić się nad pracą prawniczą, Lizzie. Zarobiłabyś o wiele więcej pieniędzy niż w zwykłej recepcji. Co? Specjalistka od sukien ślubnych? Nigdy nie słyszałam o takiej ścieżce kariery. No cóż, to prawda, że dokonałaś cudu z suknią ślubną mojej siostrzenicy. Ale trudno to nazwać karierą odpowiednią dla osoby po wyższych studiach. Jesteś znakomitą krawcową, ale... Nie boisz się, że zmarnujesz wszystkie pieniądze, które rodzice wydali na twoje wykształcenie?”

Nie! Bo pobierałam je za darmo! Mój tata pracuje na uniwersytecie, na który chodziłam, gdzie darmowe kształcenie dzieci jest jednym z dodatków do pensji!

O Boże. Dlaczego wszyscy tak dobrze dogadywaliśmy się we Francji, a jednak tutaj nie mamy sobie nawzajem nic do powiedzenia?

Wiem, dlaczego. Bo im się wydawało, że jestem dla Luke'a tylko taką wakacyjną miłością. A teraz widać wyraźnie, że to coś więcej, i im się to nie podoba. Wiem to. Po prostu wiem.

- Na pewno jesteście państwo bardzo głodni po podróży samolotem. - Podrywam się z miejsca, zdecydowana nie pozwolić pogrzyźć się w rozpacz. - Przygotuję coś do jedzenia.

- Nie, nie - mówi monsieur de Villiers. - Dziś wieczorem zabieramy ciebie i Jean-Luca na kolację. Mamy rezerwację. Prawda, Bibi?

- Jasne - potwierdza pani de Villiers. - Do Nobu. Wiesz, jak bardzo Jean-Luc lubi sushi. Stwierdził, że to będzie właściwy wybór, biorąc pod uwagę, jak ciężko pracuje na studiach.

- Właśnie - mówię zdesperowana. Jestem zdesperowana, bo nie mogę się doczekać, aż będę mogła uciec z tego samego pomieszczenia, w którym są oni. - Ja, hm, właśnie wróciłam ze sklepu. Kupiłam trochę serów. Podam je państwu. Jako przekąskę, zanim Luke wróci do domu i będziemy mogli wyjść do restauracji...

- Nie rób sobie żadnych kłopotów z naszego powodu - mówi monsieur de Villiers i macha ręką z lekceważeniem. - Sami sobie przygotowujemy coś do przekąszenia.

O Boże. Oni nawet nie chcą, żebym zachowywała się jak gospodyni domu. No cóż, to pewnie zrozumiałe, skoro to nie jest moje mieszkanie.

Ale przecież nie muszą aż tak wyraźnie dawać mi tego do zrozumienia.

Telefon dzwoni, wrywając mnie z tych posępnych myśli. To nie moja komórka, tylko telefon domowy - ten zarejestrowany na nazwisko Bibi de Villiers. Odkąd się tu wprowadziłam, dzwoniła na ten numer tylko jedna osoba. Ten facet, niezadowolony, zostawiał kolejne wiadomości dla Bibi! Wiadomości, o których nigdy nie wspominałam Luke'owi.

Ani jego matce.

- Hm, to pewnie do pani. Luke i ja nie korzystamy z tego numeru. Mamy swoje komórki.

Pani de Villiers jest zaskoczona, ale zadowolona.

- Ciekawe, kto to może być - mówi, wstając i podchodząc do aparatu. - Nikogo nie uprzedzałam, że przyjeżdżam do miasta. Chciałam bez przeszkód wybrać się na zakupy. Wiesz, jak to bywa.

Wiem. Nie ma nic bardziej irytującego niż przyjaciółki, które koniecznie chcą umówić się z tobą na lunch właśnie wtedy, kiedy planowałaś cały weekend poświęcić na bieganie po sklepach.

- Halo? - Pani de Villiers podnosi słuchawkę, zdjąwszy klips przypięty do lewego ucha.

A ja sądziłam, że moja mama to ostatnia kobieta na świecie, która nie ma przekłutych uszu.

Wiem od razu, że to ten Facet, który Zostawiał te Wszystkie Wiadomości. Widzę to po zaskoczonej, ale zadowolonej minie na uroczej twarzy pani de Villiers. Oraz po szybkim, czujnym spojrzeniu, jakie rzuca na tył głowy własnego męża, jednocześnie szepcząc do słuchawki:

- Och, kochanie, jak miło, że dzwonisz. Naprawdę? Och, no cóż, nie było mnie tutaj. Nie, byłam we Francji, a potem znów w Houston. Tak, oczywiście, że z Guillaume'em, głuptasie.

Hm. A więc Facet, który Zostawiał te Wszystkie Wiadomości, wie, że ona jest mężatką. Co ja sobie zresztą wyobrażam? Oczywiście, że wie. Dlatego dzwoni wyłącznie na jej prywatną linię.

Wow. W głowie mi się nie mieści, że mama Luke'a zdradza jego tatę. Albo kiedyś chyba zdradzała. Co wtedy zresztą niekoniecznie oznaczało zdradę, bo byli przecież w separacji i przymierzali się do rozwodu. Zeszli się z powrotem dopiero parę miesięcy temu, latem... Przeze mnie.

Pytanie, czy teraz, kiedy lato się skończyło, a życie wraca znów do normy - jeśli można normalnym życiem nazwać sytuację, w której człowiek ma trzy domy, włączając w to zamek we Francji, posiadłość w Houston i mieszkanie na Piątej Alei na Manhattanie - ich nowo odnaleziona miłość zdoła przetrwać?

- W piątek? Och, kochanie, bardzo bym chciała, ale wiesz, że zarezerwowałam sobie ten dzień na zakupy. Tak, cały dzień. No cóż, może bym mogła. Och, skoro tak nalegasz. Nie, ja to u mężczyzny podziwiam. Dobrze. No to niech będzie piątek. Na razie.

Tak. A może niekoniecznie.

Pani de Villiers rozłącza się i z powrotem zakłada klipsa. Uśmiecha się do siebie z wyraźnym zadowoleniem.

- Kto to był, *cherie*? - pyta tata Luke'a.

- Och, nikt ważny - mówi pani de Villiers obojętnie. Aż za obojętnie.

W tej samej chwili słyszę w zamku zgrzyt klucza Luke'a. I o małą nie krzyczę z radości.

- Jesteście! - woła, kiedy wchodzi do środka i widzi rodziców. - Przyjechaliście wcześniej!

- Ach! - cieszy się monsieur de Villiers. - Przyszedł nareszcie!

- Jean-Luc! - Jego matka rzuca mu się w ramiona. - Chodź i daj mamie buziaka!

Luke przechodzi przez salonik, żeby uściskać matkę, a potem w oba policzki całuje też ojca. Wreszcie podchodzi do mnie i, całując mnie (w usta, nie w policzek), szepcze:

- Przepraszam, że tak późno. Utkwiłem w metrze. Ominęło mnie coś? Powinienem o czymś wiedzieć?

- Nie - odpowiadam. - Właściwie to nie.

Bo co miałam powiedzieć? „Twoi rodzice nie chcą pozwolić, żebym przygotowała dla nich coś do przekąszenia, uważają, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra, jutrzejszy obiad to będzie jedna wielka kłęska, a tak przy okazji, moim zdaniem twoja matka ma romans”?

Może i jestem papłą, ale nabieram życiowego doświadczenia.

Rozdział 15

*Purytańska idea piekła to takie miejsce,
gdzie wszyscy muszą się zajmować wyłącznie własnymi sprawami.*

Wendell Phillips (1811-1884),
amerykański abolicjonista

Indyk będzie gotowy za godzinę i wydaje mi się, że wszystko mam pod kontrolą.

Nie, serio.

Po pierwsze, pani Erickson zdradziła mi taki mały, nowojorski sekret - na wół upieczone indyki z miejscowego sklepu mięsnego. Kiedy dostarczą ci takiego do domu, wystarczy wyłożyć go na brytfannę i wsunąć do pieca i co jakiś czas posmarować marynatą... A wygląda (i pachnie), jakbyś cały dzień harowała w kuchni.

I bez najmniejszego kłopotu wmówiłam wszystkim de Villiersom - nawet Luke'owi - że właśnie tak było. Musiałam tylko dopilnować, żeby wstać wcześniej niż oni - a to żaden problem, bo wszyscy spali kamienym snem - i wykraść się do mieszkania pani Erickson. Prosiłam o dostarczenie mojego indyka właśnie tam, a ona obiecała przechować go, dopóki nie będę go mogła odebrać.

A kiedy go odebrałam - wraz z małą paczuszką podrobów potrzebnych do zrobienia sosu - przemyciłam go do mieszkania pani de Villiers i wyrzuciłam opakowanie, które mogło mnie zdradzić. I z głowy.

Luke wstał trochę później i zaczął szykować własny wkład w świąteczny posiłek - cebulki pieczone z czosnkiem i brukselkę - a pani de Villiers uparła się, że przygotuje salaterkę słodkich ziemniaków (na szczęście bez kremu, który ja wprawdzie uwielbiam, ale Chaz i Shari już i tak przyniosą trzy różne placki, bo ja lubię z dynią, Chaz z truskawka-

mi i rabarbarem, a Shari z pekanami, więc to aż za dużo różnych słodkości).

Monsieur de Villiers dołączył się do przygotowań, kręcąc się po domu i ustawiając butelki wina w takiej kolejności, w jakiej zamierzał je serwować.

Więc wszystko toczy się zgodnie z planem. Goście zaczynają się pojawiać. Tiffany - wyglądająca wspaniale w obcisłym zamszowym kombinezonie, za którego noszenie do biura Roberta kiedyś odesłała ją do domu - przyszła z Raulem, który okazał się zadziwiająco sympatycznym, w miarę normalnym trzydziestolatkiem o bardzo dobrych manierach - przyniósł ze sobą parę butelek beaujolais, które wzbudziły wielkie zainteresowanie monsieur de Villiersa. Najwyraźniej sam też uważa się za konesera win - tyle że argentyńskich.

Tak więc tych dwóch z miejsca wdało się w dyskusję na temat odmian winorośli i rodzaju gleb, podczas gdy pani de Villiers zajęła się nakrywaniem do stołu, starannie zwijając swoje płócienne serwetki w kształt stojącego wachlarza. Wyjęła też wszystkie trzy widelce z każdego kompletu i ułożyła je niezwykle starannie obok talerzy... Może dziękować należy krwawej mary, którą Luke uparł się przygotować dla rodziców — i ciągle im jej dolewał od momentu, kiedy wstali z łóżka.

- Jak inaczej - spytał mnie na stronie - mamy wszyscy razem ze sobą wytrzymać cały dzień na tej maleńkiej przestrzeni?

Nie żeby jego rodzicom to jakoś przeszkadzało. Odkąd zdjęłam maszynę do szycia, matka Luke'a rozpływa się w uśmiechach. Chociaż to może mieć jednak coś wspólnego z tym, że Luke postarał się już więcej nie zostawiać nas ze sobą sam na sam.

I nie ma sprawy. Ja zresztajutro muszę iść do pracy (w zawałonych pracą kancelariach prawnicy partnerzy dostają może płatny wolny piątek po Święcie Dziękczynienia, ale recepcjonistki na pewno nie), więc na Luke'a spadnie obowiązek zabawiania rodziców. Jego matka, oczywiście, już ma inne plany (o których nikogo nie poinformowała szczegółowo). Luke z tatą wybierają się do paru muzeów...

...Gdzie w sobotę dołączę do nich na cały dzień, zanim wieczorem nie wybierzemy się na moje pierwsze przedstawienie na Broadwayu; pani de Villiers ma cztery bilety na *Spamalot*. Na szczęście w niedzielę wyjeżdżają, bo do tego czasu moja odporność na dzielenie małego mieszkania z rodzicami mojego chłopaka spadnie chyba do zera.

Tiffany jednak państwo de Villiersowie ogromnie się podobają... Jest nimi wręcz zafascynowana. Cały czas przybiega do mnie do kuchni, kiedy udaję, że pocę się nad indykiem, i szepcze:

- Więc... Ten starszy pan? On jest naprawdę księciem?

Żałuję, że kiedykolwiek w ogóle wspomniałam Tiffany o tym książęcym tytule. Poważnie, nie wiem, co mi odbiło. Przecież powiedzieć Tiffany coś w zaufaniu to tak, jak powiedzieć papużce. Tylko głupiec spodziewałby się, że nie będzie tego powtarzać.

- Hm, tak - mrużę, smarując indyka masłem. - Ale pamiętasz, co ci mówiłam? Francja już nie uznaje tytułów swoich dawnych rodów królewskich czy jakoś tak. Poza tym wiesz, książąt tam jest z tysiąc. A może zresztą to są tytuły hrabiowskie.

Tiffany, jak ma to w zwyczaju, kompletnie ignoruje moją odpowiedź.

- A więc Luke też jest księciem. - Przygląda się Luke'owi przez korytarzyk. Luke ustawia tacę z przekąskami - koktajl z krewetek i różne sałatki - na stoliku do kawy przed kanapą, na której jego ojciec i Raoul z ożywieniem prowadzą swoją dyskusję na temat win. - Dziewczyno. Ale faceta zaliczyłaś.

Zaczynam się już złościć. I nie tylko dlatego, że dochodzi piąta, a ja prosiłam Chaza i Shari, żeby byli tu o czwartej, tymczasem oni wciąż się nie pokazali. Chociaż nie jest to takie dziwne, zwłaszcza że na zewnątrz pada śnieg, a najmniejsze opady śniegu paraliżują Nowy Jork... Najczęściej wtedy, kiedy ludzie mają wolne od pracy z okazji święta.

Ale i tak to nie w stylu Shari, że nawet nie zadzwoniła. I że tak mnie zostawia na pastwę moich przyszłych (mam nadzieję) teściów, i nawet nie wesprze mnie swoim humorem.

Chociaż Tiffany bardzo się stara. To znaczy element komizmu zapewnia nieświadomie.

- Nie dlatego go lubię - szepeczę do niej. - Wiesz o tym. .

- Wiem, wiem. Dlatego, że chce zostać lekarzem i ratować życie małym dzieciom. I tak dalej.

- No cóż - dodaję. - Nie tylko dlatego. Ale częściowo, owszem. I dlatego, że jest najlepszym facetem pod słońcem.

- Tak. - Tiffany sięga po serowe ciasteczko do koszyczka, który ustawiłam na blacie, chcąc go zanieść na stół, kiedy tylko Chaz i Shari się pojawią, o którejkolwiek by to było. - Ale wiesz, lekarze nie zarabia-

ją już takiej kasy. Przez te prywatne organizacje służby zdrowia. Chyba że siedzą w chirurgii plastycznej.

- Tak - mówię. - Ale Luke nie robi tego dla pieniędzy. - Jestem lekko poirytowana jej słowami. - Kiedyś pracował w bankowości inwestycyjnej. Ale rzucił to, bo zrozumiał, że ratowanie ludziom życia jest ważniejsze od zarabiania kasy.

Tiffany hałaśliwie chrupie serowe ciasteczko.

- To zależy, czyje życie - mówi. - To znaczy, niektórzy są warci więcej niż inni. Tak uważam.

- Cóż. - Nie mam pojęcia, co na to odpowiedzieć. - W każdym razie to nie ma znaczenia, czy będzie zarabiał dużo pieniędzy. Boja planuję zarobić wystarczająco dużo dla nas dwojga.

Tiffany ma zaciekawioną minę.

- Naprawdę? Na czym?

- Na projektowaniu sukien ślubnych - wyjaśniam. Szkoda, że ona nigdy nie słucha, co się do niej mówi. - Albo raczej na ich odnawianiu. I przerabianiu.

Tiffany gapi się na mnie.

- To znaczy tak jak Vera Wang?

- Coś w tym stylu - odpowiadam. Przecież nawet nie ma sensu jej tego wyjaśniać.

- Nie wiedziałam, że chodziłaś do szkoły dla projektantów.

- Nie chodziłam. Ale na Uniwersytecie Michigan robiłam specjalizację z historii mody.

Tiffany parska.

- Ach, cóż. To wiele wyjaśnia.

Piorunuję ją wzrokiem. Zaprosiłam ją wyłącznie z uprzejmości. Nie mam ochoty, żeby mnie obrażano w moim własnym domu. Czy raczej w domu matki mojego chłopaka.

Ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, przerywają rozmowę. .. I niestety, nie jest to pojawienie się Shari i Chaza.

- Koniec z krwawą mary - oświadcza monsieur de Villiers, stając w przejściu. Trzyma jedną z butelek czerwonego wina, które przyniósł Raoul. - To pierwsza butelka beaujolais w tym sezonie. Po prostu musicie spróbować po kieliszeczkę. Przykro mi, że twoich przyjaciół jeszcze nie ma, ale to już podbramkowa sytuacja! Podbramkowa winiarska sytuacja! Wszyscy muszą napić się odrobinę wina!

- Och, świetnie, proszę pana. - Biorę od niego kieliszek, który właśnie mi nalał. - Dziękuję.

Tiffany też bierze kieliszek i mówi ze śmiechem, kiedy tata Luke'a już odszedł.

- Słodki jest.

- Tak - zgadzam się, zerkając w stronę starszego pana w granatowej marynarce i apaszcze w grochy pod szyją. - Prawda?

Jak Bibi de Villiers może takiego człowieka zdradzać? To się wydaje takie... bez serca. I w pewien sposób zupełnie do niej niepodobne. Och, ona jest bardzo stylowa i chyba lubi sprawiać, żeby ludzie myśleli, że jedyne, co ją interesuje, to ostatnia torebka Fendi i kolekcja Marca Jacobsa.

Ale ja widziałam, jak wyraz jej twarzy zmieknął, kiedy wspomniałam tego Renoira. Uwielbia ten obraz - nie tylko osobę, która go jej podarowała, ale sam obraz. Nie można być człowiekiem zupełnie płytkim i jednocześnie tak kochać jakiś obraz. Przynajmniej tak myślę.

Więc dlaczego taka kobieta zgadza się spotykać z kochankiem (jeśli tym właśnie jest dla niej ten Dzwoniący Facet) za plecami swojego męża, z którym niedawno się pogodziła?

Nie żebym miała coś na ten temat dopowiedzieć. Kiedy Luke wrócił do domu w dniu przyjazdu swoich rodziców, matka zapytała go, kiedy już ją ucałował na powitanie:

- Kochanie, czy ktoś zostawiał dla mnie jakieś wiadomości na sekretarce? Znajomy powiedział, że dzwonił parę razy...

Luke wzruszył tylko ramionami i odparł:

- Żadnych wiadomości dla ciebie nie było. Lizzie? Kiedy wracałaś do domu, na sekretarce były jakieś wiadomości dla mamy?

Czułam się tak zażenowana, że z trudem wykrztusiłam:

- Wiadomości? To znaczy na sekretarce? - Grałam na czas, ale udało mi się tylko wyjść na jeszcze większą idiotkę niż ta, za którą mama Luke'a już mnie uważa.

- Zwykle ludzie zostawiają wiadomości właśnie tam - powiedziała tonem nawet dość łagodnym.

Świetnie. Opinię kompletnej kretynki mam już ugruntowaną.

- Hm - mruknęłam, nadal usiłując zyskać na czasie. - Hm. - No cudownie. Bo jękanie się, oczywiście, w takich sytuacjach pomaga.

A potem, jak zawsze, włączyła się moja skłonność do bezmyślnego paplania... Ale raz w życiu zadziałała na moją korzyść.

- No cóż, wie pani - zaczęłam. - Parę razy wróciłam do domu i to takie światełko migało, ale kiedy naciskałam klawisz otwierania wiadomości, nic tam nie było. Może sekretarka się zepsuła czy coś.

Ku mojej niewiarygodnej uldze pani de Villiers pokiwała głową i stwierdziła:

- Och, tak, oczywiście to możliwe. To dość stare urządzenie. Chyba powinnam przestać być takim technofobem i postarać się o pocztę głosową. No cóż, kolejna rzecz do załatwienia.

Cudownie. Teraz mama Luke'a będzie załatwiała sobie pocztę głosową, bo dałam do zrozumienia, że jej świetnie działająca automatyczna sekretarka jest zepsuta.

Ale co innego miałam powiedzieć? „Och, tak, pani de Villiers, ten facet z takim seksownym obcym akcentem zostawił wiele wiadomości, ale ja je wszystkie skasowałam, bo założyłam, że to pani kochanek, a wolałabym, żeby się pani nie rozstała z mężem”?

Tak. Rodzice Luke'a jeszcze bardziej by mnie po tym polubili.

- I co myślicie o tym winie? - Raoul wystawia głowę na korytarzyk, żeby zapytać Tiffany i mnie. Jest ciemnowłosy i przystojny - ale nie przesadnie przystojny. Shari nie nazwałaby go „ślicznym chłopczykiem”. Ma przyjemny uśmiech, a z rozpiętego kołnierzyka koszuli wygląda gęste futerko na kłacie... a przecież rozpiął tylko jeden guzik.

- Jest świetne - mówię.

- Uwielbiam je. - Tiffany wychyla się z kuchni, żeby mu przesłać buziaka i o mały włos nie wsadza kolana w miskę z moim sosem żurawinowym. - Tak jak i ciebie...

We dwójkę zaczynają wymieniać słodkości, a ja robię, co mogę, żeby się nie porzygać. Nagle odzywa się domofon.

- Aha. - Słyszę głos Luke'a. - To na pewno oni, nareszcie. - Podnosi słuchawkę domofonu i mówi Carlosowi, żeby wpuścił Chaza i Shari na górę.

Wreszcie. Najwyższa pora. Jeszcze trochę i indyk by mi wysechł. No bo ileż można podgrzewać drób? Zwłaszcza taki, który już wcześniej był prawie upieczony.

Wyjmuję go z piekarnika i z ulgą widzę, że skórkę ma ciemnozłotą, a nie szerniałą, jak już się obawiałam, więc pozwalam mu chwilę dojść przed krojeniem, jak zalecała załączona do niego instrukcja - i pani Erickson, która w wieku siedemdziesięciu lat o indykach wie już mnóstwo.

Dzwoni dzwonek przy drzwiach i Luke idzie otworzyć.

- Hej! - Słyszę jego pogodny głos. - Co się stało, że tak późno... Zaraz, gdzie Shari?

- Nie chcę o tym mówić. - Chaz usiłuje ściszyć głos, ale i tak go słyszę. - Dzień dobry państwu. Dawno państwa nie widziałem. Wyglądacie znakomicie.

Tiffany zeskoczyła już z kuchennego blatu, a teraz wychyla swoje smukłe ciało (jestem pewna, że pod tym zamszem nie ma obciskającej bielizny) na korytarzyk, żeby zerknąć na Chaza.

- Hej. - Ma rozczarowaną minę. - Myślałam, że on przyjdzie z tą twoją przyjaciółką. Tą, o której zawsze tyle mówisz, Shari. Gdzie ona jest?

Też wystawiam głowę do holu i widzę, że Chaz wręcza Luke'owi dwa pudełka. Drzwi zewnętrzne są zamknięte. A Shari nigdzie nie widać.

- Cześć - mówię, wychodząc z kuchni z uśmiechem. - Gdzie jest...

- Nie pytaj - szepcze Luke, idąc w moją stronę z dwoma pudełkami. Głośniej dodaje: - Popatrz, Chaz spędził cały dzień, piekąc na deser nie jeden, ale dwa placki. Z truskawkami i rabarbarem, i twój ulubiony, Lizzie, z dynią. Shari nie czuje się dobrze, więc postanowiła zostać w domu. Np ale to znaczy, że więcej jedzenia zostanie dla nas, prawda?

Czy on stracił rozum? Mówi mi, że moja najlepsza przyjaciółka nie może przyjść na obiad w Święto Dziękczynienia, bo nie czuje się dobrze - i spodziewa się, że nie będę zadawała pytań?

- Co się z nią stało? - pytam Chaza, który ruszył prosto do baru, zorganizowanego przez monsieur de Villiersa na antycznym, zaopatrzonego w kółka stoliku do napojów swojej żony. Tam nalewa sobie whiskey, bez lodu, i szybko ją wypija, a potem przygotowuje kolejną porcję. - Ma grypę? Kraży po mieście. Dokuczają jej głowa czy brzuch? Chce, żebym do niej zadzwoniła?

- Jeśli chcesz do niej dzwonić - Chaz ma głos chropawy od whiskey, a może od czegoś innego - to lepiej dzwoń na komórkę. Bo w domu jej nie ma.

- Nie ma jej w domu? Kiedy jest chora? Ona chyba... - Otwieram szeroko oczy... A potem ściszam głos, żeby państwo de Villiersowie, Tiffany ani Raoul mnie nie słyszeli. - O mój Boże, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że znów poszła do biura? Poszła do biura, kiedy tak źle się

czuje... I to w państwowo święto? Chaz, czy ona już kompletnie oszalała?

- To całkiem możliwe - odpowiada Chaz. - Ale ona nie poszła do biura.

- No to gdzie jest? Nic nie rozumiem...

- Ja też nie. - Chaz nalewa sobie trzecią whiskey. - Wierz mi.

- Charles! - Monsieur de Villiers wreszcie zauważył, że Chaz sam się obsługuje przy barze i wcale nie próbuje wina przyniesionego przez Raoula. - Musisz spróbować wina, które przyniósł ze sobą ten młody człowiek. To młode beaujolais! Moim zdaniem będzie ci smakowało jeszcze lepiej niż ta whiskey!

- Bardzo wątpię - mówi Chaz. Ale alkohol już go chyba trochę podniósł na duchu. - Jak się pan ma, Guillaume? Wygląda pan świetnie z tym fontaziem. Tak to się nazywa? Fontaż? Czy apaszka?

- No cóż, sam nie wiem - zwierza się monsieur de Villiers. - Ale to bez znaczenia. Musisz spróbować szklaneczkę tego...

I zabiera Chaza, zanim zdążyłam mu zadać kolejne pytanie.

- Więc twoja przyjaciółka zachorowała, tak? - Tiffany nachyla się do mnie, a jej płaski brzusek robi się zupełnie wklęsły. - Wielka szkoda. Bardzo chciałam ją poznać. Hej, a te wszystkie obrazy na ścianach... One są prawdziwe czy jak?

- Słuchaj, przepraszam cię na momencik - mówię do Tiffany. - Chciałabym, hm, sprawdzić tego indyka.

Wzrusza ramionami.

- Nie ma sprawy. Hej, Raoul! Powinieneś opowiedzieć wszystkim o tym koniu wyścigowym, którego kiedyś miałeś.

Szybko wracam do kuchni, gdzie Luke usiłuje znaleźć miejsce i położyć pudełka z ciastami - nie jest to łatwe zadanie, bo wszystkie granitowe blaty praktycznie już się uginają pod potrawami.

- No więc, co on ci powiedział? - Staję na palcach, żeby mu szepnąć do ucha. - To znaczy, Chaz. O Shari. Kiedy wszedł.

Luke tylko kręci głową.

- Żeby nie pytać. Moim zdaniem właśnie to miał na myśli: żeby mu nie zadawać pytań.

- Ale ja muszę wiedzieć - wrywa mi się. - On nie może ot tak sobie przyjść bez mojej najlepszej przyjaciółki i powiedzieć, żeby go nie pytać, gdzie ona jest. Oczywiście, że będę pytać. Bo co on sobie wyobraża?

- No cóż, spytałaś go. I co ci odpowiedział?

- Że źle się czuje. Ale że nie mająj ani w domu, ani w biurze. To przecież zupełnie bez sensu. Gdzie niby miałyby być? Dzwonię do niej.

- Lizzie. - Luke bezradnie patrzy na całe to jedzenie, z którego część jeszcze skwierczy na kuchence, a potem znów na mnie. Ale moja mina widocznie ostrzega go, żeby już nic więcej nie mówił, bo tylko wzrusza ramionami i rzuca: - Idź. Ja zacznę podawać jedzenie do stołu.

Daję mu szybkiego buziaka, a potem biegnę po swoją komórkę, która akurat się ładuje (telefon do rodziców z życzeniami wszystkiego dobrego na Święto Dziękczynienia wyczerpał mi baterię, bo zmusili mnie, żebym porozmawiała ze swoimi obiema siostrami, ich licznymi dziećmi oraz z babcią, która nawet nie chciała ze mną gadać, bo musiała się odebrać od oglądania odcinka *Bez skazy. Doktor Queen* miała lecieć dopiero później („Szalenie mi się podoba ten doktor Troy”).

- Hm, za moment wracam - mówię do swoich gości. - Muszę tylko skoczyć do sklepu i przynieść więcej, hm, śmietany.

Pani de Villiers - jedyna osoba poza Lukiem, która wie, jak daleko jest z jej mieszkania do najbliższego sklepu, który może być otwarty w Święto Dziękczynienia i sprzedawać śmietanę - patrzy na mnie przeżona.

- A nie możemy się bez niej obejść? - pyta.

- Nie, jeśli chcemy mieć bitą śmietanę do placka z dynią! - wołam.

I wymykam się za drzwi. Na szczęście nikt chyba nie zauważył, że nie włożyłam płaszcza. Ani, co więcej, nie wzięłam torebki.

Kiedy jestem przy drzwiach prowadzących na schody ewakuacyjne, zaczynam wybierać numer. Na klatce schodowej jest tak zimno... Ale przynajmniej nikt mi nie przeszkadza. I raz wreszcie mam świetny zasięg. Shari odbiera po drugim dzwonku.

- Nie chcę o tym wszystkim mówić w tej chwili - odzywa się. Wie, że to ja dzwonię, bo wyświetlił jej się mój numer. - Po prostu cieszcie się wieczorem. Porozmawiamy o tym jutro.

- Nie, nie porozmawiamy jutro. Porozmawiamy o tym teraz. Gdzie jesteś?

- Nic mi nie jest. Jestem u Pat.

- U Pat? Twojej szefowej? A co ty tam robisz? Miałaś być tutaj. Słuchaj, Shari, ja rozumiem, że pokłóciliście się z Chazem, ale nie możesz mnie zostawiać samej z nimi wszystkimi. Tiffany ma na sobie zamszowy kombinezon. Z suwakiem od szyi aż po krocze. Nie rób mi tego.

Shari się śmieje.

- Przepraszam cię, Lizzie. Ale po prostu będziesz musiała poradzić sobie sama. Ja stąd nie wyjdę.

- No proszę cię! - Zaczynam błagać i jest mi wszystko jedno. - Przecież wy się bez przerwy kłóćcie! I zawsze się potem godzicie.

- To nie była kłótnia - wyjaśnia Shari. - Słuchaj, Lizzie, my tu jesteśmy już w trakcie obiadu. Naprawdę mi przykro, zadzwonię do ciebie jutro i wszystko wyjaśnię, dobrze?

- Shari, nie bądź taka. Co on ci w ogóle zrobił tym razem? Widzę, że okropnie się z tym czuje. Już wypił trzy szkockie, a dopiero co przyszedł. Po prostu...

- Lizzie... - Głos Shari się zmienił. Nie jest smutny. Ani szczęśliwy. Tylko jakiś inny. - Posłuchaj. Ja nie przyjdę. Nie chciałam ci o tym mówić, bo nie zamierzałam cię denerwować, wołałabym, żebyś cieszyła się świętem. Ale Chaz i ja nie się pokłóciliśmy, jasne? Zerwaliśmy ze sobą. A ja się wyprowadziłam.



Rozdział 16

Czego nie widzisz na własne oczy, nie poświadczaj własną mową.

Przysłowie żydowskie

To nie była żadna jedna, konkretna sprawa - opowiada Shari przy mrożonej herbacie z kuleczkami tapioki w takiej herbaciarni koło jej biura, Village Tea House. Chciałam spotkać się w Honey's, ale Shari powiedziała, że już nie chodzi do takich spelun. Chyba jestem w stanie to zrozumieć.

Ale właściwie wolę te buraczkowe, plastikowe boksy od aksamitnych poduszek rzucanych bezpośrednio na podłogę. I colę light od mrożonej herbaty z kuleczkami tapioki na dnie. W Village Tea House nie podają coli light. Pytałam. Podają tu wyłącznie napoje zawierające „naturalne składniki”.

Jakby tapioka była czymś naturalnym.

- Jakoś tak chyba się od siebie oddaliliśmy... - ciągnie Shari i wzdusza ramionami.

A ja nadal tego wszystkiego nie rozumiem. To znaczy, że zerwała z Chazem i tego, że się wyprowadziła... I że nie przyszła na mój obiad z okazji Święta Dziękczynienia, który, nie przechwalając się, wypadł naprawdę bardzo dobrze.

No cóż, poza tą częścią, kiedy pani de Villiers uparła się, żebyśmy po jedzeniu zagrali w szarady, a jej drużyna, złożona z Luke'a, Tiffany i jej samej, pobiła na głowę moją, złożoną ze mnie, Chaza (który był tak pijany, że ledwie się ruszał), monsieur de Villiersa (który nie ma zielonego pojęcia, jak się gra w szarady) oraz Raoula (to samo). Nie przejęłam się specjalnie porażką. Ja po prostu nie cierpię takich nudnych gier towarzyskich.

Dziś rano musiałam zwlec się z łóżka do pracy w Pendergast, Loughlin i Flynn, chociaż praktycznie nikt nie dzwonił i siedziałam tam sama jedna, pomijając oczywiście wszystkich młodszych partnerów. No i Tiffany, która pojawiła się, skacowana (oczywiście), twierdząc, że po wyjściu ode mnie ona i Raoul „poszli w tango” w Butter z grupką innych modelek. (Jakim cudem te dziewczyny mogą pić tyle wysokokalorycznych koktajli, jak mojito i cosmo, i nadal są takie chude).

- Nie wiem, jak można się od siebie oddalić - mówię do Shari, kręcąc głową - kiedy z kimś się mieszka. Przecież mieszkanie Chaza aż tak wielkie znów nie jest.

- Nie mam pojęcia. - Shari znów wzrusza ramionami. - Chyba po prostu się odkochałam.

- Poszło o te zasłony, tak? - Nie mogę powstrzymać tego ponurego pytania.

Shari wytrzeszcza na mnie oczy.

- Co? Te zasłony, które nam uszyłaś?

Kiwam głową.

- Nie powinnam była zgodzić się na materiał wybrany przez Chaza.

Chaz uparł się, żeby zasłony do ich mieszkania zostały uszyte z białej czerwonej satyny, którą znalazł w sklepie ze starociami w Chinatown. Nie zgodziłabym się - sama myślałam raczej o lnie w kolorze przytłumionej szarawej zieleni - gdyby materiał nie był wyszywany złotą nicią w znaki chińskiego pisma (sprzedawca powiedział Chazowi, że wszystkie oznaczają „mnóstwo pomyślności”), co nadawało mu tak cudnie kiczowaty wygląd, że zgodziłam się z Chazem, że naprawdę ożywią to wnętrze i Shari strasznie się spodoba.

Ale kiedy przyszedłam do nich powiesić gotowe zasłony, Shari zapytała mnie znaczącym tonem, czy mam zamiar zamienić ich mieszkanie w Lung Cheung, chińską knajpkę, gdzie w Ann Arbor jako dzieci czasem jadałyśmy.

- Nie, oczywiście, że nie chodziło o zasłony. - Shari się uśmiecha. - Chociaż faktycznie, przy tych kanapach ze złoceniami dom przypomina nieco burdel.

Jęcę.

- Naprawdę myśleliśmy, że ci się spodoba.

- Posłuchaj, Lizzie. Żadne zmiany wprowadzone w tym mieszkaniu nie miałyby znaczenia. I tak bym tam długo nie pobyła. Bo nie odpowiadał mi współlokator;

- No cóż, może tak będzie lepiej - mówię. Wiem, staram się spojrzeć na wszystko z pozytywnej strony. Ale Chaz był tak zdruzgotany, kiedy Shari się wyprowadziła, że trudno byłoby nie życzyć mu teraz, żeby się z tego jakoś otrząsnął... Nawet jeśli Shari wcale nie wygląda na osobę zdruzgotaną. Shari, właściwie, wygląda o wiele lepiej niż kiedykolwiek od przeprowadzki do Nowego Jorku. Nawet raz na odmianę ma lekki makijaż. - Może jeśli spędzicie trochę czasu z dala od siebie, zrozumiecie, dlaczego wam się nie układało. I może bardziej docenicie to, co was łączyło. Przecież... moglibyście się znów zacząć spotykać! Może to właśnie jest powód. Bo kiedy człowiek z kimś mieszka, to przestaje z nim chodzić na randki. I przez to związek traci całą romantyczną otoczkę.

Wiecie, co jeszcze może pozbawić związek romantycznej otoczki? Sypianie na rozkładanej kanapie, kiedy rodzice twojego chłopaka są w sąsiednim pokoju. Ale o tym już nie wspominam.

- A jeśli zaczniecie umawiać się na randki - ciągnę - to znów coś między wami zaiskrzy i zejdziecie się z powrotem.

- Ja nigdy nie wrócę do Chaza, Lizzie. - Shari spokojnie wyjmuje torebkę herbaty ze swojego kubka i kładzie ją na brzegu kamionkowego talerzyka, który dostałyśmy w tym celu.

- Nigdy nic nie wiadomo. No bo odrobina dystansu mogłaby sprawić, że za nim zatęsknisz.

- To wtedy do niego zadzwonię - mówi Shari. - Nadal chcę być z nim w przyjaźni. To świetny, sympatyczny facet. Ale już nie chcę być jego dziewczyną.

- Chodziło o te wszystkie ciasteczka? - pytam. - No wiesz, że nie ma pracy i nie ma nic w ciągu dnia do roboty, tylko czyta, sprząta i piecze? - Dla mnie zresztą brzmi to cudownie. Poza pracą w kancelarii, którą jestem obciążona, monsieur Henri zmusza mnie ciągle do ćwiczenia marszczeń... Jakbym nie opanowała sztuki marszczenia tkanin w drugiej gimnazjalnej, kiedy odkryłam, że mogą one zatuszować zbyt obfity brzusek. Zaczyna mnie już trochę męczyć robienie za małą szwaczkę dla pana Miyagi-Henri - ledwie daję radę od czasu do czasu przelecieć dom odkurzaczem, o żadnym pieczeniu nawet nie wspominając.

Ale z drugiej strony wiele się uczę. Głównie na temat roli rodziców w życiu dorastających chłopców na przełomie stuleci. Ale o prowadzeniu zakładu renowacji sukien ślubnych na Manhattanie też.

- Oczywiście, że nie - tłumaczy Shari. - Chociaż, skoro mowa o pracy, powinnam niedługo wracać do swojej.

- Jeszcze tylko pięć minut - błagam. - Ja naprawdę się o ciebie martwię, Shari. To znaczy, wiem, że umiesz o siebie zadbać i tak dalej, ale wciąż nie mogę pozbyć się uczucia, że to wszystko moja wina. Gdybym tylko zamieszkała z tobą, nie z Lukiem, tak jak wcześniej zamierzałyśmy...

- Och, przestań. - Shari się uśmiecha. - Nasze zerwanie nie miało nic wspólnego z tobą, Lizzie.

- Zawiodłam cię. I za to mam do samej siebie wielki żal. Ale myślę, że zdołam ci to jakoś wynagrodzić.

Shari grzebie słomką w kulkach tapioki na dnie kubka.

- Och, to nie będzie łatwe - mówi, mając na myśli sposób, w jaki jej to wszystko wynagrodzę. Na pewno nie myśli o tapiocce. Chociaż Shari zawsze lubiła takie dziwne rzeczy.

- Poważnie. Wiesz, że nad zakładem monsieur Henriego jest zupełnie puste mieszkanie?

Shari nadal siorbie herbatę przez słomkę.

- Mów dalej.

- Wiem, że madame Henri chce dostać miesięcznie dwa tysiące dolarów za to mieszkanie. Ale ja naprawdę się dla nich ostatnio naharowałam, w tej chwili totalnie już na mnie polegają. Więc jeśli ich poproszę, żeby pozwolili ci wprowadzić się do tego mieszkania za część czynszu, powiedzmy, jakieś półtora tysiąca miesięcznie, to oni na pewno się zgodzą. Po prostu będą musieli.

- Dzięki, Lizzie. - Shari odstawia kubek i sięga po swoją plecioną torbę z rafii. - Aleja mam gdzie mieszkać.

- U Pat? Mieszkać u swojej szefowej? - Kręcę głową. - Shari, daj spokój. I mówić tu o przynoszeniu pracy do domu...

- U niej jest bardzo fajnie - wyjaśnia Shari. - Mieszka na parterze, na Park Slope, a z tyłu jest prawdziwy ogródek dla jej psów...

- Brooklyn! - Jestem zaszokowana. - Shari, to jest strasznie daleko!

- Mam bezpośredni dojazd linią F. Przystanek jest dokładnie pod naszym biurem.

- Mnie chodzi o to, że daleko ode mnie! - zaczynam już wrzeszczeć. - Przestanę w ogóle cię widywać!

- Przecież widzisz mnie teraz - mówi Shari.

- Chodzi mi o wieczory - precyzuję. - Słuchaj, naprawdę nie pozwolisz mi chociaż porozmawiać z państwem Henri o tym, czy nie mogłabyś się wprowadzić do tego mieszkania nad zakładem? Widziałam je i jest naprawdę fajne, Shari. I całkiem spore. Mimo wszystko. Mieści się na drugim piętrze, a pierwsze wykorzystywane jest na składzik. Po zamknięciu zakładu miałabyś dla siebie całą kamieniczkę. A jedna ściana to goła cegła. Wiem, że bardzo lubisz taki styl.

- Lizzie, ty się o mnie nie martw. U mnie wszystko w porządku, naprawdę. Ja wiem, że ta cała sprawa z Chazem wydaje ci się końcem świata. Ale mnie nie. Naprawdę. Lizzie, ja jestem szczęśliwa.

I wtedy uderza mnie to z całą siłą. Shari faktycznie jest szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek od przyjazdu do Nowego Jorku. Szczęśliwsza nawet niż kiedykolwiek od czasów studiów. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek od tych dni w Akademiku McCracken, kiedy zaczęła się spotykać z Chazem (czy raczej sypiać z nim).

- O mój Boże - wykrztuszam, kiedy wreszcie dociera do mnie rzeczywistość. - Jest ktoś inny!

Shari podnosi wzrok znad torebki, w której grzebie w poszukiwaniu portfela.

- Co? - Patrzy na mnie dziwnie.

- Jest ktoś inny! - wołam. - To dlatego ty i Chaz już się nigdy nie zejdziecie! Bo poznałaś kogoś innego!

Shari przestaje szukać portfela i gapi się na mnie.

- Lizzie, ja...

Ale nawet w tym zimowym, popołudniowym świetle, które wpada przez niezbyt czyste okna Village Tea House, widzę, że rumieniec powoli ogarnia jej policzki.

- Jesteś w nim zakochana! - wołam. - O mój Boże. Niewiarygodne. I sypiasz z nim, prawda? W głowie mi się nie mieści, że sypiasz z kimś, kogo w ogóle nie poznałam. No dobra, kto to jest? Gadaj. Chcę znać szczegóły.

Shari ma skrzepowaną minę.

- Lizzie, posłuchaj. Muszę wracać do pracy.

- To tam go poznałaś, prawda? - pytam. - W pracy? Kto to jest? Nigdy nie wspominałaś, że tam u was pracuje jakiś facet. Myślałam, że to same kobiety. Kto to jest, serwisant kopiarek czy co?

- Lizzie. - Shari już się nie czerwieni. Na odmianę raczej zbladła. - Naprawdę nie tak chciałam cię o tym zawiadomić.

- O czym? - Mieszam kuleczki tapioki na dnie swojego kubka. Nie mam najmniejszego zamiaru ich zjadać. I mówić o pustych węglowodanach. Zaraz, czy tapioka w ogóle zawiera węglowodany? I co to jest, ta tapioka? Zboże? A może żelatyna? Czy jeszcze Coś innego? - Słuchaj... Wyszłaś z pracy na zaledwie jakieś dziesięć minut. Nikt tam nie umrze, jeśli posiedzisz jeszcze pięć.

- Właściwie - mówi Shari - ktoś mógłby umrzeć.

- Proszę cię. Po prostu przyznaj, że mam rację i że jest ktoś nowy. Wystarczy, że to powiesz. Bo ja nie uwierzę, że między tobą a Chazem to naprawdę koniec, dopóki tego nie powiesz.

Shari zaciska wargi w wąską linijkę i słomką dźga kulki tapioki.

- No dobra - mówi głosem tak cichym, że muzyka fletni Pana, puszczana z głośników porozmieszczanych po całej herbaciarni, prawie ją zagłusza - jest ktoś inny.

- Przepraszam. Nie dosłyszałam cię. Mogłabyś to powtórzyć nieco głośniej?

- Jest ktoś inny. - Shari piorunuje mnie wzrokiem. - Zakochałam się w kimś innym. Proszę. Zadowolona?

- Nie. Szczegóły, proszę.

- Mówiłam ci - powtarza Shari, znów sięga do torby i z portfela wyjmuje dziesięciodolarowy banknot. - Nie chcę tego robić teraz.

- Czego robić? - pytam, łapiąc płaszcz, bo ona chwyciła już swój i wstaje. - Opowiadać najlepszej przyjaciółce o facecie, dla którego rzuciłaś swojego stałego chłopaka? To kiedy będzie na to właściwa pora? Tak się tylko zastanawiam...

- Nie teraz - rzuca Shari. Rusza pomiędzy poduszkami, na których siedzą pozostali goście herbaciarni. - Nie wtedy, kiedy muszę wracać do pracy.

- Opowiesz mi po drodze - decyduję. - Odprowadzę cię do biura.

Docieramy do drzwi i wychodzimy na mroźne zimowe powietrze. Jakaś ciężarówka wlecze się wzdłuż Bleecker Street, a za nią sznur takśówek. Na chodniku tłoczą się zakupowicze, wykorzystujący obniżki tego pierwszego piątku gwiazdkowego sezonu zakupowego. Gdzieś tam w tym mieście Luke'a ciąga po muzeach jego tata, a pani de Yilliers odbywa swoje potajemne spotkanie z kochankiem.

Najwyraźniej nie jest jedyną, która wymykała się na takie potajemne spotkania.

Shari jakoś tak dziwnie milczy w drodze powrotnej do biura. Opuściła głowę i wpatruje się pod nogi... Co w zasadzie w Nowym Jorku jest wskazane, skoro tak wiele chodników jest tu w opłakanym stanie.

Jest jej wyraźnie przykro. A mnie jest przykro, że wyrządziłam jej przykrość.

- Posłuchaj, Shari - mówię, truchtem lecąc za nią. Bo grzmi w tempie miliona kilometrów na godzinę. - Przepraszam cię. Nie zamierzałam bagatelizować tej całej sytuacji. Naprawdę. Cieszę się ze względu na ciebie. Jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja też.

Shari przystaje tak gwałtownie, że omal na nianie wpadam.

- Jestem szczęśliwa - wyznaje, patrząc na mnie z góry. Bo stoi na krawężniku, zepchnąwszy mnie na ulicę. - Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy czuję, że moje życie ma jakiś cel, że to wszystko ma jakieś znaczenie. Pomagam ludziom, którzy mnie potrzebują. I podoba mi się to uczucie. Lepiej nigdy się nie czułam.

- No cóż. To świetnie. Ale możesz mnie znów wpuścić na chodnik? Bo boję się, że coś mnie przejedzie.

Shari sięga ręką i wciąga mnie na chodnik obok siebie.

- I masz rację - dodaje. - Zakochałam się. I chcę ci wszystko o tym opowiedzieć. Bo to bardzo ważna część tego, dlaczego teraz czuję się taka szczęśliwa.

- Super. No to gadaj.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć - mówi Shari, a jej oczy błyszczą- i to wcale nie tylko dlatego, że jest dość zimno, żeby wycisnąć człowiekowi łzy z oczu.

- No dobra, to jak ma na imię?

- Pat - odpowiada.

- Facet, w którym się kochasz, ma na imię Pat? - Wybucham śmiechem. - Jakie to dziwne! Przecież tak ma na imię twoja szefowa!

- Dziewczyna - poprawia mnie Shari.

- Co, dziewczyna?

- Dziewczyna, w której jestem zakochana - kończy Shari. - Ona ma na imię Pat.



Rozdział 17

*Po świecie krąży przerażająca ilość kłamstw,
a najgorsze jest to, że połowa z nich to prawda.*

Winston Churchill (1874-1965),
brytyjski mąż stanu

Nie mogę spać.

I wcale nie chodzi tylko o ten metalowy pręt, który przecina mi plecy na pół przez niewystarczająco gruby materac tej kanapy.

Ani o to, że słyszę chrapanie ojca mojego chłopaka, chociaż dzieli mnie od niego parę metrów podłogi i ściana.

I nawet nie o ten stłumiony hałas uliczny, który dobiega zza podwójnie oszklonych okien wychodzących na Piątą Aleję.

To nie ma nic wspólnego z przesadnie obfitym posiłkiem, który dopiero co zjadłam w Jean Georges, jednej z najlepszych nowojorskich restauracji, do której chodzą sami smakosze, a który kosztował nas tyle, co dwadzieścia metrów jedwabnej surówki... i to na głowę.

Ani nawet z tym, że matka mojego chłopaka wróciła ze swoich zakupów w tym pierwszym dniu gwiazdkowego sezonu obładowana mnóstwem toreb z prezentami, ale przy okazji dziwnie ożywiona i świeża... Zwłaszcza jak na kobietę, która podobno użerała się z hordami ludzi walącymi na świąteczne zakupy do Bergdorf Goodman. I wcale nie jest to tylko moja wyobraźnia. Mąż co chwila spoglądał na nią i mówił:

- Coś się zmieniło. Co się zmieniło? Masz nową fryzurę?

W odpowiedzi na to Bibi nazwała go starym kozłem (po francusku) i odpędziła od siebie machnięciem ręki.

I nawet to nie to, że w ciągu naszego pierwszego sylwestra jako pary, mój chłopak i ja będziemy na dwóch różnych kontynentach, więc ominie

nas ten bardzo ważny uścisk i pocałunek z wybiciem dwunastej i początkiem Nowego Roku.

Nie. Nie chodzi o nic z tych rzeczy. Wiem, co mi nie daje zasnąć - wiem to doskonale.

Chodzi o to, że dzisiaj (czy raczej wczoraj, biorąc pod uwagę, że jest już nieźle po północy) moja najlepsza przyjaciółka wyznała, że jest zakochana w swojej szefowej.

W dziewczynie.

I jeszcze jedno: jej szefowa to uczucie odwzajemnia. A nawet poprosiła ją, żeby się do niej wprowadziła.

A Shari z radością się na to zgodziła.

Nie żeby było w tym coś złego. No boja uwielbiam Rosie O'Donnell. Ten jej film dokumentalny o rejsach wycieczkowych dla homoseksualistów naprawdę doprowadził mnie do łez.

I też uważam, że Ellen DeGeneres to bogini.

Ale moja najlepsza przyjaciółka, która zawsze, jak sięgam pamięcią, lubiła chłopaków? I nie tylko lubiła chłopaków, ale zawsze z chłopakami sypiała - i to znacznie częściej niż ja, chciałabym dodać - i która nigdy nie przejawiała seksualnego zainteresowania żadną kobietą przez te wszystkie lata, odkąd ją znam?

No cóż, poza tą całą Brianną z naszego akademika.

Ale Shari tamtego wieczoru naprawdę się upiła i powiedziała, że po prostu obudziła się w jednym łóżku z Brianną, ale nie ma pojęcia, jak tam trafiła.

Zaraz. Czy to był może jakiś znak? Bo Brianną (i jej chłopak też) zawsze mnie podrywała. Ale ja jej powiedziałam wprost, że nie jestem zainteresowana. Dlaczego Shari nie powiedziała, że nie jest zainteresowana, tak jak zrobiłam to ja?

Chociaż Bóg świadkiem, że nigdy nie dałam rady wypić tyle, co Shari. (Ona może sobie pozwolić na spożywanie pustych kalorii. Ja - nie).

Ale mimo wszystko.

Zaraz, momencik. Shari zawsze lubiła te zagraniczne filmy wyświetlane w Michigan Theater w Ann Arbor. No wiecie, francuskie, o młodych dziewczynach, które dojrzewają seksualnie, zazwyczaj przy współudziale jakiejś starszej dziewczyny, na przykład nauczycielki czy coś.

Boże. To też był jakiś znak.

I teraz, jak się nad tym zastanowię, to raz Kathy Pennebaker - Boże, wszystko wiecznie wraca do Kathy Pennebaker, nieprawdaż? - zaprosiła nas do siebie na imprezę piżamową, a potem chciała, żebyśmy wszystkie razem wzięły kąpiel w pianie. Na co ja powiedziałam:

- Hm, czy my czasem nie jesteśmy trochę za duże na wspólne kąpiele w wieku szesnastu lat?

Ale Shari, o ile dobrze pamiętam, rzeczywiście poszła z Kathy do łaźni jej rodziców, podczas gdy ja zostałam na dole, żeby oglądać moją ówczesną wielką miłość, Tima Daly'ego, w maratonie *Skrzydła*.

Boże. A ja się zastanawiałam, dlaczego one tak głośno się chlapią. Nawet wrzasnęłam do nich na górę, żeby się uciszyły, bo nie słyszałam, co Tim Dały mówił do Crystal Bernard.

Jezu. To strasznie żenujące.

No więc dobra. Nie powinnam być aż tak bardzo zdziwiona.

I chyba, biorąc pod uwagę, ile Shari opowiadała o Pat, nie jest to wcale aż tak zaskakujące. My wszyscy wiedzieliśmy przecież, że ona ją lubi. My tylko nie wiedzieliśmy, że ją lubi w taki sposób.

I dlaczego miałyby jej nie lubić? Bo kiedy rzuciła już tę swoją małą bombę, a ja stałam na krawężniku z ustami szeroko otwartymi jak idiotka, Shari złapała mnie za rękę i powiedziała:

- Chodź, poznasz ją.

Byłam zbyt ogłupiała, żeby odmówić. Nie żebym chciała odmawiać. Byłam szalenie ciekawa osoby, dla której Shari rzuciła Chaza, poprzednią wielką miłość swojego życia.

I dobra, Pat nie przypomina Portu de Rossi.

Ale jest szczupłą, bardzo żywiołową kobietą tuż po trzydziestce i burza rudych loków opada jej aż do połowy pleców, a cerę majak śmietanka. Lubi się śmiać i ma jasne, błyszczące, błękitne oczy.

Uścisnęła mi rękę i powiedziała, że mnóstwo o mnie słyszała i że domyśla się, że wiadomość o ich związku jest dla mnie szokiem, ale ona Shari bardzo kocha i, co najważniejsze, jej psy, Scooter i Jethro, też Shari bardzo pokochały.

Na co już nie wiedziałam, co odpowiedzieć, poza tym że chętnie któregoś dnia poznam Scootera i Jethro.

Więc Shari i jej nowa dziewczyna zaprosiły mnie do siebie na oglądanie meczu Jetsów w przyszły weekend.

Ja naprawdę nie wiem, co mnie szokuje bardziej: to, że moja najlepsza przyjaciółka zakochała się w dziewczynie, czy to, że zaczęła oglądać mecze zawodowych drużyn futbolowych.

W każdym razie powiedziałam, że przyjdę. A potem Shari odprowadziła mnie do windy.

- Jesteś pewna, że to ci nie przeszkadza? - zapytała, kiedy czekałyśmy, aż przyjedzie ta ich rozklekotana dwuosobowa winda. - Bo masz minę, jakby... No cóż, jak tego dnia, kiedy Andy pojawił się na weselu siostry ciotecznej Luke'a.

- Przepraszam - mówię. - Bo wcale się tak nie czuję, a ze względu na ciebie bardzo się cieszę. I to wszystko. Tylko... Jak długo wiedziałas?

- Jak długo co wiedziałam?

- No wiesz. Że lubisz dziewczyny.

- Nie lubię dziewczyn - powiedziała Shari z uśmiechem. - Lubię niektóre dziewczyny. Jak samo jak podobają mi się niektórzy faceci. - Jej uśmiech zbladł, a potem dodała już poważnie: - Tu chodzi o czyjaś duszę, Lizzie, a nie o ciało. Wiesz o tym.

Pokiwałam głową. Bo to prawda. A przynajmniej tak powinno być.

- Nie kocham Pat za to, że jest kobietą - ciągnęła Shari. - Tak samo jak nie kochałam Chaza za to, że jest facetem. Oboje ich kocham za to, kim są, tam, w środku. Tyle że zrozumiałam, że uczuciowo najbardziej jestem zainteresowana Pat. Pewnie dlatego, że ona opuszcza klapę sedesu.

Gapiłam się na nią, dopóki mnie nie szturchnęła w bok.

- To był żart - poinformowała mnie. - Możesz się teraz roześmiać.

- Och! - westchnęłam. I się roześmiałam. Ale potem przestałam się śmiać, bo przyszło mi na myśl coś jeszcze. - Shari. A co z twoimi rodzicami? Powiedziałaś im już?

- Nie - odparła Shari. - Tę rozmowę lepiej zostawić na następną okazję, kiedy zobaczę się z nimi osobiście. Chyba w czasie przerwy świątecznej.

- Zabierzesz Pat, żeby mogli ją poznać?

- Ona chce jechać. Ale ja wolałabym jej tego oszczędzić. Może potem, jak już się przyzwyczają do tej myśli.

- Racja. - Próbowałam powstrzymać przypływ zazdrości o to, że dziewczyna Shari sama chce poznać jej rodziców, gdy tymczasem mój chłopak nie wykazuje śladu zainteresowania poznaniem moich. Były

przecież o wiele poważniejsze problemy, nad którymi należało się zastanowić. Na przykład próbowałam sobie wyobrazić, jak doktor i pani Dennis zareagują na wiadomość, że ich córka związała się z kobietą. Doktor Dennis prawdopodobnie ruszy prosto do swojego barku z alkoholem. Pani Dennis pewnie z miejsca pobiegnie do telefonu. - O Boże! - Popatrzyłam na Shari szeroko otwartymi oczami. - Wiesz, co się będzie działo, prawda? Twoja mama zadzwoni do mojej. A wtedy moja mama odkryje, że już z tobą nie mieszkam. I wtedy dowie się, że mieszkam z Lukiem.

- Pewnie będzie zadowolona - mówi Shari - że ty i ja nie stworzyłyśmy pary.

- Tak. - Rozluźniłam ramiona z ulgą. - Pewnie masz rację. Hej Spojrzałam na nią z niejakim lękiem. - Ale my nie, no wiesz? To znaczy. .. Do mnie nigdy nie czułaś nic takiego, jak do Pat, prawda?

Proszę, powiedz, że nie, modliłam się. Proszę, powiedz, że nie, proszę, powiedz, że nie.

Bo cenię sobie przyjaźń z Shari ponad wszystko i gdyby miało się okazać, że ona była kiedyś we mnie zakochana, to... No cóż, jak mogłybyśmy nadal pozostać przyjaciółkami? Nie można się przyjaźnić z kimś, kto się w tobie kocha, a ty tego uczucia nie jesteś w stanie odwzajemnić...

Shari przyjrzała mi się z miną, którą mogę określić wyłącznie jako ironiczną.

- Tak, Lizzie - powiedziała. - Kochałam się w tobie od pierwszej klasy podstawówki, kiedy to pokazałaś mi swoją bieliznę zBatgirl. Jestem z Pat wyłącznie dlatego, że wiem, że ciebie nie zdobędę, bo jesteś uparcie zakochana w Luke'u, a nie we mnie. A teraz chodź tu i daj mi buziaka, mała kokietko.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. A ona ryknęła śmiechem.

- Nie, ty idiotko! - wrzasnęła. - Chociaż bardzo cię kocham jako przyjaciółkę, nigdy nie byłam tobą romantycznie zainteresowana. Właściwie, nie jesteś w moim typie.

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jakoś niepocholebnie, ale jej ton w jakiś sposób sugerował, że nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek miałby się mną romantycznie interesować.

Nie powiedziałam tego wtedy, ale trochę się sama nad czymś podobnym zastanawiałam. To znaczy, czy Pat zdaje sobie sprawę, że Shari w nocy nałogowo zabiera kołdrę (o czym się przekonałam ku swojej

niewygodzie, kiedy na letnim obozie musiałyśmy spać pod jednym śpiworem, bo mój dziewczyny wrzuciły do jeziora) i że, o ile wiem, nigdy w życiu nie oddała pożyczonej od kogoś książki? To istny cud, że Chaz, zawołany bibliofil, w ogóle z nią tak długo wytrzymawał. Ja nigdy nie pożyczałam Shari swoich ubrań, bo wiedziałam, że żadnego z powrotem już nie zobaczę.

Oczywiście Shari nigdy nie prosiła o pożyczenie jej żadnego ciucha. Chyba mój styl jest nieco za bardzo retro jak dla niej.

Ale nieważne.

- Amasz jakiś swój typ? - spytałam, unosząc jedną brew. - Bo mam wrażenie, że obejmuje dość szeroki wachlarz możliwości...

- Przede wszystkim - przerwała mi Shari - lubię ludzi, którzy raz na jakiś czas potrafią trzymać gębę na kłódkę.

- W takim razie nic dziwnego, że zerwałaś z Chazem - zauważyłam, kiedy winda, jęcząc z wysiłku, wreszcie nadjechała.

- Ha, ha - mruknęła Shari. A potem uściskała mnie i powiedziała: - Zajmiesz się nim, prawda? Nie pozwól, żeby popadał w te swoje doły, kiedy przez cały dzień siedzi w domu, czyta Heideggera i wychodzi tylko po to, żeby kupić jakiś alkohol. Obiecujesz?

- Jakbyś musiała prosić. Kocham Chaza jak przybranego brata. Dopilnuję, żeby Tiffany zaprosiła go gdzieś razem z tymi swoimi przyjaciółkami modelkami. To go powinno trochę rozerwać.

- Rzeczywiście, powinno - zgodziła się Shari.

A potem drzwi windy zamknęły się i Shari zniknęła mi z oczu.

I to już wszystko.

Poza tym że teraz nie mogę nocą zasnąć, bo ciągle to wszystko od-twarzam w myślach na nowo.

- Hej. - Słyszac to słowo, wypowiedziane cicho tuż obok mnie, aż podskakuję. Obracam głowę. Luke nie śpi i patrzy na mnie, sennie mru-gając oczami.

- Przepraszam - szepczę. - Obudziłam cię? - Nie hałasowałam. Czyżbym zdołała wyrwać go ze snu samymi natrętnymi myślami? Czytałam o tym, że pary potrafią tak się do siebie zbliżyć, że zaczynają czytać sobie nawzajem w myślach. Luke, poproś mnie o rękę. Luke, poproś mnie o rękę. Luke, jestem twoim ojcem... Och nie, coś mi się po...

- Nie - mówi. - To ta cholerna metalowa poprzeczka.

- Och. Tak. Mnie też się daje we znaki.

- Przepraszam cię za to. - Luke wzdycha. - Musimy z nimi wytrzymać jeszcze tylko jedną noc, a potem wyjadą.

- Nie przejmuj się - pocieszam go. W głowie mi się nie mieści, że on się martwi takimi drobiazgami, kiedy powinna go zaprzętać znacznie poważniejsza sprawa - to znaczy romans jego matki.

Tyle że on przecież jeszcze o nim nie wie. Bo mu nie powiedziałam. Jakżeby mogła? Jest taki szczęśliwy, że jego rodzice znów są razem.

A coś takiego mogłoby naprawdę raz na zawsze zrazić go do idei małżeństwa. No bo co, jeśli, biorąc pod uwagę wybryki swojej matki - nie wspominając już o tym, że Shari ostatnio rzuciła Chaza, a była dziewczyna Luke'a związała się z jego własnym kuzynem - dojdzie do wniosku, że kobiety są niezdolne do dochowania wierności?

A tak dobrze się między nami układało - pomijając te rodzinne odwiedziny. Nawet zaproszenie Tiffany i Raoula na obiad w Święto Dziękczynienia nie okazało się katastrofą; wręcz przeciwnie. Odwrócili uwagę Chaza, który z dość wyraźną przyjemnością obserwował, jak Tiffany paraduje w swoich kozakach do połowy uda i obciskim kombinезonie. Według mnie Luke powinien być już całkowicie zapomnieć o tym stwierdzeniu, że „ludzie w naszym wieku nie mają pojęcia, czym jest miłość”.

A może nawet dostanę jakiś dodatkowy, wspaniały prezent na Gwiazdkę. Taki, który mieści się w bardzo malutkim pudełeczku.

Hej. Nigdy nic nie wiadomo.

- Jesteś znakomitą aktorką - mówi Luke z ustami tuż przy moich włosach. - Zrobiłaś znacznie więcej, niż wymagał obowiązek. A czyja ci już mówiłem, że ten indyk, którego upiekłaś, był pyszny?

- Och! - wzdycham skromnie. - Dzięki.

I co? Przecież on nie musi wiedzieć, że już był kupiony prawie gotowy.

- Moim zdaniem jesteś prawdziwym aniołem, Lizzie Nichols - dodaje, a jego wargi suną teraz niżej, w stronę tych części mojego ciała, które bardziej docenią ich dotyk niż moje włosy.

- Och! - wzdycham już innym tonem. - Dzięki! - No proszę, przecież to są prawie oświadczyzny. Nazwać kogoś aniołem, to jak powiedzieć mu, że nigdy się już nie będzie chciał rzucić tego kogoś z powrotem na pastwę rynku randkowego, żeby tam wyłowił go ktoś inny. Prawda?

- I jesteś pewna - zagaja z tych niższych rejonów - że ty i Shari nigdy nie...

Siadam na kanapie i przez mrok panujący w pokoju rzucam mu gniewne spojrzenie.

- Luke! Mówiłam ci! Nie!

- No, nieważne! - Uśmiecha się. - Tak tylko pytam. Wiesz, że Chaz też cię o to zapyta.

- Tłumaczyłam ci. - W głowie mi się to wszystko nie mieści. - Nie możesz nic powiedzieć Chazowi, dopóki Shari sama z nim nie porozmawia. Ja nawet tobie nie powinnam była o tym wspominać...

Luke się śmieje - chciałabym dodać, że to z jego strony niezbyt uprzejme.

- Shari powiedziała ci coś i liczyła, że ty to utrzymasz w sekrecie?

- Wiesz, ja umiem dotrzymywać sekretów. - Czuję się urażona. No bo serio... Gdyby tylko wiedział, co zachowuję dla siebie, odkąd się tu wprowadziłam.

- Wiem! - mówi i się śmieje. - Tak ci tylko dokuczam. Nie martw się, nic mu nie powiem. Ale wiesz, co powie Chaz.

- Co? - pytam, ustępując mu, ale tylko dlatego, że wygląda tak pociągająco w świetle księżycy padającego od strony okien.

- Że jeśli Shari chciała zostać lesbijką, to przecież nie musiała z tym czekać aż do zerwania z nim.

Szarpię za pościel, żeby zakryć te części ciała, które najwyraźniej wydają mu się takie interesujące.

- Dla twojej informacji Shari nie jest żadną lesbijką.

- Lesbijką, biseksualistką, nieważne. Czemu się obrażasz? - Ciągnie za kołdrę.

- Po co przyklepasz jej jakąś etykietkę? - pytam i szarpię za swój skraj kołdry. - Dlaczego ludzie mają być definiowani przez swoje preferencje seksualne? Czy Shari nie może być po prostu Shari?

- Jasne - mówi Luke, lecz minę ma zdziwioną. - Ale dlaczego tak jej bronisz?

- Ponieważ nie chcę, żeby ludzie nazywali Shari „moją lesbijską przyjaciółką”. I jestem pewna, że ona też by tego nie chciała. Chociaż myślę, że Shari nic by to nie obeszło. Ale nie w tym problem. Ona już taka po prostu jest. Ja nie nazywam Chaza twoim heteroseksualnym kumplem.

- Dobra - powiada Luke. - Przepraszam. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żeby dziewczyna mojego najlepszego kumpla rzuciła go dla jakiejś kobiety. Jestem w tej chwili nieco zbity z tropu.

- No to witaj w klubie - rzucam.

Luke przewraca się na plecy i patrzy w sufit.

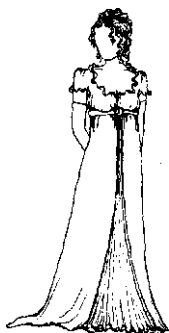
- Najwyraźniej - mówi po chwili - możemy teraz zrobić już tylko jedno.

- Co? - pytam podejrzliwie.

A on mi pokazuje.

I koniec końców muszę przyznać, że miał trochę racji.

Którą mi udowadnia - mogłabym dodać, że dobitnie i z wdziękiem.



Rozdział 18

Nikt nie plotkuje na temat ukrytych zalet innych osób.

Bertrand Russell (1918-1970), brytyjski filozof

W poniedziałek po Świącie Dziękczynienia w recepcji Pendergast, Loughlin i Flynn co chwila nam się obrywa. Nie wiem, czy były na ten temat robione jakieś oficjalne badania, ale mam wrażenie, że po takim długim świątecznym weekendzie liczba wniosków rozwodowych zdecydowanie wzrasta.

Właściwie mogę zrozumieć takie reakcje, spędziwszy święta z de Villiersami, którzy są naprawdę uroczymi ludźmi, ale niepozbawionymi pewnych denerwujących dziwactw. Na przykład pani de Villiers ma irytujący zwyczaj opowiadania o Dominiąue, byłej dziewczynie Luke'a, i o tym, jaka jest szczęśliwa z Kevinem, ciotecznym bratem Luke'a. Podobno Dominiąue świetnie sobie radzi, prowadząc sprawy finansowe Kevina... A on takiej pomocy potrzebuje, bo jego kapela, Cień Szatana, robi się niesamowicie popularna na rynku niezależnych kapel metalowego rocka.

Kolejny z ulubionych tematów pani de Villiers to ciąża siostry Kevina. Vickie ma rodzić dopiero na wiosnę i nawet jeszcze nie wie, jakiej płci jest dziecko, ale matka Luke'a ciągle kupuje jakieś maleńkie ubranka i grucha, że nie może się już doczekać, aż zostanie babcią, na co Luke robi bardzo niewyraźną minę i to wszystko cofa mnie razem z moją strategią traktowania go jak płochliwe leśne stworzonko o całej miesiące wstecz.

Wybryki pana de Villiersa wcale nie są mniej irytujące. Nie patrzył, jak idzie, i w efekcie wszedł nogą na mojego singera 5050 - którego specjalnie zestawiałam z toaletki na podłogę pod wieszakiem z ubraniami,

przekonana, że nikt się tam o tę maszynę nie potknie, skoro drogę zagrozi mu metalowy poprzeczny drag.

Ale jednak jakimś cudem ojciec Luke'a zdołał mi maszynę zniszczyć... A przynajmniej bębenek.

Przepraszał gorąco i obiecał, że kupi mi nową. Ale mu powiedziałam, że nie ma sprawy, że maszyna była stara, a ja i tak zamierzałam kupić sobie nową.

Przysięgam, nie mam pojęcia, skąd się biorą niektóre z tych rzeczy, które padają z moich ust.

W każdym razie wreszcie pojechali. Wyjechali w niedzielę po południu, kiedy już nas serdecznie wyczałowali i opowiedzieli, jak świetnie będą się bawić w chateau Mirac w czasie Bożego Narodzenia i sylwestra. Oczywiście nalegali, żebym do nich przyjechała, ale widziałam, że nie mówią tego do końca szczerze. No cóż, Luke był szczerzy. No i może jeszcze jego tata.

Ale jego mama? Raczej niekoniecznie. Uśmiech, jakim mnie obdarzyła, mówiąc: „Och, daj się namówić, Lizzie, zobaczysz, jak będzie miło”, nie sięgał jej oczu. Nie marszczyły się w kącikach, jak zwykle wtedy, kiedy się uśmiecha.

Nie. Ja wiem, kiedy mnie gdzieś nie chcą. I nie chcą mnie na rodzinnej świątecznej imprezie państwa de Villiersów we Francji.

I nie ma sprawy. Poważnie. Nie wnoszę żadnych pretensji. Wyjaśniłam, że i tak mam wolne tylko trzy dni i część czasu spędzę w samolocie, żeby odwiedzić rodziców, a w poniedziałek rano znów być w pracy.

To nie jest tylko sprawa mojej wyobraźni, że pani de Villiers ulżyło na tę wiadomość; będzie miała syna tylko dla siebie.

Powinna sobie chyba zdawać sprawę z tego, że przy podobnym nastawieniu produkcja wnucząt może się okazać utrudniona. Ale może ma na myśli jakieś inne kandydatki... Takie, które nie pracują na dwóch posadach, z czego jednej niepłatnej, a drugiej takiej, że trudno się nią chwalić przyjaciółkom. No bo recepcjonistka? Nie ma w tym nic prestiżowego, w przeciwieństwie do bankowości inwestycyjnej czy analizy rynków finansowych...

A już zwłaszcza w poniedziałek po Święcie Dziękczynienia, kiedy wygląda na to, że kto żyw, potrzebuje prawnika od rozwodów. Tiffany mówi, że większy ruch panuje w firmie tyklotuż po Nowym Roku, kiedy mnóstwo osób się zaręcza i ludzie chcą się umawiać w sprawach swoich kontraktów przedślubnych.

[
*
j
{
i[
>
f!
*
H
u
4
F
L
,
'
}
|

Tyle razy mówiłam: „Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc?“, że gardło zaczyna mnie boleć i mam niewielką chrypkę. Na szczęście Tiffany przyszła wcześniej (jak zwykle), żeby poplotkować i chętnie zastępuje mnie na kilka minut, kiedy biegnę do damskiej toalety, żeby popryśkać sobie w gardło chloroseptikiem w aerozolu.

- Aha, Raoul powiedział, że może umówić twoją przyjaciółkę, Shari, ze swoim internistą. - Tiffany siada na moim fotelu. - No wiesz, jeśli jest nadal chora.

- Nie jest chora - mówię, otwierając szufladę i wyjmując swoją torebkę od Meyersa, która ledwie się tam mieści przez te wszystkie stare egzemplarze „Vogue'a", których Tiffany za nic nie chce powyrzucać. - Ona i Chaz zerwali ze sobą.

- Poważnie? - Tiffany zwraca na mnie spojrzenie swoich szeroko otwartych błękitnych oczu, - Tuż przed imprezą u ciebie? Boże, nic dziwnego, że powiedział, że ona zachorowała. Strasznie krępujące. Więc jedno z nich się wyprowadza? Które? O Boże, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Bo naprawdę próbowałam z nikim o tym nie rozmawiać, a już na pewno nie z taką Tiffany, która mogłaby się przypadkiem wygadać przed tą Chazą. Oczywiście, Luke wie, ale to jedyna osoba, której powiedziałam. Naprawdę bardzo się ostatnio staram jak najmniej plotkować. Shari prosiła mnie, żebym nikomu o niczym nie mówiła, dopóki nie będzie miała okazji sama porozmawiać o tym z Chazem - i modłę się, żeby ten czas znalazła, bo nie wiem, jak długo jeszcze zdołam wytrzymać i nic mu nie powiedzieć, kiedy dzwoni do swojego taty do biura. W związku z tym i romansiem mamy Luke'a aż pękam od nadmiaru sekretów.

I dostaję od tego świra.

- Nie wiem - mówię. - Słuchaj, pójdę tylko spryskać sobie gardło i zaraz wracam...

Ale Tiffany nawet nie zdążyła odpowiedzieć, bo telefon dzwoni i musi go odebrać.

- Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc?

Damska łazienka naszej kancelarii mieści się na zewnątrz biura, wchodzi się tam z korytarza przy windach. Żeby wejść do środka, trzeba wstukać kod. To nie dlatego, żeby nie zaplatali się tam przypadkowi turyści z ulicy i czasem nie skorzystali z łazienek kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn, bo przypadkowi turyści w ogóle nie mogliby wjechać na górę bez umówionego spotkania i bez sprawdzenia przez ochronę.

Właściwie nie mam pojęcia, czemu toalety wszystkich firm w tym budynku są pozamykane (nie tylko damskie, męskie też, administracja budynku wcale nie jest pod tym względem seksistowska) i czemu można z nich korzystać, tylko jeśli zna się kod do zamka.

W każdym razie jednym z obowiązków recepcjonistek w kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn jest podawanie tego kodu klientom lub przychodzącym na spotkania prawnikom, jeśli o to pytają. Kod jest wyjątkowo łatwy do zapamiętania: 1-2-3.

A jednak niektórym klientom (i prawnikom) trzeba ten kod podawać dwa, a nawet trzy razy, zanim go wreszcie zapamiętają. Trochę to bywa dla recepcjonistek irytujące, chociaż nigdy tego po sobie nie pokazujemy. Ale i tak zastanawiam się, po co w ogóle ten kod do łazienki, skoro nikt tam nigdy nie był w tym samym czasie, co ja, i uważam, że to jest najmniej używana łazienka w całym Nowym Jorku.

Ten dzień, kiedy idę spryskać tam gardło (i pomalować usta szminką, i trochę uczesać włosy), nie stanowi żadnego wyjątku. Jestem sama w tej bardzo czystej, bardzo beżowej łazience. Spoglądam na swoje odbicie w wielkim lustrze wiszącym nad umywalkami, zadowolona, że ostatniej nocy znów mogłam się wyspać we własnym (no cóż, mamy Luke'a) łóżku, zamiast na rozkładanej kanapie, bo te worki pod moimi oczami od przewracania się i wiercenia wreszcie zaczynają znikać. Przysięgam, kiedy już będę certyfikowaną specjalistką od ślubnych sukien z własnym zakładem i wreszcie będę mogła odłożyć trochę pieniędzy, kupię jedną z tych rozsuwanych kanap z Portery Barn, które nie mają żadnego metalowego pręta w poprzek i są rzeczywiście wygodne do spania.

Ale najpierw kupię własne mieszkanie, gdzie będę mogła trzymać swoje rzeczy bez obawy, że ktoś mi je porozdeptuje i zniszczy.

A potem kupię kanapę.

Kiedy rozwijam w myślach tę uroczą fantazję, dobiega mnie jakiś dźwięk. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to odgłos mojego obcasa na kaflach posadzki. Ale potem dociera do mnie, że nie jestem w damskiej łazience kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn sama. Drzwi do ostatniej kabiny są zamknięte.

Już mam zamiar wymknąć się, żeby dać tej osobie odrobinę prywatności, kiedy znów słyszę ten odgłos. Takiejakby kwilenie. Jakby piszczał jakiś kociak.

Albo jakby ktoś płakał.

Pochyliłam się, żeby sprawdzić, czy rozpoznam buty tej kobiety pod krawędzią drzwi kabiny. I natychmiast zdaję sobie sprawę, że patrzę na stopy Jill Higgins, najsłynniejszej nowojorskiej narzeczonej. Bo na tych stopach ma parę wysokich sportowych butów.

A nikt nie wkłada timberlandów do kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn poza Jill Higgins, która najwyraźniej schowała się do łazienki, żeby popłakać przed swoim następnym spotkaniem z tatą Chaza.

Wiem, że jako pracownica kancelarii powinnam cichutko wyjść z łazienki i udawać, że nigdy nie słyszałam tego, co właśnie słyszę.

Ale jako nie do końca certyfikowana specjalistka od sukien ślubnych oraz, co jeszcze ważniejsze, dziewczyna, która wie, jak to jest, kiedy człowiekowi ciągle ktoś dokucza (tak jak przez całe życie dokuczały mi moje siostry), nie mogę tak po prostu zawrócić i wyjść. Zwłaszcza że wiem - po prostu wiem - że mogłabym jej pomóc.

To by wyjaśniało, dlaczego podchodzę do drzwi kabiny i cicho w nie stukam - chociaż przyznam, serce mocno mi waliło. Ja naprawdę potrzebuję tej pracy.

- Hm... panno Higgins?! - wołam przez drzwi kabiny - To ja, Lizzie. Recepcjonistka.

- Och...

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zmieścił tyle uczuć w jednym westchnieniu. To „och” jest pełne lęku, pewnie przed tym, co powiem albo zrobię, złapawszy narzeczoną Johna MacDowella na płaczu w toalecie. Czy zawołam reporterów? Podam jej paczkę chusteczek? Pobiegnę po Esther? Czy jeszcze coś? Jest w nim także żal, nienawiść do samej siebie, zażenowanie, a nawet to, co brzmi jak spora doza zwykłego, zdrowego zawstydzenia.

- Wszystko w porządku - mówię przez drzwi. - To znaczy, sama czasem miewam ochotę tu sobie popłakać. Właściwie prawie codziennie.

Kobiecie w kabinie wrywa się krótki śmieszek. Ale nadal podszyty łzami.

- Mam pani coś przynieść? - pytam. - Na przykład chusteczki? Albo colę light? - Nie wiem, czemu pomyślałam, że może mieć ochotę na colę. Może dlatego, że zimna cola light zawsze poprawia mi nastrój. Tylko że rzadko się zdarza, że ktoś proponuje, że mi ją przyniesie.

- Nieeee - słyszę drżący głos Jill. - Nic mi nie jest. Chyba. Tylko że...

I po chwili naprawdę ją bierze - to znaczy, tym razem zaczyna naprawdę płakać takimi głębokimi, gwałtownymi szlochami jak dziecko.

- Ojej - mówię. Bo wiem, co to znaczy, kiedy tak się płacze. Już mi się zdarzało tak płakać. I wiem, że jest tylko jedna rzecz, która mi pomaga, kiedy dopada mnie aż taki atak płaczu. - Trzymaj się - mówię do Jill przez drzwi kabiny. - Zaraz wracam.

Wybiegam z łazienki. A potem, żeby ominąć Tiffany (która pewnie i tak zastanawia się, gdzie się podziałam. Zwłaszcza że ściśle rzecz biorąc, swoją zmianę zaczyna za pół godziny, a ja ją zostawiłam w recepcji i kazałam odbierać te wszystkie telefony, które powinnam odbierać sama), przemykam do zamkniętych tylnych drzwi kancelarii (kod do zamka: 1-2-3) i szybko wchodzę do kuchni na zapleczu biura Pendergast, Loughlin i Flynn.

Tam chwytam parę rzeczy - pod uważnym spojrzeniem praktykanta, który ma przerwę na kawę - i biegnę z powrotem do damskiej łazienki, gdzie Jill nadal szlocha sobie od serca.

- Hej - mówię, kładąc cały stosik zwędzonych dóbr na blacie przy umywalkach. - Już do ciebie idę. - Przyglądam się całemu temu zestawowi. Naprawdę nie miałam czasu zastanawiać się nad wyborem. Widziałam, że potrzebna jest szybka i stanowcza interwencja. Łapię pierwszą plastikową torebkę i klękam obok drzwi do kabiny, żeby ją podać pod drzwiami.

- Masz - mówię. - Rurki z kremem Drake's. Wcinaj.

Na moment zapada pełna zdumienia cisza. Zastanawiam się, czy właśnie nie popełniłam jakiejś szalonej gafy. Ale kiedy ja płaczę, Shari zawsze daje mi czekoladę. I ja się z miejsca zaczynam lepiej czuć.

No cóż, może nie z miejsca, ale dość szybko.

A może problemy Jill są tak wielkie, że trzeba będzie czegoś więcej niż czekoladowe rurki z kremem, żeby poczuła się lepiej?

- Dz-dzięki - mówi. I słodka przekąska (choć moim zdaniem to jest cały deser, a nie żadna przekąska) znika z mojej dłoni. Sekundę później dobiega mnie szelest rozdieranego plastiku.

- Chcesz do tego trochę mleka? - pytam. - Mam tu pełne i średnio-tłuste też. Odtłuszczonego nie brałam, no bo sama wiesz. Aha, przyniosłam też colę light. I zwykłą, gdybyś potrzebowała cukru.

Kolejne szelesty. A potem, przez łyż:

- Napiłabym się zwykłej coli.

Otwieram dla niej puszkę i wsuwam pod drzwi.

- Dz-dziękuję - mówi Jill.

Przez chwilę słyszę tylko cichutkie siorbanie. A potem Jill mówi:

- Masz jeszcze trochę tych rurek?

- Jasne, że tak - uspokajam ją. - 1 ciastka z czekoladą też.

- Wolę rurki, jeśli można.

Wsuwam kolejną paczuszkę pod drzwi.

- Wiesz... - zaczynam delikatnie. - Jeśli to będzie jakieś pocieszenie, to rozumiem przez co przechodzisz. To znaczy nie do końca, ale pracuję z różnymi pannami młodymi. Oczywiście większość nie odczuwa aż takiej presji jak ty. Ale sama wiesz. Ślub to zawsze stresujące wydarzenie.

- Co ty powiesz? - mówi Jill i śmieje się gorzko. - Czy przyszłe teściowe też je nienawidzą tak jak moja mnie?

- Różnie to bywa. - Poczęstowałam się ciastkiem z kremem. Ale wyjadam tylko krem ze środka. Ma mniej węglowodanów niż samo ciasto. Chyba. - A twoja dlaczego cię nienawidzi?

- Poza tym, że uważa mnie za naciągaczkę, która chce jej syna obrabować z należnego mu dziedzictwa? - Słyszę, że znów szeleści plastik. - Sama nie wiem, od czego by tu zacząć.

- Widzisz... - odzywam się. Nie rób tego, mówi mi jakiś wewnętrzny głos. Nie rób tego. Nie warto. Ale jakiś inny głos podpowiada mi, że to mój obowiązek jako kobiety pomóc w takiej sytuacji i że nie mogę pozwolić dziewczynie, która tyle wycierpiała, nadal się tak zadreczać... Zwłaszcza że wcale nie musi. - Kiedy powiedziałam, że pracuję z pannami młodymi, nie miałam na myśli tej kancelarii - ciągnę. - Nie tylko tu je spotykam. Jestem właściwie certyfikowaną specjalistką od sukien ślubnych. Nie jestem. To znaczy, jeszcze nie certyfikowaną. Ale pracuję dla kogoś, kto ma certyfikat. W każdym razie specjalizuję się w renowacji starych sukien ślubnych i przerabianiu ich tak, żeby pasowały nowoczesnym pannom młodym. Tak tylko mówię, bo może ta informacja ci się przyda.

Na sekundę za drzwiami kabiny zapada cisza. A potem słyszę kolejne szelesty. I szum spuszczonej wody. A sekundę później drzwi otwierają się i Jill, z czerwonymi oczami i zaróżowioną twarzą, z potwornie rozczochranymi włosami i okruszkami po rurkach z kremem na wełnianym swetrze, wychodzi i spogląda na mnie podejrzliwie.

- Żartujesz sobie ze mnie? - pyta tonem, którego nie można nazwać przyjaznym ani nawet uprzejmym.

Ups.

- Posłuchaj - mówię, prostując się i przestając opierać o ścianę łazienki. - Przepraszam cię. Po prostu słyszałam, wiesz. Płotki głośzą, że twoja przyszła teściowa usiłuje cię zmusić do włożenia sukni, która w rodzinie przechodzi z pokolenia na pokolenie. I chciałam tylko dać ci znać, że wiesz... W razie czego mogę pomóc.

Jill patrzy na mnie, mrugając, a jej mina pozbawiona jest jakichkolwiek emocji. Zauważam, że w ogóle się nie maluje. No ale to jedna z tych zdrowych, wiele przebywających na świeżym powietrzu dziewczyn, którym to uchodzi.

- To znaczy, nie sama - dodaję szybko. - Mnóstwo osób mogłoby ci pomóc, to miasto jest ich pełne. Tylko nie idź do takiego jednego faceta, Maurice'a. Bo on tylko zedrze z ciebie skórę, a jej wcale nie poprawi. To znaczy, sukni. Monsieur Henri, u którego pracuję, prowadzi zakład, do którego powinnaś pójść. Bo wiesz, my nie korzystamy z żadnych chemikaliów ani niczego takiego. I nam nie jest wszystko jedno.

Jill jeszcze bardziej wytrzeszcza na mnie oczy.

- Nie jest wam wszystko jedno? - powtarza niedowierzającym tonem.

- No cóż, nie jest. - W tym momencie zdaję sobie nieco zbyt późno sprawę z tego, jak to wszystko musi dla niej brzmieć. Bo przecież ona jak dzień długi jest otoczona ludźmi, którzy czegoś od niej chcą: prasa ją nagabuje o wywiad albo zdjęcie, ludzie o to, jak to jest, być narzeczoną najbogatszego człowieka w Nowym Jorku, nawet te jej ukochane foki, dla podnoszenia których gotowa była narażać własny kręgosłup, prawdopodobnie widzą w niej tylko przynoszone im ryby. Czy co tam jedzą foki z zoo w Central Parku. - Posłuchaj - dodaję. - Wiem, że w tej chwili przechodzisz strasznie trudne chwile i na pewno ci się wydaje, że każdy, kogo spotykasz, czegoś od ciebie chce. Ale przysięgam, że nie dlatego ci to mówię. Ubrania typu vintage, to moje całe życie. Widzisz, co mam na sobie, prawda? - Wskazuję sukienkę, którą dziś włożyłam. - To bardzo rzadka sukienka typu kimono, z szerokimi rękawami, z kolekcji z 1960 roku sygnowanej przez Alfreda Shaheena, którego lepiej znano z jego autentycznych fasonów z mórz południowych, czyli hawajskich koszul, ale który zajmował się też robieniem szalenie ciekawych ręcznie barwionych azjatyckich nadruków na tkaninach. Ta sukienka to znakomity przykład jego prac, widzisz ten szeroki pas przypominający obi? Dla mnie to korzystny fason, bo mam figurę trochę w kształcie gruszki,

no wiesz, więc lubię podkreślać linię talii, ale biodra już mniej. W każdym razie ta sukienka była w dość kiepskim stanie, kiedy ją znalazłam na dnie kosza z rzeczami za dolara w sklepie, w którym kiedyś pracowałam w Ann Arbor. Miała naprawdę obrzydliwą plamę, chyba po galaretkce winogronowej, i sięgała do ziemi, bo to chyba miała być podomka. I w biuście była dla mnie o wiele za szeroka. Ale ja japo prostu wrzuciłam do garnka z wrzątkiem i porządnie wymoczyłam, a potem wysuszyłam, skróciłam do kolan, obrębiłam, przesyłam zaszewki na biuście i proszę bardzo.

Okręcam się lekko na pięcie, tak jak mnie nauczyła Tiffany.

- A teraz mam sukienkę, którą widzisz. Ale chcę ci w zasadzie powiedzieć, że... - Podchodzę krokiem modelki do miejsca, gdzie stoi, gapiąc się na mnie. - Że wiem, jak zająć się tym, co ktoś chciał wyrzucić do śmietnika, i zmienić to w skarb. A jeśli będziesz chciała, to zrobię coś takiego dla ciebie. Bo co by mogło twoją przyszłą teściową bardziej zaszokować niż widok, jak idziesz nawą kościoła w sukni, którą ci wmusiła, a wyglądasz w niej o wiele, wiele lepiej niż ona kiedykolwiek w życiu wyglądała?

Jill kręci głową.

- Ty nie rozumiesz - mówi.

- Doprawdy?

- To... To coś co mam jej zdaniem włożyć... To ohyda.

- To też była ohyda. - Wskazuję na sukienkę Alfreda Shaheena. - Galaretkka winogronowa. Długość do ziemi. Cycki jak u armaty.

- Nie. To jest coś gorszego. O wiele gorszego. Ona ma takie... - Jill chyba brakuje słów. Więc rękoma pokazuje, o co jej chodzi. - Taką spódnicę na obręczach... A poza tym są jeszcze te... szmaty. One z niej zwisają. I są w kratę.

- Pewnie tartan klanu MacDowellów - domyślam się. - No tak, to oczywiste.

- I ona ma chyba z milion lat - mówi Jill. - I śmierdzi. I nie pasuje.

- Za duża czy za mała? - pytam.

- Za mała. O wiele za mała. Nikt jej w żaden sposób na mnie nie dopasuje. Już zdecydowałam. - Odrzuca głowę w tył, a jej błękitne oczy lśnią. - Nie włożę jej. Bo ona już i tak mnie nienawidzi. Co gorszego może mnie czekać?

- To prawda - przytakuję. - Masz coś innego na widoku?

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Jak to?

- Chodzi mi o to, czy wypatrzyłaś jakąś inną ślubną suknię? Kupiłaś może?

Kręci głową.

- No nie. Kiedy niby miałam to zrobić? Między jedną a drugą wizytą u mianikiurzystki? Nie, oczywiście, że nie. Zresztą, co ja o tym wszystkim wiem? To znaczy John cały czas mi powtarza, żeby iść do Very Wang czy coś, ale za każdym razem, kiedy w ogóle myślę, żeby pójść w jedno z tych miejsc, no wiesz, do tych projektantów, zaczyna mi brakować tchu i... No cóż, ja właściwie nie mam żadnych przyjaciółek, które znałyby się na takich rzeczach. Wszystkie moje znajome mają, rozumiesz, małpie odchody na całych butach. Dosłownie. Co one wiedzą o sukniach ślubnych? Serio, myślałam, że polecę do domu i kupię coś w centrum handlowym w Des Moines. Bo tam przynajmniej wiem mniej więcej, w co się pakuj ę...

Coś chłodnego bezlitośnie ściska mi serce. Natychmiast rozpoznaję to uczucie. Strach.

- Jill... - Sięgam po jeszcze jedno czekoladowe ciastko. Potrzebuję go. Dla podtrzymania na duchu. - Mogę ci mówić po imieniu?

Kiwa głową.

- Tak, jasne.

- Ja mam na imię Lizzie - przedstawiam się. - I proszę, nigdy więcej w mojej obecności nie wymawiaj tych słów.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Jakich słów?

- Centrum handlowe. - Wpycham sobie do ust pełen kęs pysznego nadzienia i pozwalam mu się rozpuścić. Aaaach. Lepiej. - Nie wymawiaj ich. Dobrze?

- Rozumiem - mówi, a w jej oczach znów zaczynają połyskiwać łzy. - Ale co innego mogę zrobić?

- No cóż, na początek... - proponuję - przyniesiesz tę suknię ślubną MacDowellów, tartan i wszystko, do mnie, do zakładu. - Podaję jej jedną z wizytówek, wyjętą z torebki. - Możesz zajrzeć dzisiaj po południu?

Jill zerka na wizytówkę.

- Mówisz poważnie?

- Śmiertelnie poważnie - oświadczam. - Zanim podejmiemy jakieś drastyczne decyzje związane z centrami handlowymi, popatrzymy na to,

co mamy do dyspozycji, dobrze? Bo nigdy nic nie wiadomo. Może coś się z tego da odzyskać. I wtedy nie musiałybyś mieć do czynienia ani z centrum handlowym, ani z projektantami mody. A jeśliby się udało, dałybyśmy popalić twojej teściowej.

Jill przygląda mi się przez zmrużone powieki.

- Zaraz. Czy ty właśnie powiedziałaś: „dałybyśmy jej popalić?”

Zerkam na nią z miną winowajczyni sponad drugiej porcji nadzienia z tych ciastek z kremem, które właśnie wepchnęłam sobie do ust.

- Hm - mówię, oblizując palec. - Owszem. A co?

- Od ostatniej klasy podstawówki nie słyszałam, żeby ktoś używał tego powiedzenia.

Wyjmuję palec z ust.

- No cóż. Jestem tradycjonalistką.

Po raz pierwszy, odkąd wyszła z kabiny, Jill się uśmiecha.

- Ja też - mówi.

I we dwie stoimy tam, idiotycznie do siebie szczerząc zęby...

Aż nagle drzwi do damskiej łazienki otwierają się, do środka wchodzi Roberta i na nasz widok zamiera w pół kroku.

- Och, Lizzie - zwraca się do mnie, uśmiechając się do Jill. - Tu jesteś. Tiffany właśnie prosiła, żebym sprawdziła, co się z tobą dzieje, bo zniknęłaś z recepcji na tak długo...

- Och, przepraszam. - Zgarniam w objęcia resztkę śmieciowego jedzenia, które zwinęłam z kuchni. - My tu tylko...

- Mam problemy z poziomem cukru we krwi - oświadcza Jill, łapiąc jeszcze jedno opakowanie rurek z kremem i colę ze stosiku, który trzymam w ramionach. - A Lizzie pomogła mi się z tym uporać.

- Och! - Roberta uśmiecha się z jeszcze większym wysiłkiem. A co ma zrobić? Nawrzeszczeć na mnie, że zaniósłam całą zawartość szafki z przekąskami z kuchni Pendergast, Loughlin i Flynn do damskiej łazienki dla wygody jednej z najważniejszych klientek firmy? - Świetnie. O ile obie dobrze się czujecie.

- Owszem - odpowiadam pogodnie. - Właśnie miałam wracać na swoje stanowisko...

- A ja na swoje spotkanie o drugiej z panem Pendergastem - dodaje Jill.

- Och, wspaniale! - Robercie uśmiech praktycznie przymarzył do twarzy. - Znakomicie!

Szybko wychodzę do holu, a Tiffany szeroko otwiera oczy, widząc, kto idzie za mną. Esther, asystentka pana Pendergasta, czeka przy biurku

recepcji. Majeszcie bardziej zdziwioną minę niż Tiffany, kiedy widzi, że Jill Higgins idzie za mną i za Robertą.

- Och! Panno Higgins! - woła, nie odrywając wzroku od okruszków po słodyczach na swetrze Jill. - Tu pani jest. Zaczynałam się martwić. Dzwonili z ochrony i mówili, że już dawno wjechała pani na górę...

- Przepraszam. - Jill się uśmiecha. - Zatrzymałam się na małą przekąskę.

- Rozumiem. - Esther rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Była głodna - mówię, wskazując naręczę przekąsek i napojów, które trzymam w ramionach. - Zjesz coś?

- Eee, nie, dziękuję - wymiguje się Esther. - Pójdzie pani teraz ze mną, panno Higgins?

- Jasne. - Jill rusza za Esther... ale skręcając za róg, rzuca mi wiele mówiące spojrzenie... Spojrzenie, którego nijak nie umiem zinterpretować, bo szykuję się właśnie na upomnienie ze strony szefowej.

Ale Roberta mówi tylko:

- Cóż. To, eee... ładnie, że, eee... pomogłaś pannie Higgins.

- Dzięki - odpowiadam. - Mówiła, że robi jej się trochę słabo, więc...

- Szybka reakcja - stwierdza Roberta. - No cóż, jest już po drugiej, więc...

- Jasne. - Wykładam jedzenie zabrane z kuchni na biurko recepcji, na co Tiffany wydaje słaby okrzyk protestu i rzuca mi wściekłe spojrzenie. - Przepraszam, Tiff. Ale muszę bieć. Już skończyłam zmianę na dziś...

A potem wypadam stamtąd jak goniec rowerowy, który ma niecierpiącą zwłoki przesyłkę na Szóstą Aleję...



Rozdział 19

*Jeśli powierzysz swój sekret wiatrowi, nie powinieneś winić wiatru,
że zwierzy się z niego drzewom.*

Kahlil Gibran (1883-1931), poeta i pisarz

Tego dnia, gdzieś tak koło piątej czy szóstej, porzuciłam już nadzieję, że Jill Higgins przyjdzie i zadzwoni do drzwi zakładu monsieur Henriego. Wiem, że zachowałam się zbyt arogancko. Dlaczego taka Jill Higgins, która wychodzi za mąż za jednego z najbogatszych mężczyzn na Manhattanie, miałyby wybrać mnie - osobę, którą zna wyłącznie jako recepcjonistkę w kancelarii prawnej, która negocjuje jej kontrakt przedślubny-jako swoją specjalistkę od sukni ślubnej?

Zwłaszcza że nawet nie mam żadnego certyfikatu! Na razie.

Nie wspomniałam jeszcze monsieur ani madame Henri, że podałam ich nazwisko i adres jednej z najsłynniejszych przyszłych panien młodych w tym mieście. Nie chcę, żeby niepotrzebnie robili sobie nadzieję. Interes idzie słabo i były już rozmowy (po francusku, oczywiście, że-bym nie mogła zrozumieć, co mówią) o zamknięciu go na dobre, kiedy Maurice wreszcie otworzy swój zakład przy tej samej ulicy i ukradnie im ostatnie klientki. Państwo Henri wspomnieli o wyjeździe do swojego domku w Prowansji.

Gdyby tak się stało, musieliby się liczyć ze znacznym spadkiem dochodów, bo wzięli drugą pożyczkę hipoteczną pod zastaw kamienicy, żeby zapłacić za studia synów, a wartość ich domu w New Jersey znacznie spadła podczas ostatniego krachu cen na rynku nieruchomości. Pozostaje jeszcze ten drobny fakt, że obaj synowie, Jean-Paul i Jean-Pierre, stanowczo odmawiają przenosin do Francji ani nawet przepisania się na uczelnię tańszą niż Uniwersytet Nowojorski, na który dojeż-

dżają codziennie na zajęcia (o ile nie zakradają się do mieszkania na górze, żeby się tam bez zgody rodziców przespać).

Oczywiście nie wątpię, że kiedy decyzja zamknięcia zakładu zapadnie na dobre, chłopcy zrobią dokładnie to, czego będzie chciała ich matka. W rodzinie Henrich brakuje pieniędzy, ale nie dyscypliny. Sądzę to ze sposobu, w jaki monsieur Henri przerzuca na mnie gros zajęć. Jak na kogoś, kto twierdzi, że interes podupada, monsieur Henri ma dla mnie zadziwiająco dużo szycia, i to dzień w dzień. Kazał mi zrobić tyle koronkowych kryz - takich samych jak te, które podziwiałam w jego oknie wystawowym parę miesięcy temu i przysięgłam sobie, że się nauczę robić podobne - że teraz mogłabym szyć je nawet przez sen. I do perfekcji opanowałam naszywanie materiału brylancikami, żeby uzyskać efekt ogólnego połysku. I proszę mi nawet nie wspominać o marszczeniach.

Madame Henri pogania męża, żeby pospieszył się i zaczął zbierać, bo z okazji zapalania świeć na choince przed Rockefeller Center - które ma nastąpić dziś wieczorem - ruch na ulicach jest tak nieprawdopodobny, że trzeba prawie godziny, żeby w ogóle wydostać się z miasta. Nagle odzywa się dzwonek nad drzwiami frontowymi, a ja podnoszę wzrok i widzę buzię obramowaną falą jasnych włosów, która zagląda do środka.

- O co chodzi? - pyta madame Henri. - Nie mamy na dzisiaj żadnych przymiarek.

Szybko wstaję i idę do drzwi.

- To moja znajoma. -1 otwieram drzwi, wpuszczając Jill do środka.

.. i dopiero wtedy widzę, że przy hydrancie przeciwpożarowym zaparkowała czarna limuzyna z szoferem wynajęta w Town Car, a za plecami Jill stoi wysoki, postawny mężczyzna, którego natychmiast rozpoznaję jako...

- Och! - Madame Henri wypuszcza z rąk torebkę, podnosząc dłoń do twarzy. Ona też poznała faceta towarzyszącego Jill. I trudno się dziwić, skoro jego twarz tak często pojawia się na pierwszej stronie „Post”.

- Hm, cześć - odzywa się Jill. Od mrozu ma bardzo zaczerwienione policzki. I niesie torbę na ubrania. - Powiedziałaś, żeby tu zajrzeć. Czy to zły moment?

- To idealny moment - mówię. - Proszę, wejdźcie państwo.

Chowają się do środka przed lekkim śnieżkiem, który właśnie zaczął sypać, pokrywając ich włosy i ramiona śnieżynkami połyskującymi jak

górskie kryształły. Przynieśli ze sobą zapach mrozu i zdrowia, i... czegoś jeszcze.

- Przepraszam. - Jill marszczy nosek. - To ja. Przyjechałam prosto z pracy i nie miałam nawet czasu się przebrać. Chcieliśmy zdążyć przed najgorszymi korkami.

- Ten niezdolny smród - mówi John MacDowell - który właśnie państwo poczuli, to fozce odchody. Proszę się nie przejmować, do tego można się przyzwyczaić.

- To mój narzeczony, John - przedstawia mężczyznę Jill. - John, poznaj Lizzie...

John wyciąga dużą rękę i wymieniamy uścisk dłoni.

- Miło mi cię poznać - mówi, chyba szczerze. - Kiedy Jill mi o tobie powiedziała... No cóż, naprawdę mam nadzieję, że zdołasz nam pomóc. Moja matka... To znaczy, ja ją kocham i tak dalej, ale ona...

- Nie mów nic więcej - przerywam mu. - Świetnie cię rozumiemy. I wierz mi, na pewno widzieliśmy tu gorsze sytuacje. Mogę przedstawić swojego szefa, monsieur Henriego? Jest właścicielem zakładu. A to madame Henri, jego żona. Monsieur, madame, przedstawiam państwu Jill Higgins i jej narzeczonego, Johna MacDowella.

Monsieur Henri stoi w pobliżu i gapi się na naszą trójkę z osłupiałą miną. Kiedy wymieniam jego nazwisko, podchodzi szybko z wyciągniętą ręką.

- *Enchante* - mówi. - Bardzo mi miło państwa poznać.

- Mnie też jest miło - odzywa się John MacDowell. Madame Henri o mało nie mdleje, kiedy w podobny sposób zwraca się również do niej. Od chwili, kiedy ta para weszła do zakładu, odebrało jej mowę.

- Popatrzmy, co tam masz. - Zabieram torbę na ubrania z rąk Jill,

- Ostrzegam państwa - mówi John. - To dramat.

- Prawdziwy dramat - dodaje Jill.

- Przywykliśmy do tego -zapewnia ich monsieur Henri. - W ten sposób dorobiliśmy się naszego certyfikatu Stowarzyszenia Usługodawców Ślubnych.

- To prawda - potwierdzam ze śmiertelną powagą. - Krajowe Stowarzyszenie Usługodawców Ślubnych dało monsieur Henriemu swoją najwyższą rekomendację.

Monsieur Henri skromnie pochyla głowę, a jednocześnie staje za Jill, żeby pomóc jej zdjąć puchową kurtkę.

- Może napiją się państwo herbaty? Albo kawy?

- Ja dziękuję - mówi John i podaje mu własną kurtkę. - Potem gdzieś jeszcze się wybieramy, więc...

Jego głos cichnie. To dlatego, że otworzyłam tę torbę. A teraz wszyscy pięcioro patrzymy na to, co z niej wyjęłam.

Monsieur Henri o mało nie upuścił na podłogę kurtek gości, ale w ostatniej chwili podskoczyła jego żona i złapała obie.

- Jest... Jest obrzydliwa - szepcze monsieur Henri, na szczęście po francusku.

- Tak - odpowiadam. - Ale da się z niej coś zrobić.

- Nie. - Monsieur Henri kręci głową jak człowiek, który śni. - To niemożliwe.

Rozumiem, dlaczego tak mu się wydaje. Suknia jest mało obiecująca, a to i tak łagodnie powiedziane. Uszyta z niezliczonych metrów najwyraźniej cenniejszych, starych koronek pokrywających kremowy atłas, ma dopasowany stanik i nieprawdopodobnie wielką krynolinę, którą jeszcze powiększają wszyte w spódnice obręcze. Dekolt ma typowy fason w stylu królowej Anny, rękawy to obszerne bufy zakończone kokardami w rodową szkocką kratę przy mankietach. Wokół spódnicy udrapowano kolejne zwały tego samego tartanu, spięte złotą broszą.

Innymi słowy, wygląda to jak coś, co mógł zaprojektować licealny klub dramatyczny na przedstawienie Brigadoon.

- Jest w mojej rodzinie już od pokoleń - mówi John przeproszącym tonem. - Wszystkie panny młode u MacDowellów ją nosiły, po mniejszych lub większych przeróbkach. To moja matka kazała wszyć te obręcze w krynolinę. Pochodzi z Georgii.

- To wiele wyjaśnia. - Jaki to rozmiar?

- S - mówi Jill. - A ja mam XL.

Monsieur Henri odzywa się po francusku:

- Niemożliwe. Jest za mała. Nic nie zdołamy zrobić.

- Nie oceniamy pochopnie. Stanika trzeba się będzie, oczywiście, pozbyć. Ale tu jest wystarczająco wiele materiału...

- Chcesz pociąć na kawałki suknię, która od pokoleń była w najbogatszej rodzinie w mieście? - pyta monsieur Henri, nadal po francusku. - Oszalałaś!

- Powiedział, że inne panny młode też dokonywały przeróbek - przypominam mu. - Możemy przynajmniej spróbować.

- Nie uda nam się wcisnąć kobiety w rozmiarze XL w suknię w rozmiarze S - ucina monsieur Henri. - Wiesz, że tego nie da się zrobić!

- Nie uda nam się wcisnąć jej w tę suknię bez przeróbek. Ale, na szczęście, jest dla niej za długa. - Zdejmuję suknię z wieszaka i przymerzam ją do Jill, która stoi, rozkładając ramiona na boki, a minę ma przerażoną. - Widzi pan? Gdyby była za krótka, zgodziłabym się z panem. Ale jak mówiłam, jeśli rozprujemy szwy stanika...

- Mój Boże, czyś ty zwariowała? - Monsieur Henri nie może otrząsać się z szoku. - Czy ty masz pojęcie, co jej teściowa z nami zrobi? Mogłaby nawet podjąć kroki prawne...

- Jean. - Madame Henri odzywa się po raz pierwszy.

Mąż ogląda się na nią.

- Co?

- Zgódź się - mówi do niego po francusku.

Monsieur Henri kręci głową.

- Powtarzam ci, tego się nie da zrobić! Chcesz, żebym stracił uprawnień?

- A ty chcesz, żeby Maurice ukradł ci tych parę klientek, które nam jeszcze zostały, kiedy otworzy swój zakład przy tej ulicy? - pyta jego żona.

- Nie otworzy - zapewniam ich oboje. - Nie, jeśli pozwolicie mi się tym zająć. Wiem, że sobie poradzę.

Madame Henri kiwa głową w moją stronę.

- Posłuchaj jej, Jean.

Dyskusja została zamknięta. Monsieur Henri jest mistrzem igły, ale w tej rodzinie to madame Henri podejmuje decyzje. Kiedy raz coś zarządziła, sprzeczki są stratą czasu. Madame Henri zawsze ma ostatnie słowo.

Monsieur Henri się garbi. A potem spogląda na Jill. I ona, i jej narzeczony gapią się na nas szeroko otwartymi oczami.

- Kiedy ślub? - pyta monsieur Henri słabym głosem.

- W sylwestra - powiada Jill.

Monsieur Henri wyrывa się jakiś jęk. Nawet ja z trudem przełykam ślinę, bo w gardle nagle zupełnie mi zaschło. W sylwestra!

Jill zauważa moją reakcję i zaczyna się martwić.

- Czy to... To znaczy, starczy państwu czasu?

- Miesiąc. - Monsieur Henri wpatruje się we mnie. - Mamy miesiąc. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, bo tego, co chcesz zrobić, zrobić się nie da, niezależnie od ilości czasu.

- Da się, jeśli zrobimy to tak, jak proponuję. Proszę mi zaufać.

Monsieur Henri zerka po raz ostatni na szkaradzieństwo wiszące na wieszaku.

- Maurice - syczy jego żona. - Pamiętaj o Maurice!

Monsieur Henri wzdycha.

- Dobrze. Spróbujemy.

A ja, promieniejąc, obracam się do Jill.

- Co to było? - pyta mnie, zdenerwowana. - Nie rozumiałam, co mówicie. Bo mówiliście po francusku.

- No cóż... - zaczynam.

A potem dopiero dociera do mnie sens jej słów.

Obracam się z poczuciem winy w stronę państwa Henrich, którzy gapią się na mnie z przerażeniem. Dotarło do nich w tym samym momencie co do mnie, że całą tę rozmowę odbyliśmy w ich ojczystym języku, którego podobno mam nie rozumieć.

Ale chwila. Przecież oni mnie nigdy nie spytali.

Wzruszam ramionami. A potem mówię do Jill:

- Zajmiemy się tym.

Gapi się na mnie.

- No dobrze... ale jak?

- Jeszcze nie wiem do końca - przyznaję. - Ale mam już pewien pomysł. I będziesz wyglądała świetnie. Obiecuję.

Jill unosi brwi.

- Żadnej krynoliny?

- Żadnej krynoliny - przytakuję. - Ale będę musiała zdjąć ci miarę. Gdybyś więc mogła zajrzeć ze mną do przebieralni...

- Okay - mówi. I idzie za mną, mijając państwa Henrich, którzy nadal stoją tam jak wryci z osłupiałymi minami. Widzę, że w myślach przypominają sobie wszystkie rozmowy, które kiedykolwiek odbyli w zasięgu moich uszu.

A to było mnóstwo rozmów.

Za zasłonami, które oddzielają przebieralnię, odór fok robi się jeszcze bardziej intensywny.

- Naprawdę mi przykro - przeprasza Jill. - Zanim przyjdę znowu, na pewno się przebiorę.

- Nie ma sprawy - mówię, usiłując oddychać płytko. - Ale przynajmniej wiesz na pewno, że ten facet cię kocha, jeśli coś takiego wytrzymuje.

- Tak. - Jill uśmiecha się, a jej przeciętnie ładna buzia na chwilę zmienia się w twarz kobiety o zapierającej dech w piersiach urodzie. - Kocha.

A ja czuję ukłucie w sercu. Ale wcale nie zazdrości, chociaż to też chyba wchodzi w grę. Bo problem w tym, że ja chcę mieć to, co ma ona. Nie najbogatszego narzeczonego na Manhattanie, nie przyszłą teściową, której jedynym życiowym celem jest nie dopuścić do tego, by panna młoda mogła się radować w tym najważniejszym dla niej dniu, ale faceta, który by mnie nadal kochał, gdybym nawet śmierdziała foczymi odchodami. I nie tylko nadal mnie kochał, ale też chciał ze mną spędzić resztę swojego życia - chociaż na razie zadowolilibym się odwiedzeniami w Ann Arbor w święta - i byłby gotów na głos to pragnienie poświadczyć w kościele pełnym przyjaciół, członków rodziny i przebiegłych reporterów, którym uda się jakoś wedrzeć do środka.

Bo na razie jestem całkiem pewna, że ja czegoś takiego nie mam.
Ale, hej. Pracuję nad tym.

Rozdział 20

*Filozof wszystkie tak zwane nowinki traktuje jak plotkę,
a tych, którzy je redagują i czytają,
traktuje jak starsze panie przy herbatce.*

Henry David Thoreau (1817-1862),
amerykański filozof, pisarz i przyrodnik

Gdzie byłaś? - pyta Luke, kiedy wreszcie udaje mi się dowlec do domu późnym wieczorem, z naręczem książek w objęciach.

- W bibliotece - mówię. - Przepraszam, dzwoniłeś? Tam nie wolno włączać komórek.

Luke uśmiecha się, podchodzi i odbiera ode mnie ten stos książek.

- *Szkockie tradycje* - czyta ich tytuły. - *Twoje szkockie wesele. Tartan i toasty*. Lizzie, co się dzieje? Wybierasz się na Szmaragdową Wyspę?

- Szmaragdowa jest Irlandia - prostuję, zdejmując szalik. - A ja robię szkocką suknię ślubną dla klientki. I nigdy nie uwierzysz, kim jest ta klientka.

- Pewnie masz rację - potakuję. - Jadłaś już? Odgrzewam w piecyku resztę tego indyka...

- Jestem za bardzo nakręcona, żeby jeść. Ale zgadnij. Zgadnij, kim jest ta klientka.

Luke wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Shari? Będzie miała jakieś lesbijskie wesele?

Piorunuję go wzrokiem.

- Nie. I mówiłam ci, żebyś nie...

- Przypinał jej etykietek, tak wiem - dopowiada Luke. - No dobra. Poddaję się. Kim jest twoja klientka?

Padam na kanapę - gardło naprawdę trochę mnie boli. Cudownie jest wreszcie usiąść. Mówię z triumfem:

- To Jill Higgins.

Luke poszedł do kuchni, żeby nalać nam trochę wina.

- Czy powinienem wiedzieć, kto to jest? - pyta stamtąd.

Jestem zaszokowana.

- Luke! Czy ty w ogóle czytujesz gazety? Albo oglądasz wiadomości?

Ale już i tak znam odpowiedź. Jedyna gazeta, jaką czyta, to „New York Times”, a w telewizji ogląda wyłącznie filmy dokumentalne.

No ale próbuję dalej.

- Wiesz - mówię, kiedy przychodzi, niosąc w obu dłoniach po kieliszku cabernet sauvignon. - To dziewczyna, która pracuje przy fokach w zoo w Central Parku? I uszkodziła sobie kręgosłup, podnosząc jedną z fok, która wymknęła się za ogrodzenie? Bo wiesz, kiedy poziom wody podnosi się za wysoko wskutek opadów deszczu czy śniegu, one potrafią wyskoczyć ze swojego basenu.

Tę ostatnią rewelację jestem w stanie dorzucić, bo Jill poinformowała mnie o tym w przymierzalni, kiedy brałam miarę. Poprosiłam ją wtedy, żeby mi opowiedziała, jak poznała Johna.

- A kiedy była na ostrym dyżurze, spotkała Johna MacDowella, no wiesz, z tych MacDowellów z Manhattanu. Pobierają się i to będzie chyba największy nowojorski ślub stulecia, a Jill poprosiła mnie, żebym przerobiła jej suknię ślubną. - Jestem wciąż tak podekscytowana, że aż podskakuję na kanapie. - Mnie! Ze wszystkich ludzi w Nowym Jorku! Będę szyła ślubną suknię Jill Higgins!

- Wow! - woła Luke i uśmiecha się tym swoim pięknym uśmiechem, ukazując równe zęby. - Lizzie, to wspaniale!

Widzę wyraźnie, że on nie ma pojęcia, czym się tak ekscytuję. Choćby błędnego.

- Nic nie rozumiesz. To sprawa kolosalnej wagi. Widzisz, prasa okropnie ją traktuje, przewalają ją Kranik-Tranik i tak dalej, a wszystko dlatego, że ona nie jest jakąś chuderławą modelką i pracuje przy fokach, i zdarza jej się czasem publicznie rozpłakać, bo oni nie przestają się nad nią znęcać, a jej przyszła teściowa zmusza ją do podpisania jakiegoś kontraktu ślubnego i do włożenia na ślub tej obrzydliwej sukni, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jest paskudna, i ja tę suknię przerobię, i wszystko ułoży się idealnie, a monsieur Henri wreszcie zacznie mieć więcej klien-

tek, a wtedy będzie mógł zacząć mi płacić pensję, a wtedy będę mogła rzucić pracę u taty Chaza i robić to, co kocham, na pełen etat! Czy to nie cudownie?

Luke nadal się uśmiecha - tyle że nie tak szeroko jak przedtem.

- To cudownie - mówi. - Ale...

- Ja wcale nie twierdzę, że to będzie takie łatwe - przerywam, myśląc, że właśnie to chce powiedzieć. - Mamy tylko miesiąc, właściwie już mniej niż miesiąc, żeby skończyć sukienkę, a to będzie mnóstwo pracy. Zwłaszcza jeśli będę musiała zrobić to, co wydaje mi się konieczne, żeby ta sukienka dobrze leżała. Więc pewnie przez jakiś czas nie za często będziesz mnie widywał. Może to zresztą nawet lepiej, skoro i tak czekają cię egzaminy, prawda? Ja rzeczywiście będę musiała pracować do późna, jeśli mamy zdążyć. Ale jeśli nam się uda, Luke, tylko pomyśl! Może monsieur Henri pozwoli mi wtedy prowadzić zakład!? To znaczy on chciał przejść na emeryturę i wyjechać do Francji... A jeśli da mi poprowadzić zakład, nie będzie musiał odsprzedawać firmy ze stratą. A wtedy ja mogłabym zacząć odkładać pieniądze i może, o Boże, niech tak się stanie, dostać jakąś pożyczkę dla małych firm, i wreszcie któregoś dnia wykupić od niego ten zakład, z budynkiem i tak dalej....

Luke ma minę dziwnie tym wszystkim zaskoczoną. Rozumiem, że to sporo informacji naraz. Ale nie mogę przestać myśleć, że mógłby wykrzesać z siebie nieco więcej entuzjazmu.

- Ależ cieszę się - twierdzi, kiedy o tym wspominam głośno (nieco chropawym głosem, ale hej, gardło naprawdę mnie pobolewa). - Tylko że... Nie wiedziałem, że ten pomysł z sukniami ślubnymi traktujesz poważnie.

Wytrzeszczam na niego oczy.

- Luke - mówię. - Czy ciebie nie było tam we Francji, latem, kiedy wszyscy przyjaciele twoich rodziców podchodzili do mnie i mówili, że powinnam otworzyć własny zakład z sukniami ślubnymi?

- Owszem - powiada Luke. - Ale ja myślałem... No wiesz. Że to jest coś, czym zajmowałabyś się na boku. Może potem, kiedy już zrobisz dyplom z zarządzania.

- Dyplom z zarządzania? - skrzeczę. - Wracać do szkoły? Kpisz sobie ze mnie? Przecież ja dopiero co skończyłam studia. Nie, zaraz, ja ich nawet jeszcze nie ukończyłam! Po co w ogóle miałabym chcieć wracać?

- Lizzie, żeby otworzyć własną firmę, potrzeba czegoś więcej niż tylko talentu do przerabiania starych ubrań - tłumaczy Luke suchym tonem.

- Wiem. - Kręcę głową. - Ale właśnie tym się zajmuję u monsieur Henriego. Uczę się od podszewki, jak wygląda prowadzenie własnej firmy. I Luke, moim zdaniem naprawdę jestem już gotowa. To znaczy, żeby przejść na jakiś kolejny poziom. Czy raczej będę gotowa, kiedy okaże się, jak poszło z tą suknią Jill Higgins.

Luke ma powątpiewającą minę.

- Nie wiem, jakim cudem jedna ślubna suknia miałyby o tym decydować.

Gapię się na niego.

- Żartujesz sobie? Czy ty w ogóle słyszałeś o Davidzie i Elizabeth Emanuel?

- Hm - waha się Luke. - Nie.

- Oni zaprojektowali suknię ślubną księżnej Diany - mówię z odrobiną współczucia dla niego. Bo naprawdę. On wie mnóstwo o podstawach biologii, którą studiuje w tym semestrze. Ale o popkulturze nie tak wiele.

No ale nie ma sprawy, bo w końcu chyba lepiej, żeby lekarz wiedział więcej o tym pierwszym?

- I ze względu na tę jedną suknię zyskali niesamowitą renomę - ciągnę. - Oczywiście, nie mam zamiaru porównywać Jill Higgins z księżną Dianą, jeśli chodzi o sławę. Ale wiesz, lokalnie jest naprawdę bardzo znana. A kiedy się rozejdzie, że to my szyliśmy jej suknię, no cóż, to będzie z wielką korzyścią dla zakładu. A ponieważ ona bierze ślub w sylwestra, czasu jest trochę mało i...

- Nie będę cię zbyt często teraz widywał - mówi Luke. - Nie martw się, rozumiem. I masz rację, z powodu egzaminów też nie będę miał za wiele czasu. Nie mówiąc już o tym, że zaledwie za trzy tygodnie jadę do Francji. Jak na parę ludzi mieszkających pod jednym dachem, nie spędzamy ze sobą zbyt wiele czasu.

- Poza tym, kiedy śpimy - zgadzam się. - No ale wiesz. Wtedy nie jesteśmy przytomni.

- Chyba będę się musiał zadowolić tym, co jest. Chociaż myślałem, że uda ci się wykroić trochę tego cennego czasu, żeby pójść ze mną po drzewko.

- Po drzewko? - Wpatruję się w niego przez kilka chwil, zanim dociera do mnie, o co chodzi. - Ach, chcesz ubrać choinkę na święta?

- Owszem - potakuje Luke. - Chociaż nie będziemy mogli spędzić świąt ze sobą, miałem nadzieję, że uda nam się urządzić sobie taką małą.

prywatną uroczystość, zanim oboje rozjedziemy się do naszych rodzin. A żeby to zrobić, musimy mieć choinkę... Zwłaszcza że przygotowałem dla ciebie taki jeden drobiazg i nie mam gdzie go położyć.

Serce mi mięknie.

- Masz dla mnie gwiazdkowy prezent? Ach, Luke! Jesteś taki kochany!

- No cóż - mówi zadowolony z mojej reakcji, ale też, z jakiegoś powodu, zażenowany. - To nie jest właściwie prezent gwiazdkowy, zdałem sobie teraz sprawę, ale raczej inwestycja w twoją przyszłość...

Zaraz... Czy on właśnie powiedział to, co mi się wydaje, że powiedział?

„Inwestycja w moją przyszłość”?

- No, chodź. - Luke podrywa się raptownie i idzie do kuchni. - Musisz coś zjeść. Masz zachrypnięty głos. Nie chcę, żebyś złapała jakieś choróbko, masz przecież suknię ślubną do zaprojektowania!

Rozdział 2 1

Faktem jest, że gdyby wszyscy ludzie wiedzieli, co inni o nich mówią na świecie nie znalazłoby się czworga przyjaciół.

Blaise Pascal (1623-1662), francuski matematyk

Inwestycja w przyszłość? - W głosie Shari w słuchawce telefonu słychać powątpiewanie. - Ale to może chodzić o cokolwiek. O **akcje** na giełdzie. O jedną z tych monet upamiętniających World Trade Center, bitych przez Mennicę Franklina.

- Shari... - W głowie mi się nie mieści, że ona jest taka tępa. - No daj spokój. Przecież Luke nie kupi mi niczego w Mennicy Franklina. To pierścionek zaręczynowy. Na pewno. On chce wynagrodzić mi to, że nie jedzie ze mną do domu poznać moich rodziców.

- Kupując ci pierścionek zaręczynowy?

- Tak. Bo czy mógłby mi kupić jakiś lepszy prezent przed moją wizytą w domu? - Aż mi się lekko w głowie kręci na myśl o tym wszystkim. - To tak, jakby nie mogąc tam być, chciał, żeby zastąpił go pierścionek i żeby wszyscy zobaczyli, że łączy nas coś poważnego. Och, czekaj. - Naciskam klawisz oczekiwania, a potem klawisz drugiej linii. - Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc?

Łączę rozmowę z jednym z młodszych partnerów, a potem znów naciskam klawisz pierwszej linii.

- To przecież logiczne. Chodzimy ze sobą już pół roku. Od czterech miesięcy ze sobą mieszkamy. Przecież to nie tak, że oświadczyły byśmy zupełnie nie na miejscu.

- Sama nie wiem, Lizzie. - Brzmi to tak, jakby Shari kręciła głową. - Według Chaza Luke jest takim człowiekiem, który... Hm, ma kłopoty z podejmowaniem decyzji.

- No cóż, może on się zmienił pod moim wpływem. - W tym momencie przypominam sobie niezbyt miłe ostrzeżenie Chaza sprzed paru miesięcy. Wydaje mi się jednak, że Chaz był po prostu zazdrosny, że Luke ma dziewczynę, która woli go od swojej szefowej.

- Lizzie. - Shari nie daje za wygraną. - Ludzie się nie zmieniają. Wiesz o tym.

- Zmieniają się troszeczkę. Przecież popatrz, kiedy zaczynałaś chodzić z Chazem, on miał ten dziwny zwyczaj, że codziennie jadł na obiad kotlety wieprzowe z ryżem? Ty go totalnie tego oduczyłaś.

- Bo mu powiedziałam, że jeśli od czasu do czasu nie zjemy czegoś innego, to przestanę z nim sypiać - mówi Shari. - Ale kiedy mnie nie ma, on nadal jada tylko to.

- Och! - wzdycha siedząca obok mnie Tiffany znad magazynu z modą ślubną, który właśnie czyta. Bo dla inspiracji parę egzemplarzy przyniosłam do pracy. - Kiedy ty i Luke będziecie się pobierać, totalnie powinnaś zadbać, żeby rzecznik prasowy twojej firmy rozesłał notatkę prasową, no wiesz, do „Vogue'a" i „Town and Country", a oni wyślą na twój ślub reporterów i to ci zapewni jeszcze większą klientelę. I darmo-
wą reklamę.

Gapię się na nią. Jak na taką słodką idiotkę, Tiffany, która kiedyś zamykając kancelarię po dniu pracy, zapomniała zamknąć na klucz drzwi biura, bywa całkiem bystra.

- Masz rację - mówię do niej. - Masz całkowitą rację.

- Słuchaj! Czy ty mówisz do mnie? Czy do tej siedzącej obok ciebie laski, która zamiast mózgu ma lakier do włosów?

- Daj spokój - uspokajam Shari. - Przesadzasz.

- No cóż, staram się, jak mogę - odcina się Shari. - Ale serio, Lizzie. Wiem, że kochasz Luke'a i tak dalej. Ale czy ty naprawdę widzisz siebie z nim za pięćdziesiąt lat od teraz? A nawet za pięć?

- Owszem. - Jestem zdziwiona tym pytaniem. - Oczywiście, że tak. Dlaczego? Czego mu brakuje? - Brzęczy druga linia. - Choroba. Zaczekaj. - Naciskam klawisz drugiej linii. - Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc? Z panem Flynnem? Momencik.

Sekundę później wracam do Shari.

- Słuchaj... Dlaczego tak mówisz, jakbyśmy z Lukiem nie mieli przed sobą żadnej przyszłości?

- Szczerze mówiąc, Lizzie... - zaczyna Shari - Co wy dwoje macie ze sobą wspólnego? Poza seksem?

- Mnóstwo rzeczy - odpowiadam. - Na przykład oboje bardzo lubimy Nowy Jork. Oboje lubimy chateau Mirac. Oboje lubimy wino. I Renoira!

- Lizzie. Takie rzeczy wszyscy lubią.

- No i on chce zostać lekarzem - dodaje. - I pomagać ratować ludziom życie. A ja chcę zostać certyfikowaną specjalistką od sukien ślubnych. I pomagać pannom młodym wyglądać pięknie. Przecież to prawie tak, jakbyśmy byli jedną i tą samą osobą.

- Ty sobie robisz z tego żarty. A ja mówię poważnie. Zdałam sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których Chaz i ja do siebie nie pasowaliśmy, a Pat i ja pasujemy do siebie tak dobrze, jest ta nasza wzajemna intelektualna kompatybilność. A moim zdaniem nie da się powiedzieć tego samego o tobie i Luke'u.

Czuję, że w oczach pieką mnie łzy.

- Uważasz, że on stoi ode mnie wyżej intelektualnie, tak? Tylko dlatego, że on lubi filmy dokumentalne, a ja lubię *Project Runway*!

- Nie. - Shari się irytuje. - Mam na myśli to, że on lubi filmy dokumentalne, a ty lubisz *Project Runway*, ale w efekcie oglądasz wyłącznie filmy dokumentalne. Bo tak bardzo się starasz o to, żeby on ciebie lubił, że robisz wszystko, czego chce on. Powinnaś powiedzieć mu, co naprawdę chcesz robić. Albo oglądać.

- To nieprawda! - wołam. - Bardzo często oglądamy programy, które ja lubię!

- Doprawdy? - Shari śmieje się z nutką goryczy. - Nie miałam pojęcia, że jesteś taką fanką programu *Nightline*. Zawsze mi się wydawało, że wolisz show Davida Lettermana. Ale jeśli *Nightline* naprawdę tak cię kręci...

- *Nightline* to naprawdę świetny program - bronię się. - Luke ogląda go, żeby być na bieżąco ze światowymi wydarzeniami, bo często nie zdąża do domu na wieczorne wiadomości, tak długo siedzi w bibliotece i się uczy...

- Lizzie, spójrz prawdzie w oczy. Uważasz, że znalazłaś swojego przystojnego księcia i to dosłownie. Ale czy ty naprawdę widzisz siebie jako żonę księcia? Bo ja nie jestem pewna, czy myślisz o sobie w ten sposób. I mam wrażenie, że Luke też tak nie myśli.

- A co to niby miało znaczyć? - pytam. - Totalnie się widzę w roli żony księcia! Tylko dlatego, że sama sobie szyję ubrania, zamiast czekać, aż jakaś dobra chrzestna wróżka pojawi się i obsypie mnie czarodziejskim proszkiem.

- Elizabeth? - Dopiero teraz zauważam, że przy biurku recepcji stoi Roberta. I że minę ma nie za szczęśliwą.

- Hm - mówię do Shari. - Muszę spadać, cześć.

Odkładam słuchawkę.

- Cześć, Roberto - Siedząca obok mnie Tiffany zdjęła nogi z biurka i udaje osobę zajętą; otworzyła szufladę i ustawia buteleczki z lakierami do paznokci według kolorów.

Spodziewam się ostrzeżenia na temat prowadzenia prywatnych rozmów przez telefon w czasie pracy i ze zdziwieniem słyszę z ust Roberty:

- Tiffany, już niemal druga. Mogłabyś zastąpić Lizzie na chwilę? Chciałam z nią zamienić parę słów na osobności.

- Jasne. - Tiffany rzuca mi spojrzenie mówiące: „Ale wpadłaś!” A ja natychmiast zaczynam czuć, że ściska mnie coś w żołądku.

Idę za Robertą do jej biura, świadoma współczującego spojrzenia, jakie rzuca mi Daryl (operator sprzętu kopiująco-faksującego). Najwyraźniej on też uważa, że podpadłam.

A co mi tam! Jeśli firma Pendergast, Loughlin i Flynn będzie chciała mnie zwolnić za jeden telefon w sprawach osobistych, to wszyscy pozostali też powinni wylecieć! Wystarczająco często słyszałam, jak Roberta gada przez telefon ze swoim mężem!

O Boże, nie pozwól, żeby mnie wywalili z pracy... Proszę...

Chyba zaraz się porzygam.

Dopiero kiedy wchodzę do biura Roberty i widzę na jej biurku otwarty egzemplarz „New York Post”, gdzie na środku drugiej strony jest jakieś duże zdjęcie, dociera do mnie, że może wcale nie chodzić o to, że ze służbowego telefonu dzwonię w prywatnych sprawach. Bo chociaż zdjęcie jest do góry nogami, mogę odczytać podpis: „Nowa tajemnicza przyjaciółka Kranika-Tranika”. A pod nagłówkiem widzę siebie, kiedy odprowadzam Jill do limuzyny z Town Car po wczorajszej wieczornej przymiarce.

Żołądek ściska mi się teraz na amen.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - mówi Roberta, unosząc gazetę. - Ale to chyba ty?

Przełykam ślinę. Bołące gardło, cudownie uleczone uwagą Luke'a o „inwestycji w moją przyszłość”, znów daje mi się we znaki.

- Hm - mruczę. - Nie.

Poważnie, nie mam pojęcia, skąd mi się wzięło to kłamstwo. Ale kiedy raz mi się już wyrwało, przecież go nie cofnę.

- Lizzie - mówi Roberta. - Przecież widać, że to ty. To ta sama sukienka, którą miałas wczoraj w pracy. Nie wmówisz mi, że na Manhattanie jest druga taka sama.

- Na pewno jest ich mnóstwo - upieram się. I tym razem wcale nie kłamię. - Alfred Shaheen był bardzo płodnym projektantem.

- Lizzie. - Roberta siada za swoim biurkiem. - To jest bardzo poważna sprawa. Widziałam wczoraj, jak rozmawiałas z Jill Higgins w damskiej łazience. A potem, z pewnością gdzieś się z nią spotkałas po pracy. Wiesz, że firma niezwykle poważnie traktuje dyskrecję w sprawach dotyczących naszych klientów. Więc zapytam cię jeszcze raz. Co robiłaś wczoraj z Jill Higgins i, jeśli wierzyć temu zdjęciu, z jej narzeczonym, Johnem MacDowellem?

Z trudem przełykam. Żałuję, że nie mam ze sobą pastylek na gardło. I że tak okropnie potrzebuję tej pracy.

- Nie mogę ci powiedzieć - wykrztuszam.

Roberta unosi jedną brew.

- Słucham?

- Nie mogę ci powiedzieć - powtarzam. - Ale nie ma to absolutnie nic wspólnego z firmą. Poważnie. To ma coś wspólnego z zupełnie inną branżą biznesu. Ale to jest branża również przestrzegająca zasad dyskrecji. Naprawdę nie wolno mi ich złamać.

Roberta unosi również drugą brew.

- Lizzie. Chcesz mi powiedzieć, że na tym zdjęciu jesteś ty?

- Nie mogę tego ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. - Powtarzam frazę, którą Roberta kazała mi podawać, jeśli do kancelarii będą dzwonić jacyś dziennikarze, prosząc o informacje o naszych klientach.

- Lizzie. - Roberta wcale nie ma rozbawionej miny. - To jest bardzo poważna sprawa. Jeśli w jakiś sposób nagabujesz pannę Higgins czy w jakikolwiek sposób jej się narzucasz...

- Niczego takiego nie robię! - wołam, szczerze zaskoczona. - Ona sama do mnie przyszła!

- Po co? - pyta Roberta. - W jaką inną działalność zawodową jesteś zaangażowana, Lizzie?

- Gdybym ci to powiedziała, od razu domyśliłabyś się, po co do mnie przyszła. A ona nie upoważniła mnie, żeby o tym kogokolwiek informować. Więc nie mogę odpowiedzieć. Przykro mi, Roberto.

W głowie mi się nie mieści, że to robię. To znaczy, że raz na odmiannę nie zdradzam czyjegoś sekretu. To prawdziwa oznaka mojej większej dojrzałości. Naprawdę powinnam to jakoś uczcić.

Szkoda tylko, że tak bardzo chce mi się rzygać.

- Jeśli chcesz, możesz mnie wyrzucić - ciągnę. - Ale przysięgam ci jedno, nie nagabuję Jill. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do niej i zapytaj. Ona ci to powie.

- To teraz jesteś z nią już po imieniu? - mówi Roberta z wyraźną ironią.

- Powiedziała, że mam się tak do niej zwracać - odpowiadam z urazą. - Owszem.

Roberta opuszcza wzrok na zdjęcie. Wydaje się, że nie wie, co zrobić.

- To zupełnie niezwykła sytuacja - stwierdza. - Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nie dzieje się nic nielegalnego.

- Mam taką nadzieję! - woła Roberta. - Będziesz się z nią jeszcze widziała?

- Tak - mówię stanowczo.

- No cóż. - Roberta kręci głową. - W takim razie mogę powiedzieć tylko jedno: uważaj, żeby twoje zdjęcie nie trafiło już do „Post”. Bo jeśli jeden z partnerów to zobaczy i cię rozpozna...

- Nie miałam pojęcia, że tam był jakiś fotoreporter - mówię. - Ale na pewno w przyszłości będę ostrożniejsza. Czy to wszystko? Mogę już iść?

Roberta jest zaskoczona.

- Widzę, że bardzo śpieszysz się do wyjścia. Zakupy świąteczne?

- Nie - mówię. - Muszę zająć się tą sprawą, którą załatwiam dla Jill.

Roberta się garbi.

- Dobrze, ale czuj się ostrzeżona, Lizzie. Ta firma szczeni się nieposzlakowaną opinią. Odrobina niewłaściwego zachowania z twojej strony i znikasz stąd. Jasne?

- Jak słońce - odpowiadam.

Roberta odwraca wzrok, pozwalając mi odejść...

...A ja pędem wypadam z jej gabinetu. Biegnę do biurka recepcji, zabieram płaszcz i torebkę, i ignoruję szept Daryla: „Hej, co tym razem przeskrobałaś?” oraz Tiffany: „O Boże, wszystko w porządku? Masz taką minę, jakby ktoś ci powiedział, że twoja torebka Prądy to podróbka”.

- Wszystko w porządku - burczę. - Do zobaczenia jutro.

- Słuchaj no - syczy Tiffany. - Zadzwoń do mnie i zdradź mi, co ci powiedziała. Zbieram historie o Robercie, żeby je umieścić na stronie Smoking Gun.

Macham do niej ręką i szybko wychodzę, a serce wali mi w piersi tak mocno, że boję się, że wyskoczy i rąbnie w jakąś ścianę. Kiedy otwierają się drzwi windy, wpadam do środka, nawet nie patrząc, czy ktoś nią jeszcze jedzie i walę w guzik parteru. Dopiero kiedy słyszę koło siebie czyjś głos, mówiący: „Witaj, nieznajoma”, podnoszę oczy i widzę, że w windzie jest ze mną Chaz.

- O mój Boże! - wołam. - Jechałeś na górę do taty? Czemu nic nie powiedziałeś? Pozwoliłabym ci wysiąść... O nie, i jeszcze teraz jedziesz z powrotem na dół. Przepraszam!

- Wyluzuj - mówi Chaz. - Nie jechałem na górę do taty. Jechałem do ciebie.

- Do mnie? - Jestem zdumiona.

- Miałem nadzieję, że dasz się namówić na drinka. I że wyciągnę z ciebie różne informacje na temat mojej byłej, które pozwolą mi odbudować moje męskie ego i zacząć się na nowo uczyć kochać.

Zagryzam dolną wargę.

- Chaz, naprawdę bardzo się staram nie plotkować o ludziach za ich plecami. Dla mnie to wielka odmiana. W przeszłości zawsze ładowałam się w tyle kłopotów dlatego, że za dużo gadam, teraz próbuję się zmienić. Bo mimo tego, co twierdzą niektórzy, ludzie potrafią się zmieniać.

- Jasne, że tak - zgadza się Chaz. Winda zjechała już na parter. - Chodź. Wezmę cię na piwo do Honey's.

Mam już powiedzieć, że nie mogę. Wiem, że Chaz cierpi, aleja mam suknię do zaprojektowania. Mam już powiedzieć: „Muszę iść do zakładu. Mamy to wielkie zlecenie, o którym też nie wolno mi mówić, i jestem w okropnym niedoczasie, więc spotkamy się kiedy indziej, dobra?”

Ale potem zerkam na jego twarz i widzę, że już od paru dni się nie golił i że, o ile się nie mylę, nie zmienił czapeczki bejsbolowej.

I dlatego niebawem siedzę naprzeciwko niego w jednym z obitych buraczkowym winylem boksów w Honey's, przed sobą mając zimną colę light, i słucham, jak karzeł wyśpiewuje *Dancing Queen*, co nawet nie jest jakimś specjalnie przykrym doświadczeniem.

- Chciałbym się tylko czegoś dowiedzieć - mówi Chaz znad swojej butelki piwa. - Wiem, że to zabrzmia głupio, ale... To znaczy... Czy twoim zdaniem zrobiłem coś, co ją zniechęciło do facetów?

- Nic podobnego, Chaz. Zaufaj mi. Niczego takiego nie zrobiłeś. To jest dokładnie tak, jak wyjaśniła ci Shari. Po prostu zakochała się w kimś innym. I tak się akurat złożyło, że ta osoba to kobieta. To się niczym nie

różni od sytuacji, w której poznałaby jakiegoś faceta i zakochała w nim, zamiast w tobie.

- Hm. - Chaz nie jest przekonany. - To jednak coś innego.

- Nie. Jedno i drugie to miłość. A miłość wyprawia z ludźmi dziwne rzeczy. Nie wolno ci obwiniać samego siebie. Wiem, że Shari ciebie nie obwinia. Ona nadal cię kocha. Mówiła ci to, prawda?

- Wtedy, kiedy wróciłem do domu z biblioteki i zastałem ją na parkowaniu, a ona mnie poinformowała, że zostawia mnie dla innej kobiety i spytała, czy chcę zamówić chińszczyznę do domu, przy której sobie o tym wszystkim porozmawiamy? - Chaz się krzywi. - Wspomniała o tym, owszem.

- Bo to prawda. Ona nadal cię kocha. Tyle że wiesz. Już nie w taki sposób. To się czasem zdarza, Chaz.

- Więc właściwie mówisz - wnioskuje Chaz - że to do pomyślenia, że przy jakiejś okazji sam mógłbym się zakochać w jakimś facecie?

- W zasadzie tak - potwierdzam. Chociaż, tak szczerze, nie umiałabym sobie wyobrazić Chaza w homoseksualnym związku. Czy raczej nie wyobrażam sobie żadnego z gejów, których znam (i z którymi się umawiałam), zakochujących się w Chazie, biorąc pod uwagę, że jego wycucie mody jest zerowe, a przy tym wykazuje przerażające upodobanie do uniwersyteckiej koszykówki, natomiast żadnych talentów w zakresie wystroju wnętrz. Już o wiele łatwiej byłoby mi wyobrazić sobie Luke'a tworzącego szczęśliwe stadło z innym facetem.

- A tobie się zdarzyło? - pyta Chaz.

- Czy co mi się zdarzyło? - Zerkam na zegar nad barem. Naprawdę muszę się zbierać do zakładu. Mam mniej więcej z milion pomysłów co do sukni Jill i palce mnie świerzbią, żeby już zacząć je realizować.

- Czy zakochałaś się kiedyś w kobiecie?

- No cóż - mówię powoli. - W moim życiu było mnóstwo kobiet, które podziwiałam, do których chciałam być podobna i które chciałam poznać lepiej. Ale nie od strony seksualnej.

Chaz kciukiem zdrapuje naklejkę ze swojej butelki piwa.

- A ty i Shari nigdy... hm... nie eksperymentowałyście?

- Chaz! - Rzucam w niego swoją podstawką pod napój. - Nie! Uch! Wystarczy tego, wychodzę...

- No co?! - woła, naprawdę przestraszony i łapie mnie za ramię, zanim zdążyłam na dobre wyjść z boksu. - Ja tylko spytałam! Myślałam, że może wszystkie dziewczyny to robią...

- No cóż, nie robią - informuję go. - Nie żeby było w tym coś złego. A teraz puść mnie. Naprawdę muszę iść do pracy.
- Właśnie z niej wyszłaś - zauważa.
- Do mojej drugiej pracy - wyjaśniam. - W zakładzie z sukniami ślubnymi. Mamy duże nowe zlecenie i chcę się tym zająć.
- Lubisz tę pracę przy sukniach ślubnych, prawda? - pyta, kiedy na barowej scenie karzeł przerzuca się z Abby na małą Ashley Simpson i oświadcza, że mimo tego, co wszyscy myślą, wcale nie ukradł mi chłopaka. - Wierzysz w to mocno... W te szczęśliwe zakończenia, w sypanie ryżem, w to wszystko...
- Owszem. Oczywiście, że wierzę. I wiem, że teraz jest ci smutno, Chaz, do czego masz zresztą pełne prawo. Ale któregoś dnia ciebie też to spotka, obiecuję. Zupełnie tak, jak spotka i mnie. I to może szybciej, niż się to komukolwiek wydaje.
- Mam nadzieję, że nie liczysz nadal na to, że uda ci się to z panem Płochliwe Leśne Stworzonko - mówi Chaz.
- Patrzę na niego.
- A dlaczego nie? - A potem, kiedy widzę, że przewraca oczami, dodaję: - Och, przestań, Chaz. Tylko nie ta sama gadanina o koniach. Dla twojej informacji, Luke'owi na zajęciach idzie bardzo dobrze, a co więcej, mam wrażenie, że dojrzał do tego, żeby nasz związek jeszcze bardziej scementować.
- Chaz unosi brwi.
- Jakiś trójkącik?
- Uderzam go w sam środek bejsbolowej czapeczki.
- Kupił dla mnie prezent na gwiazdkę - mówię. - I ten prezent ma być inwestycją w moją przyszłość.
- Chaz marszczy brwi.
- Ale co to niby znaczy?
- No, a co to może znaczyć? To na pewno pierścionek zaręczynowy.
- Chaz się chmurzy.
- Nic mi nie powiedział, że kupuje jakiś pierścionek.
- A dlaczego miałyby ci o tym mówić? Biorąc pod uwagę, że zdaje sobie sprawę, przez co ostatnio przechodziłeś. Czy ty naprawdę sądzisz, że będzie się przechwalał zaręczynami ze mną, kiedy wie, że twoja dziewczyna właśnie cię zostawiła dla innej kobiety?
- Dzięki - mówi Chaz. - Naprawdę wiesz, jak facetowi poprawić humor.

- No cóż, sam też nie jesteś zbyt miły z tą całą gadaniną o Luke'u, który nie jest koniem, na którego stawiałbyś w wyścigach. Ale pewnie już zmieniłeś zdanie na ten temat, co?

- Mam powiedzieć prawdę? - Chaz kręci głową. - Nie. Inwestycja w twoją przyszłość może oznaczać cokolwiek. Niekoniecznie pierścienek. Ja bym na twoim miejscu nie robił sobie nadziei, mała. No bo, nie obraż się, ale wy dwoje nawet świąt razem nie spędzacie. A co dopiero mówić o tym twoim „i żyli długo i szczęśliwie”?

- Chaz. - Patrzę mu przez chwilę prosto w oczy, a potem wstaję i wychodzę z boksu. - Shari cię zraniła. Szczerze mówiąc, jest mi trudno przyjąć do wiadomości, że to zrobiła, chociaż wiem, że nie było jej łatwo podjąć decyzji i że czuje się z tym wszystkim dość paskudnie. Ale serio. To, że twój związek się rozleciał, nie znaczy jeszcze, że wszystkie inne związki są skazane na porażkę. Po prostu musisz pozbierać się, znaleźć jakąś ładną doktorantkę filozofii, z którą będziesz mógł pogadać sobie o Kancie czy kimś takim, i od razu spojrzysz na świat pogodniej. Na pewno.

Chaz wpatruje się we mnie.

- Któregoś dnia naprawdę będziesz musiała mi opisać bardziej szczegółowo, jak się żyje na tej dziwnej planecie, którą zamieszkujesz. Bo z opisu brzmi bardzo ciekawie i chciałbym ją kiedyś odwiedzić.

Uśmiecham się do niego kwaśno, a w tej samej chwili karzeł rozpoczyna swój popisowy numer, czyli *Nie płacz tak głośno*.

Mam nadzieję, że Chazowi ta piosenka da trochę do myślenia.

Rozdział 22

Mysła, lecz nie śmiem mówić.

William Szekspir (1564-1616),
angielski poeta i dramatopisarz

Niedługo to trwało, zanim prasa odkryła, gdzie Jill Higgins spotyka się ze swoją nową tajemniczą przyjaciółką - chociaż udało mi się uniknąć znalezienia w brukowcach własnego zdjęcia; po prostu już jej więcej nie odprowadzam do limuzyny.

Nie wiadomo, kiedy po całym mieście roznosi się informacja, że Jill Higgins, panna młoda stulecia, zatrudniła monsieur Henriego jako swojego osobistego specjalistę do renowacji sukni ślubnej. Zanim ktokolwiek się zorientował, musieliśmy zacząć odpierać hordy panien młodych, które rzuciły się na nasz mały zakładzik, domagając się, żebyśmy zajęli się również ich sukniami. Jean-Paul i Jean-Pierre musieli zostać zatrudnieni jako nasi portierzy i ochroniarze; mieli nie wpuszczać do środka reporterów, za to wprowadzać klientki.

Jeśli państwo Henri żywili do mnie jeszcze jakiekolwiek pretensje za to, że nie dałam im znać, że rozumiem francuski, to zniknęły one, kiedy zdali sobie sprawę, że umawiają tyle spotkań ze zdesperowanymi narzeczonymi, że muszą sobie kupić kalendarz obejmujący dwa następne lata.

Nie, żeby któreś z państwa Henrich w ogóle dotknęło palcem sukni Jill, odkąd ją tu przyniosła. Monsieur Henri po tym, jak mu powiedziałam o swoim planie, stwierdził, że tego się nijak nie da zrobić i że matka Johna MacDowella zaskarży mnie do sądu.

Ale jego żona spokojnym gestem wyjęła mu suknię z rąk i oddała ją mnie z łagodnym:

- Jean. Pozwól jej pracować.

Co doceniani. Zwłaszcza że pamiętam tę uwagę o „głupiej”. Najwyraźniej zmieniła zdanie i teraz suknia - suknia Jill - wisi na specjalnym wieszaku na zapleczu, gdzie codziennie ściagam prześcieradło, jakim ją okrywam, patrzę na to, co zrobiłam poprzedniego dnia, i myślę o tym, co zdążę zrobić przez następnych parę godzin, a potem wpadam w panikę i zabieram się do roboty.

Mówią, że tuż przed świtem jest zawsze najciemniej. Pracowałam już nad wystarczającą liczbą projektów, żeby wiedzieć, jak wiele prawdy tkwi w tym powiedzeniu. Na tydzień przez świętami - obiecałam, że suknię Jill wykończę na dzień przed Wigilią, żeby jeszcze został czas na jakieś ostatecznie drobne przeróbki tuż przed sylwestrem - pewna byłam, że nie zdążę zrobić wszystkiego na czas... Albo, co gorsza, skończę, ale suknia będzie wyglądała okropnie. To nie żart, przerobić eskę na ikselkę. Monsieur Henri miał rację, mówiąc, że taka próba jest skazana na niepowodzenie.

Ale jednak tak nie było. To znaczy, z tym niepowodzeniem. Okazało się, że to tylko jest bardzo, bardzo trudne. Trzeba było całych godzin prucia szwów, od czego bolał mnie kręgosłup, jeszcze większej liczby godzin szycia i bardzo, bardzo, bardzo wielu coli light. Siedziałam w zakładzie od wpół do trzeciej po południu - po dyżurze w Pendergast, Loughlin i Flynn, nadal moim jedynym płatnym zajęciu - aż do północy, a czasem nawet do pierwszej, po czym wlokłam się do domu, padałam na łóżko i budziłam się rano o szóstej trzydzięci, żeby wziąć prysznic, ubrać się i wracać do kancelarii. Prawie już nie widywałam własnego chłopaka, a co dopiero mówić o znajomych. Ale to nic nie szkodzi, bo Luke tak samo pilnie zakuwał do egzaminów. Jeśli miał skończyć swój program przygotowawczy w rok, to musiał w każdym semestrze zaliczyć jak największą liczbę zajęć, a to oznaczało cztery egzaminy do zdania, które miał teraz na głowie - taki uczelniany odpowiednik przerobienia sukni w rozmiarze S na suknię XL.

Ale chociaż prawie wcale nie widywałam swojego chłopaka przez tych parę tygodni, wystarczająco często widziałam pudło, które położył pod naszą maleńką choinką, kupioną przez niego na ulicy - w komplecie z miniaturowym stojakiem - i ustawioną w kącie salonu, żeby owinięty wokół niej sznur światełek widać było z okien wychodzących na Piątą Aleję. Zobaczyłam je (to znaczy pudło) w tej samej minucie, w której wróciłam do domu wieczorem po pewnym długim dniu męczącego

borykania się z tartanem przy sukni Jill. Trochę trudno byłoby go nie zauważyć - znaczy, znów mówię o tym pudle.

Bo jest wielkie.

Serio, to pudło ma rozmiary miniaturowego kucyka. No a już co najmniej cocker-spaniela. Jest niemal większe niż samo drzewko. To zdecydowanie nie jest pudełko z pierścionkiem.

Ale, jak powiedziała Tiffany, kiedy jej o tym wspomniałam:

- Aha, może on jest jednym z tych...

- Jednym z jakich?- spytałam.

- No wiesz, tych facetów, którzy nie lubią, kiedy ich dziewczyna domyśla się, co dostanie, więc pakują prezent w milion pudełek, jedno w drugim, żeby nie mogła potrząsnąć paczką i zgadnąć.

Oczywiście to idealnie logiczne. Luke doskonale wie, że nie potrafię dotrzymać sekretów. (Chociaż naprawdę coraz lepiej mi idzie od przyjazdu do Nowego Jorku. Serio, uważam, że się wprawiam). A od niezdolności do zachowania sekretu już krótka droga do niezdolności do powstrzymania się od sprawdzania, co się dostanie na Gwiazdkę. To prawda, że ja już przez przypadek naruszyłam srebrną folię, w którą owinięte jest pudło, zbyt blisko przejeżdżając odkurzaczem. Ale udało mi się powstrzymać przed naddzieraniem tej folii dalej.

Wiem, że Tiffany ma rację i że Luke opakował ten prezent w masę pudełek. To przecież takie do niego podobne.

I dlatego z eleganckim skórzanym portfelem, który kupiłam mu w Coach, zrobiłam to samo. O wiele mniejsze pudełko z portfelem schowałam w o wiele większe pudło, które dała mi pani Erickson. Trzymała w nim kiedyś liczne butle płynu do mycia naczyń, kupione dwa lata temu podczas wyprawy do Sam's Club w New Jersey. Aż tyle czasu jej zajęło zużycie tego zapasu.

Mam tylko nadzieję, że Luke nie będzie próbował wachać swojego prezentu. Bo jeśli to zrobi, czeka go potężna dawka oparów płynu Dawn.

Zanim się obejrzałam, już jutro jest Wigilia, a ja denerwuję się jak dzieciak, który po raz pierwszy ma zobaczyć w centrum handlowym Mikołaja. Ale nie ze względu na prezent Luke'a dla mnie - chociaż to mnie też przyprawia o wyraźne drżenie serca - ani na fakt, że spędzimy ponad tydzień z daleka od siebie, w dwóch różnych częściach świata, ale ze względu na to, co Jill powie na tę suknię. Bo - jak to zwykle bywa - wreszcie kilka dni temu udało mi się ją poskładać w jakąś całość, a te-

raz... No cóż. Nawet madame Henri popatrzyła na nią, na mnie, a potem powiedziała poważnym tonem:

- *Bien. Tres bien.*

Co w jej ustach jest prawdziwą pochwałą. Ale jeszcze bardziej znacząca była opinia jej męża, na którą złożyło się pocieranie podbródka... Długie chodzenie po pokoju... Dwa czy trzy podchwytliwe pytania na temat kokard z tartanu... A wreszcie kiwnięcie głową oraz:

- *Parfait.*

Nie lody, tylko że „idealnie”.

No ale to nie są krytycy, których opinii najbardziej się obawiam. Nadal trzeba, żeby suknia spodobała się Jill.

Pokazuje się wreszcie godzinę po zamknięciem zakładu - kiedy wygoniliśmy już ostatnią klientkę, zaciągnęliśmy story i wyłączyliśmy światła w pomieszczeniu od frontu, żeby to wyglądało tak, jakby wszyscy już poszli do domu. Co, oczywiście, miało zbić z tropu paparazzich.

A potem, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach, dokładnie o siódmej wieczorem, madame Henri poszła szybko otworzyć drzwi, nadal nie zapalając żadnych świateł. Do środka weszły dwie ledwie widoczne postaci. Najpierw wydawało mi się, że Jill przyprowadziła narzeczonego. Zirykowałam się, bo przecież wszyscy wiedzą, że to przynosi pecha, jeśli pan młody będzie oglądał pannę młodą w sukni przed ślubem.

Ale potem przypominam sobie, że na każdą przymiarkę Jill przychodziła sama, a była tak przybita, i to nie tylko dziennikarzami, ale i własną towarzyską izolacją, bo jej cała rodzina mieszka daleko, a przyjaciółki o sukniach ślubnych wiedzą mniej więcej tyle samo, co ona. I zaczynam się cieszyć, że wzięła ze sobą Johna, bo naprawdę robił, co w jego mocy, żeby jej to wszystko ułatwić. Choćby to, że ostatnio interweniował w czasie negocjacji przedślubnego kontraktu i zażądał, żeby Jill została w nim potraktowana uczciwie, grożąc, że w przeciwnym razie skreśli własnych rodziców z listy gości zaproszonych na ślub. Odważny ruch, który idealnie poskutkowało, a pana Pendergasta wprowadził w taką radość, że zamówił dla wszystkich dodatkową kolejkę szampana w czasie dorocznej firmowej kolacji gwiazdkowej w Montrachet (z której urwałam się wcześniej, żeby wrócić do pracy nad suknią Jill, i w ten sposób ominęła mnie główna atrakcja wieczoru: Roberta tak się upiła, że przyłapał ją na całowaniu się z Darylem, operatorem sprzętu kopiującego-faksującego, w szatni. Niestety, przydybała ją Tiffany, która uwieczniła

zdarzenie na zdjęciach zrobionych komórką, a potem wszystkim nam je porzysłała mailami).

Więc kiedy madame Henri wreszcie uznaje, że można już bezpiecznie włączyć światła, jestem zdumiona, że osobą, którą Jill ze sobą przyprowadziła, nie jest wcale lojalny, kochany John, ale starsza pani - niemal dokładna, tylko starsza kopia Jill - którą Jill przedstawia nam jako swoją mamę.

A po zdziwieniu czuję zaraz przypływ ulgi. Tak, Jill ma nareszcie przy sobie jakiegoś sprzymierzeńca - to znaczy poza mną i swoim przyszłym mężem.

- Lizzie, witaj - mówi pani Higgins, ściskając moją dłoń równie serdecznym i mocnym gestem, takim jak u jej córki, jakby nieświadoma własnej siły, która w przypadku Jill jest dość znacząca, biorąc pod uwagę, że regularnie dźwiga w górę ważące po pięćdziesiąt kilogramów foki. - Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Jill mi wiele o tobie mówiła. Twierdzi, że praktycznie uratowałaś jej życie... I że bardzo szczerze podzieliłaś się z nią tymi... Co to było, kochanie, przypomnij mi? Ciastka z lukrem?

- Rurki z kremem - mówi Jill zażenowana. - Przepraszam, musiałam mamie opowiedzieć o tym naszym pierwszym spotkaniu, w łazience...

- Och, jasne. - Uśmiecham się. - Mamy ich trochę na zapleczu, jeśli będziesz miała ochotę... - Przy tej całej upiornej pracy, jaką wykonałam, dieta ubogowęglowodanowa kompletnie zeszała na boczny tor. Nie mam pojęcia, ile ostatnio przybrałam na wadze, ale na pewno sporo. A mimo to jestem tak podekscytowana suknią Jill, że trudno mi się przejmować.

- Nie, nie trzeba. - Jill się śmieje. - Wszystko okay. A zatem, jesteś gotowa?

- Czekam tylko na ciebie. Idziemy.

I zabieram ją na zaplecze, gdy tymczasem państwo Henri podsuwają pani Higgins krzesło i proponują szampana.

Palce mi drżą, kiedy wkładam Jill przez głowę bogate fałdy w kolorze kości słoniowej, ale próbuję pokryć zdenerwowanie, wyjaśniając:

- No dobrze, Jill, taki krój nazywamy empirowym ze względu na podniesioną talię. To oznacza odcięcie sukni tuż pod biustem, gdzie u ciebie wypada największy fragment torsu. Pozwala to sukni swobodnie opływać twoją sylwetkę prostymi fałdami, a dokładnie o taki efekt nam chodzi u kogoś o twoim typie sylwetki. Takie suknie spopularyzowała

Józefina Bonaparte, żona Napoleona, a sama przejęła ten styl z rzymskich strojów uwiecznionych na antycznych dziełach sztuki. A teraz, jak widzisz, suknia odsłania ramiona, bo ramiona masz takie ładne, że chcemy je pokazać. A tu, w tym miejscu, to ten oryginalny tartan, który zwiślał u starej sukni, a my go wykorzystujemy jako szarfę zawiązywaną pod biustem, widzisz? Podkreśla twoją podniesioną talię. No i wreszcie, rękawiczki, myślałam o takich za łokieć, żeby niemal sięgały tych opadających rękawków... Proszę. - Prowadzę ją w stronę dużego lustra. - Co o tym sądzisz? Myślę, że włosy powinnaś upiąć wysoko, może spuścić tylko parę luźnych loczków, żeby się utrzymać w tym stylu z greckiej urny...

Jill wpatruje się we własne odbicie. Trwa to jakąś minutę, zanim do mnie dociera, że jej milczenie nie wynika z rozczarowania. Oczy ma tak wielkie jak monety ćwierćdolarowe i tak samo błyszczące. Powstrzymuje łzy.

- Och, Lizzie! - Nic więcej nie jest w stanie wykrztusić.

- Jesteś niezadowolona? - pytam nerwowo. - To przecież ta sama suknia, ja tylko rozprułam parę szwów... No cóż, w zasadzie wszystkie. To nie było łatwe, ale moim zdaniem w takim fasonie ci do twarzy. Masz takie klasyczne proporcje, a nie ma nic bardziej klasycznego niż taka grecka tunika...

- Chcę to pokazać mamie - mówi Jill zduszonym głosem.

- Dobrze - zgadzam się, pośpiesznie stając za nią, żeby unieść długi na półtora metra tren, który dopięłam z tyłu sukni. - Wiesz to się podpięła w rodzaj takiego węzła tu, z tyłu, kiedy będziesz tańczyć. Ale chciałam, żebyś w kościele miała odpowiednią prezencję. No wiesz, katedra Świętego Patryka jest tak olbrzymia...

Ale ona już wybiega z zaleczka zakładu do frontowego pomieszczenia, gdzie czekającej matka i państwo Henri.

- Mamo! - krzyczy Jill, szarpnięciem odsuwając zasłonę oddzielającą pomieszczenia. - Patrz!

Pani Higgins krztusi się szampanem, który właśnie popijała. Madame Henri wali ją parę razy w plecy, a kiedy kobieta jest w stanie znów się odezwać, jej oczy błyszczą tak samo jak oczy córki.

- Och, kochanie. Wyglądasz przepięknie!

- Fakt - mówi Jill zaszokowana. - Wyglądam super, prawda?

- Absolutnie tak. - Pani Higgins podbiega, żeby się lepiej przyjrzeć. - To ta suknia, którą ona ci dała? Ta stara wiedźma... To znaczy, matka Johna?

- Tak, to ta suknia - potwierdzam. Robi mi się w środku jakoś dziwnie. Naprawdę nie umiem opisać tego uczucia. Ale to połączenie jednoczesnego ożywienia i radości. Jedyne sensowne porównanie to powiedzieć, że to tak, jakby ktoś otworzył szampana, ale we mnie, w środku. Albo, jakby powiedziała Tiffany, w bebechach. - Oczywiście, nieco ją przerobiłam.

- Nieco! - powtarza Jill i chichocze. Tak. Jill chichocze. Tranik chichocze. To postępek. To poważny postępek.

- Ale ona jest taka urocza - zachłystuje się pani Higgins. - Wygląda jak... Zupełnie jak księżniczka!

- Tak a propos, potrzebne nam przybranie głowy. Mówiłam Jill, że włosy powinna upiąć i z tyłu zostawić tylko kilka loczków na karku. Więc może diadem to wcale nie jest zły pomysł. Moim zdaniem naprawdę ładnie by wyglądał przy jej włosach...

Ale widzę wyraźnie, że nikt mnie nie słucha. Obie panie Higgins przyglądają się odbiciu Jill w sklepowym lustrze, cicho coś do siebie poszeptując i chichocząc. Patrząc na nie, trudno by przypuszczać, że zaledwie parę tygodni temu panna młoda płakała w damskiej łazience i często pojawiała się na przymiarki, woniejąc foczymi odchodami.

- No cóż - mówi do mnie madame Henri, kiedy podchodzę i dołączam do niej i męża, bo widać, że ani klientka, ani jej matka mnie nie słuchają. - Udało ci się.

- A owszem - potakuję, nadal lekko oszołomiona.

A potem madame Henri robi coś, co mnie zaskakuje. Chwyta mnie za rękę.

- Dla ciebie - mówi z uśmiechem.

A potem w tę rękę coś mi wciska. A ja opuszczam wzrok i widzę czek. A na nim sporo zer.

Tysiąc dolarów!

Kiedy znów podnoszę oczy, zauważam, że monsieur Henri minę ma zażenowaną, ale zadowoloną.

- Potraktuj to jako premię gwiazdkową - mówi po francusku.

Wzruszona, podbiegam spontanicznie, żeby go uściskać - a potem jego żonę.

- Dziękuję! - wołam. - Oboje państwo jesteście *fantastique*!

- Więc przyjdiesz, tak? - pyta mnie Jill, kiedy uważnie pomagam jej zdjąć suknię. - To znaczy na ślub, tak? I na przyjęcie? Wiesz, że jesteś zaproszona. Z osobą towarzyszącą. Możesz zabrać ze sobą tego twojego chłopaka, o którym tyle słyszałam.

- Och, Jill - mówię z uśmiechem. - Jesteś taka miła. Bardzo chciałabym przyjść. Ale Luke nie będzie mógł. Jedzie na święta do Francji.

Jill ma zaskoczoną minę.

- Bez ciebie?

i

Staram się, żeby mój uśmiech nie zbladł.

- Jasne. Ma odwiedzić rodziców. Ale nie martw się. Za nic w świecie nie zrezygnuję z twojego ślubu.

- Super. Więc będę wiedziała, że mam tam chociaż jedną przyjaciółkę. To znaczy, poza rodziną i kolegami z zoo.

- Moim zdaniem niedługo przekonasz się, że masz o wiele więcej przyjaciół, niż ci się zdaje.

Tego wieczoru, wracając do domu, czuję się tak, jakbym fruwała w powietrzu. Czek na tysiąc dolarów i zaproszenie na ślub są w tym najmniej ważne. Jestem w stanie myśleć tylko o tym, że jej się podobała - naprawdę jej się podobała!

I wyglądała w niej tak znakomicie! Dokładnie tak, jak się spodziewałam. Pani MacDowell padnie, kiedy zobaczy Jill wchodzącą do kościoła. Po prostu padnie. Dała swojej przyszłej synowej tę suknie, żeby ją upokorzyć, bo nie aprobowała decyzji syna.

I kto teraz będzie upokorzony, kiedy Kranik-Tranik okaże się piękniejszą panną młodą sezonu?

A ja tam będę i zobaczę to wszystko na własne oczy! Naprawdę, mam najwspanialszą pracę pod słońcem. Nawet jeśli nie zapewnią mi tego, co dałoby się nazwać regularnymi dochodami.

Nadal unosząc się w powietrzu, wchodzę do naszej kamienicy i wjeżdżam windą na górę. Nadal unosząc się w powietrzu, otwieram drzwi i znajduję Luke'a w domu. Świąteczka na choince się pali, a on trzyma w ręku butelkę wina i mówi:

- Wróciłaś! Nareszcie!

- Och, Luke! - wołam. - Nie uwierzysz mi. Ale ona jej się strasznie spodobała. A państwo Henri z okazji Gwiazdki dali mi premię, a Jill zaprosiła mnie na swój ślub, jaka szkoda, że cię to ominie. Ale najważniejsze jest, że ta suknia jej się naprawdę bardzo podobała. I świetnie w niej wygląda. Już nikt jej nigdy nie nazwie Tranikiem.

- Lizzie, to wspaniale! - Luke nalał nam obojgu po kieliszku wina. Dopiero teraz dociera do mnie, że pogasił światła - wszystkie, poza tymi na choince i paroma świecami. Przygotował deskę serów i parę miseczek

moich ulubionych przekąsek: pikantne orzechy i kandyzowaną skórę pomarańczową. Jest tak odświętnie - i tak romantycznie.

A potem mówi, podając mi kieliszek wina:

- No to naprawdę nie mógłbym ci kupić lepszego prezentu. Chcesz go teraz obejrzeć?

Nie mógłby mi kupić lepszego prezentu? Bo wszystko inne układa się tak dobrze, że jego oświadczenia będą po prostu idealnym zakończeniem wieczoru? Moim zdaniem tylko to mógł mieć na myśli.

- Oczywiście, że chcę go zobaczyć! - wołam. - Nie mogę się tego doczekać, odkąd postawiłeś tam to pudło!

- No cóż, ruszaj do dzieła. - Troszkę to dziwnie brzmi w odniesieniu do osoby, której zaraz się będzie oświadczać przy choince. Ale niech mu będzie.

Biorąc ze sobą kieliszek wina, idę, siadam na ziemi obok prezentu i czekam, aż on usiądzie obok swojego.

- Chcesz otworzyć pierwszy? - pytam, myśląc, że mój prezent dla niego naprawdę go rozczaruje po tych łzach radości, które nastąpią po jego prezencie dla mnie. Ale on mówi:

- Nie, ty pierwsza. Nie mogę się doczekać, co powiesz.

Więc zabieram się do rozpakowywania.

Kiedy ściągam papier i znajduję pod spodem wielkie pudło z napisem: Quantum-Futura CE-200, zaczyna mnie opuszczać to uczucie radosnego uniesienia. Ale kiedy widzę na pudełku zdjęcie maszyny do szycia, uniesienie wyparowuje doszczętnie.

A kiedy podnoszę na Luke'a pytający wzrok i widzę, że rozpromieniony zerka na mnie znad swojego kieliszka z winem, wcale nie wyglądając, jakby miał mi się zaimponować, zaczynam się czuć... No cóż, dość paskudnie.

- To maszyna do szycia! - woła. - W zamian za tę zepsutą przez tatę! Ale ta jest o wiele lepsza niż tamta, o którą się potknął. Sprzedawczyni w sklepie powiedziała, że to górna półka. Można na niej robić rozmaite hafty i tak dalej. W środku ma nawet mały komputer!

Mrugając, znów zerkam na wielkie pudło. „Inwestycja w moją przyszłość”. Tak powiedział.

No i faktycznie dał mi coś zgodnego z tymi słowami.

I nie mija chwila, a zaczynam płakać.

Rozdział 23

Miłość i skandal najlepiej osładzają herbatą.

Henry Fielding (1707-1754), angielski powieściopisarz

Co się stało?! - woła Luke, widząc, że się załamalam. - Co... Kupiłem nie taką, jak trzeba? Dlaczego płaczesz?

- Nie... Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że przy nim płaczę. Nie mogę uwierzyć, że nie umiem lepiej nad sobą panować. To jest żalosne. To nie jego wina. To moja wina. To ja wpadłam na ten idiotyczny pomysł, że skoro nazwał prezent dla mnie „inwestycją w moją przyszłość”, to miał na myśli... miał na myśli...

- Że co miałem na myśli? - pyta skonsternowany.

I wtedy, ku swojemu przerażeniu, zdaję sobie sprawę, że mówiłam to na głos. Nie! A przecież tak się starałam! Tak dobrze mi szło! Tak ładnie udawało mi się go wabić do ręki! Nie mogę go teraz walić po głowie pałką. Nie kiedy podszedł już tak blisko...

- Że zamierzasz dać mi pierścionek zaręczynowy. - Słyszę własny szloch. - I że poprosisz mnie o rękę.

No i już. Zrobiłam to. Wywaliłam kawę na ławę. Teraz już cały wszechświat wie - z Lukiem włącznie.

I dokładnie tak jak w głębi ducha wiedziałam - tak jak zawsze w jakiś sposób wiedziałam, nawet jeszcze zanim Shari i Chaz zaczęli mnie ostrzegać - że on jest przerażony.

- Że poproszę cię o rękę? - wybucha. - Lizzie... To znaczy, wiesz, że cię kocham. Ale... przecież my chodzimy ze sobą tylko od sześciu miesięcy!

Sześć miesięcy. Sześć lat. To przecieźżadna różnica. Zaczynam teraz to rozumieć. Są takie wśród tych płochliwych leśnych stworzonek,

które niezależnie, jak cierpliwie je przywabiasz... Niezależnie jak cierpliwie czekasz... Nigdy nie podejda do ręki. One nigdy nie pozwola się oswoić. Bo wolą wolne i nieskrępowane biegać po lesie.

I taki właśnie jest Luke. Wszyscy inni to wiedzieli. Tylko nie ja. Jestem jedyną idiotką, która nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Że on jest szczęśliwy, mieszkając ze mną. Tymczasowo. Ale że to nie na zawsze. Sześć miesięcy. Sześć lat. On nigdy nie będzie chciał się związać.

A przynajmniej nie ze mną.

- Myślałem, że tak jak jest, jest nam fajnie - mówi Luke. Chyba mu naprawdę przykro. - Bardzo dobrze mi się z tobą mieszka, jest świetnie, ale małżeństwo... To znaczy, Lizzie, ja nawet nie wiem, co będę robił w przyszłym roku, a co dopiero za cztery lata od teraz, kiedy już skończę medycynę, jeśli w ogóle zdołam ją skończyć! A przecież nawet nie wiem, czy mi się uda! Jak mógłbym prosić cię o rękę? Jak ja kogokolwiek mógłbym prosić o rękę? Ja w ogóle nawet nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciał się ożenić.

- Aha - mamroczę.

Bo co jeszcze mam na to powiedzieć? Najwyraźniej to rozmowa, którą powinniśmy byli odbyć już dawno temu. Bo jeśli on nawet nie jest pewien, czy kiedykolwiek będzie zainteresowany małżeństwem... I to nie tylko ze mną, ale w ogóle małżeństwem...

Chociaż może by uznał, że to coś dla niego, gdybym tylko rozgrywała sprawę spokojniej. No bo teraz, oczywiście, wszystko zepsułam; za dużo powiedziałam. A gdybym tylko zdołała nieco dłużej utrzymać język za zębami...

Ale nie. Za rok... Za dwa lata... On nadal będzie powtarzał to samo. Widzę to po panice w jego oczach. To zupełnie coś innego niż to, co widzę w oczach Johna MacDowella, kiedy patrzy na Jill. A nawet co widywałam w oczach Chaza, kiedy patrzył na Shari.

Jak mogłam być taka ślepa? Jak mogłam nie zauważyć, że w spojrzeniu Luke'a nigdy nie było tego czegoś?

- Nie ma sprawy - mówię łagodnie. Jestem tak strasznie zmęczona. Pracowałam tak ciężko. A jutro muszę wsiąść w samolot i lecieć do domu.

I dzięki Bogu. Teraz chcę tylko znaleźć się w domu i w objęciach mamy... Tak samo, jak w objęcia matki rzuciła się Jill, tylko z innego powodu. Ona ze szczęścia.

A ja? No, niezupełnie.

- Boże, Lizzie. Tak okropnie się czuję. Jeżeli kiedykolwiek zrobiłem czy powiedziałem coś, co kazało ci myśleć... Ale przecież opowiadałaś mi te rzeczy, na przykład o tym, jak bardzo chcesz otworzyć ten własny zakład. Więc po prostu założyłem, że czujesz podobnie jak ja. Że małżeństwo w ogóle jeszcze nie wchodzi w grę. Bo założmy, że się pobieramy. Co, jeśli się okaże, że będę musiał kończyć medycynę w Kalifornii? Musiałabyś rzucić swój zakład! Przecież nie chciałybyś tego zrobić. Rzucać dla mnie swojej firmy. Oczywiście, że nie. Albo założmy, że po studiach dostaję pracę gdzieś w Vermoncie, na przykład... Pojechałabyś ze mną do Vermontu?

Odpowiedź oczywiście brzmi: tak. Tak, naturalnie, pojechałabym. Pojechałabym wszędzie, Luke. Dokądkolwiek. I wszystko bym rzuciła. Jeśli tylko moglibyśmy być razem.

Ale najwyraźniej on tego nie czuje.

- Ja tylko... - Luke chodzi po domu i zapala lampy. Mrugam w nagłe jasnym pomieszczeniu. - Lizzie. Strasznie cię przepraszam. O Boże, naprawdę wszystko spieprzyłem, tak?

- Nie. - Kręcąc głową i grzbietem dłoni ścieram łzy z policzków. - Nie, nie spieprzyłeś. Przepraszam. To ja zrobiłam głupstwo. Wciąż myślę tylko o ślubach, najwidoczniej. Ryzyko zawodowe. Ja tylko...

- Tylko co? - pyta, podchodząc i obejmując mnie w talii. - Lizzie... Co mam zrobić, żeby wszystko między nami naprawić? Bo chciałbym. Naprawdę chcę, żeby nadal było tak fajnie...

- Tak - rzucam. I mam zamiar dać spokój tej sprawie. No bo o czym tu jeszcze mówić?

Ale jakoś, tym razem... Nie mogę. Po prostu nie mogę. Może to przez tę radość, którą widziałam na twarzy Jill. Może to dlatego, że zaczynam sobie zdawać sprawę, że kiedy jutro polecę do domu, nie będę mogła odpowiedzieć nonszalancko, kiedy któraś z moich sióstr spyta, czy to na moim palcu to nie jest czasem pierścienek zaręczynowy: „Och, tak, no cóż, rzeczywiście”. Sama nie wiem.

Ale tym razem zdaję sobie sprawę, że przyszła pora na szczerość. Wobec Luke'a. I wobec samej siebie.

- „Tak jak jest, jest nam fajnie”. Ale wiesz, Luke... Któregoś dnia chciałabym wyjść za mąż. Naprawdę. A jeśli ty nie... No cóż, to po co w ogóle być razem? To znaczy, nie-wydaje ci się, że lepiej byłoby, żebyśmy ze sobą zerwali, bo wtedy każde będzie mogło spróbować

znaleźć sobie taką osobę, z którą będzie mogła sobie wyobrazić jakąś przyszłość?

- Hej! - Luke przyciska usta do moich włosów. - Hej, nie mów takich rzeczy. Nie powiedziałem, że nie wyobrażam sobie z tobą przyszłości. Powiedziałem tylko, że na razie nie umiem sobie wyobrazić własnej przyszłości, a co dopiero przyszłości z kimś! Więc jakże mógłbym zakładać, że w niej będziesz... Niezależnie od tego, jak bym tego pragnął?

Opieram policzek na jego torsie. Czuję świeżo wykrochmalony materiał jego białej koszuli i lekki zapach wody kolońskiej, której używa po goleniu. To zapach, który przyzwyczaiałam się kojarzyć z radością i seksem.

Aż do tej pory.

- Rozumiem - mówię, łagodnie go od siebie odsuwając. - I naprawdę bardzo mi przykro. Ale muszę odejść.

A potem odwracam się i idę do sypialni, gdzie leży moja walizka na jutrzejszą podróż. Nie zapakowałam do niej tylko kosmetyków. Wchodzę teraz do łazienki, żeby je pozbiierać.

- Żartujesz sobie teraz, prawda? - Luke poszedł za mną. - To jakiś żart?

- To nie żart - mówię, chowając pastę do zębów i szczoteczkę do mojej torby na przybory do mycia Luscious Lana. Prawie nie widzę, co robię, bo oczy mam pełne łez. Głupie oczy.

Mijam go, żeby wepchnąć kosmetyczkę i torbę z przyborami do mycia do walizki. A potem wysuwam rączkę walizki i zaczynam ją ciągnąć w stronę drzwi.

- Lizzie. - Luke zastępuje mi drogę. Ma zaniepokojoną minę. - Co się z tobą dzieje? Nigdy cię jeszcze takiej nie widziałem...

- A co? - pytam ostrzej, niż zamierzałam. - Nigdy jeszcze nie widziałeś mnie rozgniewanej? No faktycznie. Bo wychodziłam ze skóry, żeby zachowywać się wobec ciebie jak najlepiej, Luke. Bo usiłowałam ci dowieść, że jestem ciebie warta. Warta tego, żeby być z takim świetnym facetem jak ty. To zupełnie tak, jak... Jak z tym mieszkaniem. To piękne mieszkanie. Próbowałam się zachowywać jak osoba, która mogłaby mieszkać w takim mieszkaniu... Mieszkaniu z małą dziewczynką Renoira na ścianie. Ale wiesz, co odkryłam? Ja nie chcę być taką osobą, która mogłaby mieszkać w takim mieszkaniu. Bo wcale nie lubię ludzi mieszkających w takich mieszkaniach - ludzi, którzy zdradzają w mał-

żeństwie i którzy pozwalają dziewczynie wierzyć, że czeka ich jakaś wspólna przyszłość, chociaż wcale nie czeka, bo ich nie interesuje małżeństwo, a tylko to, żeby na razie było fajnie. Bo mam wrażenie, że jestem warta czegoś więcej.

Luke gapi się na mnie.

- Ale kto zdradza w małżeństwie? - pyta zaskoczony.

- Zapytaj swoją matkę, z kim się umówiła na lunch w dzień po Święcie Dziękczynienia! - wypalam bez zastanowienia. W duchu wyrywa mi się jęk. No dobra, stało się. A teraz muszę się stąd wydostać. Już. - Do widzenia, Luke.

Ale Luke udaje, że nie rozumie i nie przepuszcza mnie do drzwi. Zamiast tego zaciska mocno szczęki.

- Lizzie - mówi zupełnie innym tonem niż do tej pory. - Zachowuj esz się idiotycznie. Jest dziesiąta wieczorem. Dokąd ty się niby wybierasz?

- A co cię to obchodzi?

- Lizzie, obchodzi mnie. Jak możesz tak po prostu stąd sobie wychodzić?

- Ponieważ nie zadowolę się tymczasowością. Mnie potrzeba czegoś na zawsze. Zasługuję na coś na zawsze.

Wymijam go, otwieram drzwi i wyciągam walizkę do holu, po drodze łapiąc tylko płaszcz i torebkę.

Naprawdę jednak trochę trudno jest zrobić dramatycznie wyjście, kiedy człowiek musi czekać na przyjazd windy. Luke stoi w drzwiach i patrzy na mnie.

- Wiesz, że nie pobiegnę za tobą - mówi.

Nie odpowiadam.

- I że jutro jadę do Francji - ciągnie.

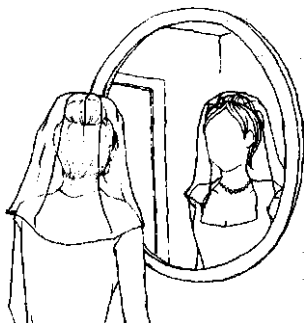
Patrzę na numery pięter, które wyświetlają się nad drzwiami windy, jeden po drugim. Trochę mi się rozmazują przed oczami przez te niewypłakane łzy.

- Lizzie - odzywa się tym swoim potwornie irytującym, rozsądnym tonem. - Dokąd macz zamiar pójść, co? Macz zamiar znaleźć sobie nowe mieszkanie przez ferie świąteczne? W tym mieście w tygodniu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem nic nie działa. Wykorzystajmy ten czas, kiedy nie będziemy się widzieli, żeby trochę ochłonać. Po prostu... I bądź tu, kiedy wrócę. Żebyśmy mogli porozmawiać. Dobrze?

Na szczęście winda wreszcie przyjeżdża. I nie przejmując się tym, sobie pomyśli słuchający nas operator windy, mówię:

- Żegnaj, Luke.

I drzwi windy się zamykają.



Rozdział 24

*Na świecie jest tylko jedna rzecz gorsza,
niż kiedy człowieka obmawiają,
a mianowicie, kiedy nic o nim nie mówią.*

Oscar Wilde (1854-1900), angielski dramatopisarz,
powieściopisarz i poeta

To moja wina - mówię.

- To nie jest żadna twoja wina - upiera się Shari.

- Nie. To moja wina. Powinnam go była zapytać. Jeszcze we Francji, powinnam go była zapytać, co myśli na temat małżeństwa. Wiesz? Mogłabym tego wszystkiego uniknąć, gdybym się nie bawiła w te wszystkie głupie gierki z płochliwą leśną zwierzyną. Gdybym raz w życiu otworzyła tę swoją niewyparzoną gębę właśnie na ten temat, oszczędziłabym sobie masy bólu i kłopotów.

- Tak - zgadza się Shari. - Ale nie miałabyś aż tyle fajnego seksu.

- Prawda! - Wzdycham przez łyzy. - Wielka prawda.

- Już lepiej? - pyta Shari, kładąc mi na czole chłodny okład.

Kiwam głową. Leżę na japońskim futonie jej dziewczyny, Pat, w ich przyjemnym, dużym salonie w mieszkaniu na Park Slope. Z każdej strony materaca siedzi wielki labrador. Scooter, ten z lewej, jest czarny, a Jethro, po prawej, złoty.

Chociaż dopiero je poznałam, już bardzo, bardzo, bardzo kocham te psy.

- I kto jest grzecznym chłopcem? - pytam Jethro. - No, kto?

Widzę, że Pat niepewnie zerka na Shari. Shari mówi:

- Nie martw się. Nic jej nie będzie. To tylko lekki szok.

- Nic mi nie jest. Jutro normalnie jadę do domu, odwiedzić rodzinę. Ale wrócę. Nie zostanę w Ann Arbor. Nowy Jork nie zdołał mnie przeżuć i wypluć. Nie tak, jak Kathy Pennebaker.

- Oczywiście, że wrócisz - odzywa się Shari. - Wracamy w niedzielę tym samym lotem, pamiętasz?

- Racja. Wrócę i sobie poradzę. I stanę na nogach. Bo zawsze wstaję na nogi.

- Oczywiście, że tak - potwierdza Shari. - A teraz my się już kładziemy spać, dobra, Lizzie? Ty zostań tutaj ze Scooterem i Jethro. A jeśli będziesz czegoś potrzebowała, czegokolwiek, to się nie wahaj, tylko przyjdź nas obudzić. Na wszelki wypadek na korytarzu zostawię światło. Okay?

- Okay - mruczę, a Jethro liże mnie po dłoni długimi, równymi liżnięciami. - Dobranoc.

- Dobranoc - mówią Shari i Pat. A potem wyłączają światło i wychodzą z pokoju.

Słyszę, że Pat szepcze do Shari:

- Zaraz. On jej naprawę dał maszynę do szycia?

- Tak - odszeptuje Shari. - A ona zdążyła wbić sobie do głowy, że to będzie pierścionek zaręczynowy.

- Biedactwo - mruczy Pat.

A potem już ich nie słyszę, bo idą do swojej sypialni i zamykają drzwi.

Leżę tam w półmroku i gapię się przed siebie. Wyszłam z mieszkania matki Luke'a, złapałam taksówkę i powiedziałam kierowcy, że ma mnie zawieźć na Park Slope. Musiałam zadzwonić do Shari, żeby poprosić ją o dokładny adres. Z mojego tonu wywnioskowała, że sytuacja jest podbramkowa i kazała mi przyjeżdżać natychmiast, nawet nie pytając o szczegóły. Przecież między innymi po to ma się najlepsze przyjaciółki.

Mieszkanie Pat jest bardzo ładne i przyjemne, mieści się w suterenie, jest tu mnóstwo boazerii i ścian w kolorze szałwi, a w koszyczkach z sufitów zwisają zielistki. Na ścianach wiszą ryciny kaczek. Na kocu, którym Pat okryła moje ramiona, kiedy zapłakana weszłam do środka, jest kaczka krzyżówka.

W kaczkach, traktowanych jako element wystroju wnętrz, jest coś szalenie uspokajającego. Osobiście nie wykorzystałabym we własnym domu motywu kaczki, ale jest mi przyjemniej na sercu, kiedy widzę, że robi to ktoś inny.

Być może, myślę sobie, leżąc pomiędzy Jethro a Scooterem, których gorące, śmierdzące oddechy uspokajają mnie niemal tak samo jak te kaczi, Shari i Pat pozwolą mi się do nich wprowadzić. Dopóki nie znajdę czegoś dla siebie. To byłoby fajne, trzy dziewczyny razem przeciw światu. Światu mężczyzn. Mężczyzn, którzy w swojej przyszłości nie widzą małżeństwa. .. A przynajmniej, nie z takimi dziewczynami jak ja.

- To moja wina - wciąż powtarzałam Shari, od momentu, kiedy przestałam przeskakiwać próg. - No bo skąd on ma wiedzieć, czy chce się ze mną ożenić, skoro poznał mnie zaledwie pół roku temu?

- No cóż, nawet jeśli małżeństwo nie jest dla niego ważne - powiedziała Pat dobitnym tonem - to mogło go oświecić, że będzie ważne dla dziewczyny, która zarabia na życie, szyjąc suknie ślubne.

- Ja naprawdę nie zarabiam tym na życie - poinformowałam ją.

- Ten facet to wredny drań - odparła Shari. - Masz, napij się.

Whiskey pomogła. Słuchanie, jak Shari nazywa Luke'a draniem, nie. Bo w głębi duszy wiem, że on draniem nie jest. To tylko facet, który jeszcze parę miesięcy temu nie wiedział, co chce zrobić ze swoim życiem. A raczej wiedział... Tylko bał się podjąć ryzyko i wprowadzić to w czyn. Dopóki się nie pojawiłam i go do tego nie zachęciłam.

Może to jest właśnie problem z tym małżeństwem. Może on po prostu obawia się ryzyka i przyznania, że rzeczywiście jest na tym świecie dziewczyna, z którą mógłby sobie wyobrazić spędzenie reszty swojego życia. Najwyraźniej, ja tą dziewczyną nie jestem. Ale może to tylko dlatego, że mimo tego, co sobie przez ostatnich sześć miesięcy wmawiałam, Luke i ja wcale nie jesteśmy dla siebie tacy idealni. Może ja jeszcze nie spotkałam swojego idealnego partnera. A może spotkałam, ale go nie dostrzegłam.

Albo, jak zawsze powtarza Chaz, człowiek sam sobie stwarza idealnego partnera.

Może prawda jest taka, że ślub to nie jest jeszcze początek i koniec świata. Mnóstwo bardzo szczęśliwych ludzi wcale nie żyje w małżeństwie. Nie siedzą i nie płaczą z tego powodu. Pewnie wybuchają śmiechem na sam pomysł, że mieliby kiedykolwiek pchać się w małżeństwo. Nie ma nic złego w życiu w pojedynkę...

.. i to właśnie powtarzam swojej matce i siostrom, kiedy następnego dnia jestem już w Ann Arbor. Bo oczywiście, po moich podkrążonych, zaczerwienionych od łez oczach one zgadują, że coś jest nie w porządku.

- Luke i ja zerwaliśmy ze sobą - mówię im. - On nie był gotowy na coś więcej, a ja owszem.

Rose i Sarah mają na ten temat parę błyskotliwych uwag.

Rosę:

- Wiedziałam, że to nie potrwa. No bo spotkałaś go na wakacjach. Wakacyjne związki nigdy długo nie trwają.

A Sarah:

- Faceci nigdy nie chcą się wiązać. Dlatego powinnaś po prostu zająć w ciążę. Kiedy już wie, że bułeczka rośnie w piecyku, decyduje się wyjątkowo szybko. A przynajmniej, kiedy jego mama się dowiaduje, że niedługo zostanie babcia.

Ale ja nie chcę zdobywać męża w taki sposób, w jaki zdobyły swoich Rose i Sarah. Bo to jest równie nieuczciwe, jak cała ta moja metoda na płochliwe leśne stworzonko.

I patrzcie tylko, do czego doprowadziła.

Na szczęście wigilijne wyznanie Shari, że ma dziewczynę, o czym informuje rodziców, odwraca całą uwagę ode mnie i szybko staje się przedmiotem plotek całej okolicy, a to dzięki pani Dennis i jej skłonności do natychmiastowego chwytania za telefon. Doktor Dennis, dowiaduję się później; zareagował na nowinę tylko tym, że zacisnął usta i powędrował do barku.

Ale pani Dennis wkrótce samowwłańczo mianowała się lokalną rzeczniczką RRPLG.

- To skrót od Rodzice, Rodziny i Przyjaciele Lesbijek i Gejów - z dumą wyjaśnia matka Shari mojej matce podczas świątecznego obiadu. - To taka krajowa organizacja pracująca na rzecz zdrowia i pomyślności osób homoseksualnych i biseksualnych oraz ich rodzin i przyjaciół.

- Jak to miło - mówi mama.

- Chciałabyś się zapisać? - pyta pani Dennis. - Mam tu ze sobą ulotkę.

- Och! - Mama odkłada widelec z kęsem puddingu yorkshire. - Bardzo chętnie.

Shari mruga do mnie okiem przez stół. „Zadzwoił?” - pyta bez słów. Bo Shari jest przekonana, że mimo tego, co mi się wydaje, to jeszcze nie koniec między mną a Lukiem, i że on do mnie zadzwoni, a potem porozmawiamy ze sobą i wszystko się wyjaśni.

Shari żyje w świecie fantazji. Pewnie przez te wszystkie kaczkę.

Boże Narodzenie w domu Nicholsów zawsze przypomina cyrk, bo mama zaprasza wszystkie swoje dzieci i wnuki* a poza tym jest babcia i Dennisowie oraz czasami jakiś doktorant taty, którego nie stać na bi-

let lotniczy do domu na święta, więc przychodzi, przynosząc nam jakąś świąteczną potrawę ze swojego rodzinnego kraju (dlatego nasz świąteczny obiad często składa się z wołowiny Wellington oraz malajskich *kofia* i koszyka świeżo upieczonych *poori*).

Nijk nie da się uciec od wrzasków bandy, która jeszcze nie skończyła szóstego roku życia, ani od ciągłego radosnego podśpiewywania z płyty mamy z *Kołędami Muppetów*, a doktorant taty cierpliwie uświadamia wszystkim przy stole, że efekt dekoncentracji czynnika pola radiacji da się zrekompensować za pomocą fałd na magnesach, które różnicują to pole azymutalnie. Rose natomiast przechodzi załamania nerwowe, bo na ostatnim teście ciążowym zobaczyła dwie błękitne kreseczki, zamiast jednej, której się spodziewała, a Sarah jest wściekła, bo prosiła o kolczyki z brylancikami w białym złocie, a jej mąż, Chuck, zamiast tego kupił kolczyki w oprawie ze złota żółtego. („Nie no, ja się pytam, czy on jest zupełnym daltonistą?”)

A ja ciągle ściskam w rękę swoją komórkę, czasami wydaje mi się, że zaczyna wibrować - ale to tylko bicie mojego serca, bo on jednak nie dzwoni, nawet po to, żeby złożyć mi świąteczne życzenia.

Przecież nie zadzwonię do niego, no jakżeby mogła?

A kiedy zaczynam szukać chwili oddechu od tej powodzi łez i paplalniny, które opanowały całą resztę domu, natykam się na babcię w pokoju wypoczynkowym w suterenie, usadowioną przed telewizorem w wygodnym fotelu, którego kupno wymogła na rodzicach, i oglądającą *Cudowny świat*- w oryginalnej czarno-białej wersji.

- Cześć, babciu - mówię i siadam na kanapie koło niej. - Jimmy Stewart, tak?

Babcia coś pomrukuje. Zauważam butelkę buda w jej dłoni. To jedna z tych specjalnych, mąż Rose napełnił je bezalkoholowym piwem, zamiast normalnego. Nie żeby to robiło jakąkolwiek różnicę. Babcia i tak będzie się później zachowywać jak pijana.

- Oni wtedy wiedzieli, jak kręcić prawdziwe filmy-- powiada babcia, butelką wskazując ekran. - Jak ten. I jeszcze ten drugi, z tym Rickiem? A, jasne. *Casablanca*. To były prawdziwe filmy. Nic nie wybuchalo, żadnych gadających małp. Tylko dobre dialogi. Nikt już nie pamięta, jak się powinno robić filmy. To zupełnie tak, jakby Hollywood cofnęło się w rozwoju.

Wydaje mi się, że komórka wibruje. Sekundę później muszę pochylić głowę, żeby ukryć łzy.

- Ten facet jest niezły - mówi babcia, wskazując butelką Jimmy'ego Stewarta. - Ale wolę tego Ricka, właściciela knajpy z *Casablanki*. Tak, to był prawdziwy mężczyzna. Pamiętasz, jak pomógł mężowi tamtej dziewczyny wygrać pieniądze, żeby nie musiała się za kasę przespać z tamtym Francuzem? Tak właśnie robi prawdziwy facet. I co dostał Rick za wszystkie swoje wysiłki? Nic. Poza świętym spokojem. Mnie nie interesują popisy tego całego Brada Pitta. I czego on w ogóle dokonał poza tym, że wiecznie ściąga koszulę i adoptował stadko sierot? Rick nigdy nie zdejmuje koszuli. On nie musi tego robić! Nie musimy oglądać go nago, żeby wiedzieć, że to prawdziwy facet! Dlatego zawsze wolę Ricka od takiego Brada Pitta. Bo to taki prawdziwy facet i nie musi zdejmować koszuli, żeby to komuś udowodnić. A dlaczego ty płaczesz?

- Och, babciu - krztuszę się. - Nic... Nic mi się nie udaje!

- Co się stało, zaszłaś w ciążę? - pyta babcia.

- Nie, babciu, oczywiście, że nie.

- Nie częstuj mnie takimi „oczywiście” - upomina babcia. - Twoje siostry nigdy nic innego nie robiły, tylko na prawo i lewo zachodziły w ciążę. Można by pomyśleć, że nie słyszały o kryzysie przeludnienia. No więc o co ci chodzi, skoro nie jesteś w ciąży?

- W-wszystko układało się tak dobrze - szlocham. - To znaczy, w N-nowym Jorku. Myślę, że naprawdę coś mi wyjdzie z tego interesu z renowacją sukien ślubnych. Wiem już, gdzie jest Pierwsza Aleja, a gdzie Pierwsza ulica. Wreszcie znalazłam fryzjera, na którego mnie stać, a który robi niezłe pasemka... A potem musiałam się rozpłakać, kiedy Luke dał mi prezent gwiazdkowy, bo ja sądziłam, że on mi da pierścionek zaręczynowy, a on mi d-dał... maszynę do szycia!

i Babcia w zamyśleniu pociąga łyk piwa. A potem mówi stanowczo:

- Gdyby twój dziadek kiedykolwiek dał mi na Gwiazdkę maszynę do szycia, oberwałby nią po głowie.

- Och, babciu! - Prawie na oczy nie widzę przez łzy. - Nie rozumiesz? Nie chodzi o prezent. Chodzi o to, że on nie chce się zenić, nigdy! Mówi, że myślami nie wybiega tak daleko w przyszłość. Ale babciu, nie uważasz, że jak się kogoś kocha, to nawet jeśli się nie wie dokładnie, co się będzie robiło za dwadzieścia lat od teraz, człowiek i tak wie, że chciałby mieć przy sobie tę akurat osobę?

- Oczywiście - zgadza się babcia. - A jeśli powiedział, że on tego nie wie, to bardzo dobrze zrobiłaś, że go pogoniłaś, gdzie pieprz rośnie.

- To trochę bardziej skomplikowana sprawa, babciu. To znaczy, nie mów mamie, ale Luke i ja... My ze sobą-mieszkaliśmy.

Babcia parska, słysząc tę informację.

- Jeszcze gorzej. Popróbował, a teraz nie jest pewien, czy wystarczająco cię lubi, żeby któregoś dnia zadeklarować się na stałe? Powiedz mu, żeby spadał. I w ogóle co on sobie wyobraża, że jest jakimś Bradem Pittem?

- Ale babciu, niektórzy faceci potrzebują więcej niż pół roku, żeby się przekonać, czy dziewczyna jest dla nich odpowiednia.

- Jeśli jest takim Pittem, to może i tak - rzuca babcia pogardliwie. - Ale nie, jeśli jest Rickiem.

Przetrawiam to przez parę minut. A potem mówię:

- Jeśli się wyprowadzę, będę musiała sobie znaleźć nowe mieszkanie. I płacić pewnie wyższy czynsz niż teraz. Bo w tym miejscu co teraz płacę mniej, jako jego dziewczyna.

- A co wolisz zachować? - pyta babcia. - Forsę? Czy własną godność?

- Jedno i drugie - mówię.

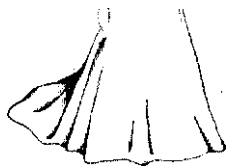
- A więc? Znajdź sposób, żeby mieć i jedno, i drugie. Poradzisz sobie z tym wyzwaniem. To ty zawsze biegasz i twierdzisz, że możesz wszystko naprawić za pomocą igły i nitki. A teraz idź i przynieś babci jeszcze jedno piwo. I tym razem prawdziwe. Mam już dość tego bezalkoholowego badziewia. To tylko puste kalorie bez żadnej przyjemności.

Wstaję i odbieram od babci pustą butelkę po piwie. Znow nie odrywa wzroku od ekranu. Jimmy Stewart biegnie ulicą, życząc panu Potterowi wesołych świąt.

- Babciu - pytam. - Jak to się dzieje, że tak bardzo lubisz Sully'ego z *Doktor Queen*, a nie cierpisz Brada Pitta? Przecież Sully też coś rusz jest bez koszuli?

Babcia patrzy na mnie tak, jakby mnie uważała za wariatkę.

- To telewizja - powiada. - To nie kino. To są dwie zupełnie różne sprawy.



Rozdział 25

*Plotka to sztuka mówienia o niczym w taki sposób,
że nic nie zostanie niedopowiedziane.*

Walter Winchell (1897-1972), amerykański prezenter wiadomości

Maszyna do szycia? - Tiffany kręci głową zgorzozona. - Nie. Nie wierzę.

- Nie chodzi już o maszynę do szycia. Bo to był tylko katalizator w tej rozmowie, w czasie której zrozumiałam, że on nie czuje do mnie tego samego, co ja czuję do niego.

Jest poniedziałek po świętach, pierwszy dzień w pracy, a mój drugi w Nowym Jorku. To, co mi zostało z niedzieli, poświęciłam na przeglądanie ogłoszeń, szukając mieszkania, na które - w przeciwieństwie do tego nad zakładem państwa Henrich, za który madame Henri chce dostawać dwa tysiące miesięcznie - będę mogła sobie pozwolić.

Ale to beznadziejna sprawa. Jedyne mieszkania w cenie tysiąca dolarów miesięcznie lub mniej są sublokatorskie. W New Jersey. I oczekuje się od potencjalnych współlokatorek otwartości w poglądach.

Szczególnie mnie to przygnębiało, kiedy siedziałam w tym apartamencie matki Luke'a na Piątej Alei, z tymi wszystkimi Miro na ścianach i schodami wejściowymi do Metropolitan Museum widocznymi tuż za podwójnymi szybami okien i czytałam jedno ogłoszenie po drugim z dopiskiem: *hombres de preferencia*.

Hombres! Nie chcę mieszkać z paroma *hombres*. Chciałam tylko jednego *hombre*...

A on nadal nawet nie zadzwonił ani nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości. Wróciwszy, zastałam mieszkanie w tym samym stanie, w jakim je opuszczałam... Czyste, z moją nową maszyną nadal w tym

pudle obok teraz już zupełnie uschniętej małej choinki. Pudełko, w które zapakowałam prezent dla Luke'a, leży obok choinki, nadal opakowane. Nawet nie chciało mu się obejrzeć, co kupiłam.

Ciekawe, czy mogłabym oddać oba prezenty do sklepów i odzyskać gotówkę. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

- Więc to nawet nie był żaden prezent - stwierdza Tiffany. - Bo jego tata zepsuł twoją maszynę do szycia. Czyli on ci kupił coś, co tak na dobrą sprawę był ci winien. Nawet nie coś... nowego. Ale coś, co już miałaś, tylko zostało uszkodzone.

- Jasne - mruczę. - Wiem. Okay?

- Ale rozumiesz... Co to w ogóle ma być za prezent? Gdyby Raoul coś mi zepsuł, albo gdyby, Boże nie pozwól, odwiedził nas jego tata i coś mi zepsuł, oczekiwałam, że to odkupi, a nie że będzie próbował zastąpić tym czymś prezent gwiazdkowy. Bo on nadal jest ci winien prezent.

- Wiem - mówię i z ulgą odbieram telefon. - Pendergast, Loughlin i Flynn, w czym mogę pomóc?

- Lizzie. - Ze zdziwieniem słyszę po drugiej stronie głos Roberty. - Czy Tiffany już tam jest?

- Owszem. - Tiffany jak zwykle przyszła do pracy wcześniej, chcąc mnie wypytać o ferie świąteczne i opowiedzieć o swoich, które spędziła w posiadłości matki chrzestnej Raoula w Hamptons, gdzie po pijaku kochali się na skórze białego niedźwiedzia, a Raoul podarował jej pierścienek z żółtym brylantem i etolę z lisów, którą nosi teraz w biurze, bo jak twierdzi: „To część tego kompletu”, składającego się ze spodni ze skóry węża i jedwabnej bluzki.

- Dobrze - mówi Roberta. - Czy możesz ją prosić, żeby przejęła centralkę? Chcę, żebyś przyszła do mnie do gabinetu. I łaskawie weź ze sobą płaszcz i torebkę.

- Och. Tak. - Powoli odkładam słuchawkę, czując, że krew w żyłach mi lodowacieje.

Po mojej minie Tiffany widzi, że stało się coś złego, bo odrywa wzrok od swojego pierścienka i pyta:

- Co jest?

- Roberta chce, żeby przyszła do niej do gabinetu. Natychmiast. I chce, żebym wzięła ze sobą torbę i płaszcz.

- O cholera - klnie Tiffany. - Cholera, cholera, cholera. Pieprzona suka. I to zaraz po Bożym Narodzeniu. Mówić tu o pieprzonym Grinchu.

Co ja takiego zrobiłam? Zachodzę w głowę, wstając i sięgając po płaszcz; Tak bardzo uważałam. Nikt mnie nie widział razem z Jill od tej pierwszej wpadki, jestem tego pewna.

- Słuchaj. - Tiffany zajmuje fotel, z którego właśnie wstałam. - To, że nie będziemy już razem pracować, wcale nie znaczy, że nie możemy się dalej przyjaźnić. Naprawdę cię lubię. Zaprosiłaś mnie na Święto Dziękczynienia na obiad. Nikt nigdy w tej cholerniej firmie nie zaprosił mnie do siebie. Więc ja będę z tobą w kontakcie. Słyszysz? Będziemy się trzymać razem. Jeśli będziesz chciała iść na pokazy w czasie Tygodnia Mody... Daj mi tylko znać. Rozumiesz?

Bezmyślnie kiwam głową i ruszani do gabinetu Roberty. Widzę, że ktoś już tam z nią jest. A kiedy podchodzę bliżej, poznaję, że to Julio, ten ze stanowiska ochrony na dole. Zastanawiam się, co Julio tutaj robi.

- Chciałaś mnie zobaczyć, Roberto - odzywam się, wchodząc do gabinetu.

- Owszem - mówi Roberta chłodno. - Lizzie wejdź do środka i zamknij drzwi, proszę.

Robię, o co poprosiła, nerwowo zerkając na Julia, który również nerwowo odwzajemnia moje spojrzenie.

- Lizzie • - zaczyna Roberta, nawet mnie nie prosząc, żebym usiadła. - Przypominasz sobie tę rozmowę, którą odbyłyśmy parę tygodni temu na temat zdjęcia, jakie zrobiła ci prasa zjedna z naszych klientek, Jill Higgins, prawda?

Kiwam głową, nie próbując nic mówić, bo z przerażenia w gardle zupełnie mi zaschło. Po co tu ten Julio? Czy ja złamałam prawo? Czy on mnie aresztuje? Ale przecież to nawet nie jest żaden glina...

- Zapewniłaś mnie wtedy, że twoja znajomość z panną Higgins nie ma żadnego związku z naszym biurem - ciągnie Roberta. - Więc wyjaśnij mi, z łaski swojej, dlaczego dzisiaj rano, otwierając „Journal”, zobaczyłam to.

Roberta podaje mi „New York Journal” otwarty na stronie drugiej...

...na której widać wielkie czarno-białe zdjęcie monsieur Henriego i jego żony, stojących przed drzwiami zakładu i uśmiechających się od ucha do ucha, a pod zdjęciem widnieje podpis: „Oto projektanci sukni ślubnej Kranika-Tranika!”

W pierwszej chwili czuję, że ogarnia mnie oburzenie. Jacy znów projektanci!? Nie oni zaprojektowali suknię Jill! To ja! Ja ją zaprojektowałam! Jak oni śmiały podawać się za...

Ale potem rzucam okiem na artykuł. Widzę, że państwo Henri niczego takiego nie twierdzili. Są absolutnie szczerzy co do tego, że to Elizabeth Nichols - według słów monsieur Henriego „niezwykle utalentowana młoda dama” - jest osobą, która dokonała renowacji sukni ślubnej panny Higgins, po tym jak pannę Higgins poznała „w biurze kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn, gdzie panna Nichols pracuje jako recepcjonistka, a panna Higgins zasięgała porady prawnej dotyczącej zawarcia kontraktu przedślubnego ze swoim narzeczonym, panem Johnem MacDowellem”.

A pod tym jest nieco zamazane, ale wystarczająco wyraźne zdjęcie mnie samej, kiedy wychodzę z drzwi tego samego budynku, w którym jestem w tej chwili.

A mnie przychodzi do głowy tylko jedna myśl: Sztruksowe Spodnie! To Sztruksowe Spodnie! Wiedziałam, że będę miała przez niego kłopoty od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam!

I jeszcze: dlaczego, o Boże, dlaczego państwo Henri musieli opowiadać im o mnie i o tym, gdzie poznałam Jill? Prawda, ja nigdy nie mówiłam im, że to jakiś sekret - ale dlaczego ja im w ogóle coś na ten temat opowiadałam? Wystarczyło przecież powiedzieć, że to moja znajoma. O Boże, jestem taką straszłą idiotką!

- Wiesz, jak bardzo nam tu, w kancelarii Pendergast, Loughlin i Flynn, zależy na utrzymywaniu dyskrecji co do spraw naszych klientów - mówi Roberta. Słyszę ją słabo, bo krew szumi mi w uszach. - Już wcześniej dostałaś ostrzeżenie. Wiesz że nie mam innego wyjścia i muszę cię teraz zwolnić.

Podnoszę oczy znad artykułu w gazecie i bardzo szybko mrugam. A mrugam nimi dlatego, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Zwalniasz mnie?! - wołam.

- Bardzo mi przykro, Lizzie - tłumaczy się Roberta. I naprawdę ma taką minę, jakby mówiła szczerze. Co pomaga. Trochę. - Ale rozmawiałyśmy o tym. Zadbam, żeby czek z ostatnią wypłatą został ci wysłany niezwłocznie. Potrzebuję tylko twojego klucza do biura. A potem Julio cię odprowadzi.

Policzki mi płoną. Grzebię w torebce, aż znajduję breloczek z kluczami. A potem odpinam od niego klucz do drzwi biura i go oddaję. A przez cały czas desperacko szukam w głowie jakiejś odpowiedzi na rzucone pod moim adresem oskarżenia. Ale nie znajduję. Ona mnie faktycznie ostrzegła. A ja nie posłuchałam.

A teraz muszę za to zapłacić.

- Do widzenia, Lizzie - żegna mnie Roberta tonem niepozbowionym sympatii.

- Na razie - mówię. Ale nadmiar śliny w ustach, spowodowany tym, że w tej chwili już otwarcie płaczę, nie pozwala mi dodać nic więcej. Pozwalam, żeby Julio przeprowadził mnie przez biuro, trzymając dłoń na moim ramieniu - i jestem świadoma, jak się na mnie wszyscy gapią, chociaż obraz przed oczami tak mi się rozmazuje, że właściwie trudno mi stwierdzić, czy oni się faktycznie na mnie gapią, czy może wcale - aż do windy. Zjeżdżamy na dół w milczeniu, bo w windzie są oprócz nas jeszcze inni ludzie.

Na parterze Julio prowadzi mnie aż do wyjścia, bo ja nadal nic nie widzę na oczy. A przy drzwiach zewnętrznych zatrzymuje się i mówi do mnie tylko jedno słowo:

- Szkoda.

A potem odwraca się i wraca do stanowiska ochrony.

Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz na mroźny Manhattan. Naprawdę, nie mam pojęcia dokąd idę. Dokąd mam pójść? Nie mam pracy i zaraz nie będę miała mieszkania. I nie mam też chłopaka, co wiecie, już kompletnie mnie dobija jako dodatek do właśnie straconej posady i perspektywy bezdomności. W sumie Kathy Pennebaker musiała się czuć podobnie, kiedy wreszcie zrozumiała, że Nowy Jork - to wielkie, pełne energii błyszczące od neonów miasto - pokonało ją i odesłało do domu.

Ja nawet widziałam Kathy Pennebaker, kiedy byłam w domu na święta. Widziałam ją w Kroger, gdzie pchała wózek z zakupami w dziale spożywczym, a była taka zmizerowana i zmęczona, że z trudem ją rozpoznałam.

Czy tak kiedyś będę wyglądać? Zastanowiłam się, patrząc na nią ze swojej kryjówki za pojemnikami z orzechami i suszonymi owocami. Czyja też przestanę się przejmować tym, co ludzie sobie o mnie pomyślą i będę chodziła po zakupy w za dużym T-shircie z napisem „Zapraszamy na wyścigi Nascar” i przyciasnych, za krótkich bojówkach (i to zimą)? Czy zacznę się umawiać z jakimś facetem, któremu wasy pożółkły od nikotyny i który robi zapasy syropu na kaszel; kupuje go aż tyle, że może planować wyłącznie domową produkcję zapasu metamfetaminy na weekend? Czy ja rzeczywiście kiedyś będę kupowała rzodkiew? To znaczy, na sałatkę, a może choćby tylko jako przybranie?

I wtedy, idąc ulicą zalaną łzami twarzą, próbując nie poślizgnąć się na błocie pod stopami, zdałam sobie z czegoś sprawę.

I to nie tylko dlatego, że nagle zorientowałam się, że stoję przed Rockefeller Center, z jego lodowiskiem i pozłacanym pomnikiem tego leżącego faceta, które są ikonami symbolizującymi Nowy Jork, tym bardziej że teraz nad nimi góruje ta rozświetlona choinka.

Nie. Mnie to nie spotka. Nigdy mnie to nie spotka. Ja nigdy nie pozwolę się oglądać publicznie w bojówkach w panterkę. I chyba nie zdołałabym się zmusić do spotkania z osobnikiem o poźółkłych wąsach. A rzodkiew nadaje się wyłącznie na dodatek do tacos.

Nie jestem Kathy Pennebaker. I nigdy Kathy Pennebaker nie będę. Nigdy.

W ten sposób, powziąwszy postanowienie, zawracam i zatrzymuję taksówkę - od jednego machnięcia ręką! Ja wiem! To był cud. I podaję kierowcy adres monsieur Henriego.

Kiedy przystaję przed ich kamieniczką, otwieram portmonetkę i przekonuję się, że nie mam gotówki - poza dziesięciodolarówką, którą dostałam kiedyś od babci.

Ale czy mam inne wyjście? Podaję banknot kierowcy, mówię, żeby zatrzymał resztę, i ruszam zamasyżować do środka zakładu, gdzie zastaję roześmianych państwa Henrich z parującymi kubkami kawy z mlekiem w dłoniach i talerzykiem magdalenek nad egzemplarzem „Journal”.

- Lizzie! - woła monsieur Henri z zachwytem. - Wróciłaś! Widziałaś? Widziałaś ten artykuł i zdjęcie? Jesteśmy sławni! Dzięki tobie! Telefon się urywa! A najlepsza wiadomość dotyczy Maurice'a! Maurice rezygnuje z zakładu przy tej ulicy i wynosi się do Queens! I ty to wszystko sprawiłaś! Wszystko dzięki temu artykułowi!

- Tak? - Zdejmuję szalik i z furją patrzę na tych dwoje. - No cóż, a ja dzięki temu artykułowi straciłam pracę.

Ich uśmiechy znikają.

- Och, Lizzie... - zaczyna madame Henri.

Uciszam ją, unosząc jeden palec.

- Nie - mówię. - Ani słowa. Najpierw wysłuchacie mnie. Po pierwsze, chcę trzydzieści tysięcy dolarów rocznie plus prowizję. Chcę mieć dwa tygodnie płatnych wakacji, pełne ubezpieczenie lekarskie i dentystyczne. Chcę przynajmniej jeden dzień chorobowego miesięcznie i dwa dni rocznie na urlop okolicznościowy. I chcę zamieszkać na górze, z czynszem i opłatami uregulowanymi przez firmę.

Oboje nadal gapią się na mnie, ze zdziwienia otwarłszy usta. Pierwszy zdołał się pozbierać monsieur Henri.

- Lizzie - zaczyna tonem człowiek zranionego. - Oczywiście zasługujesz na to, o co prosisz. Nikt nie twierdzi niczego innego. Ale nie wiem, jak w ogóle możesz nas prosić o...

Ale madame Henri ucisza go jednym:

- *Tais-toil*

A kiedy jej mąż patrzy na nią ze zdumieniem, ona mówi do mnie jasno i zwięźle:

- Bez dentystycznego.

Czuję taką ulgę, że prawie uginają się podę mną kolana.

Ale nie okazuję tego po sobie. Natomiast mówię, z całą godnością, na jaką mnie stać:

- Umowa stoi.

A potem przyjmuję ich zaproszenie na kawę z mlekiem i magdalenki. Bo kiedy człowiek ma złamane serce, przestaje liczyć węglowodany.

Rozdział 26

*Me wiem, jak wyglądała prawda, opowiadam historię tak,
jak opowiedziano ją mnie.*

Sir Walter Scott (1771-1832), szkocki powieściopisarz

Czekaj - mówi Chaz. - Więc on powiedział, że nie wyobraża sobie przyszłości z tobą?

Wnoszę po schodach do mojego nowego mieszkania przedostatnie narecze ubrań. Chaz, idący za mną, niesie ostatnie.

- Nie. Powiedział, że w ogóle nie myśli o przyszłości, kropka. Bo jest zbyt odległa. Czy coś takiego. I wiesz co? Prawdę mówiąc, sama już nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć. I dobrze, bo to już bez znaczenia.

Docieram na szczyt schodów, skręcam w lewo i jestem w swoim nowym mieszkaniu. We własnym mieszkaniu. A nie niczym innym. **Jest** czyste, umeblowane stylowymi, choć używanymi meblami, wszędzie jest wykładzina w odcieniu zgaszonego różu i ściany obite kremowymi tapetami w różowe różyczki, oprócz łazienki, która jest zwyczajnie beżowa, a podłogi są jeszcze bardziej pochyłe niż w mieszkaniu Chaza. Są tu tylko cztery okna - dwa w salonie, wychodzące na Wschodnią Siedemdziesiątą Ósmą, i dwa w sypialni, które wyglądają na dość ciemne podwórze - i kuchnia tak mała, że mieści się w niej wyłącznie jedna osoba.

Ale mogę się też pochwalić wielką wanną i prysznicem z bardzo gorącą wodą w łazience, i dwoma małutkimi, ale bardzo dekoracyjnymi kominkami - z których jeden, jakimś cudem, działa.

I jestem zakochana w każdym calu tego mieszkania. Włącznie z podwójnym, nieco zapadniętym łóżkiem, w którym niewątpliwie dwaj

młodzi panowie Henri popełniali jakieś niewysłowione bezceństwa, ale to nic takiego, na co nie można by zaradzić porządnym wietrzeniem materaca i nową pościelą z Kmart. Jest też malutki, czarno-biały telewizor z wewnętrzną anteną, który mam zamiar zastąpić kolorowym, jak tylko odłożę dość pieniędzy.

- Ale to mi brzmi zupełnie jak Luke - powiada Chaz, wchodząc do sypialni, gdzie wzdłuż jednej ściany ustawiłam swój wieszak. - No wiesz. To całe docieranie do mety, o którym mówiliśmy.

- Tak. - To już trochę ponad tydzień od mojego zerwania z Lukiem, jeśli rzeczywiście to właśnie zaszło w holu na zewnątrz mieszkania jego matki. Nie odezwał się do mnie ani słowem.

A mnie to wszystko jeszcze za bardzo boli, żebym mogła o tym rozmawiać.

Ale Chaz chyba nie jest w stanie mówić o niczym innym. Jak sądzę, to niewielka cena za jego pomoc w przeprowadzce - pożyczył samochód od rodziców i tak dalej. Mam wrażenie, że sądzi, że przynajmniej tyle powinien dla mnie zrobić, skoro to jego najlepszy przyjaciel złamał mi serce, a firma jego ojca odpowiada za to, że jestem chwilowo bez grosza przy duszy.

Ale stwierdziłam, że przynajmniej to ostatnie wyszło mi na dobre, bo zmusiło mnie do tego, żebym wreszcie zażyczyła sobie wynagrodzenia, na które sobie zasłużyłam, od swoich „prawdziwych” pracodawców. Nawet Shari zatkało to, co określiła, jajami, które nagle mi wyrosły”.

- Wolne od czynszu i jeszcze pensja? Dobra robota, Nichols. - Tylko tyle powiedziała przez telefon, kiedy zadzwoniłam przekazać jej nowiny.

Chociaż, jak się zastanowić, to wszystko przez nią. To ona zaczęła chodzić z Chazem, to ona nas wszystkich ściągnęła do chateau Luke'a zeszłego lata.

Dałoby się też udowodnić, że to wszystko przez Chaza. To on - jak zresztą sam przyznał na schodach przed chwilą - tamtego dnia w wiosce powiedział Luke'owi, jak bardzo uwielbiam colę light, a ja się w nim w efekcie tej troskliwości zakochałam.

I to Chaz załatwił mi tę pracę w Pendergast, Loughlin i Flynn, którą potem straciłam.

Oczywiście, gdyby nie zaprosił mnie do Francji, to ja bym nigdy nie poznała Luke'a. A gdybym się w Luke'u nie zakochała, pewnie nie przeprowadziłabym się do Nowego Jorku. A gdybym się nie przeprowadziła

do Nowego Jorku, nie dostałabym pracy w kancelarii taty Chaza i nigdy bym nie poznała Jill, i nie zrealizowała swojego marzenia o zostaniu certyfikowaną specjalistką od renowacji sukien ślubnych.

Więc to wszystko w gruncie rzeczy stało się przez Chaza.

Dlatego należała mi się takiego pomoc przy przeprowadzce.

- To tyle. Jesteś pewna, że to już wszystko? - pyta Chaz, kiedy odbieram od niego ostatnią sukienkę i wieszam ją na wieszaku.

Nawet jeśli nie, już teraz tam nie wrócę. Zostawiłam klucz do mieszkania matki Luke'a u odźwiernego wraz z liścikiem-krótkim, ale serdecznym - z podziękowaniem za dach nad głową i prośbą, żeby skontaktował się ze mną, gdyby trzeba było opłacić jakieś nieuregulowane rachunki czy załatwić inne, związane z mieszkaniem, sprawy.

W żaden sposób już nigdy nie zdołam pójść do Met. Za bardzo bym się bała, że wpadnę przypadkiem na niego. Chociaż będę tęskniła za biedną panią Erickson, dla której też zostawiłam pożegnalną karteczkę, bo nie wie nawet, że się wyprowadziłam, ponieważ wyjechała na święta do Cancun. Postałam przez chwilę przed dziewczynką Renoira i pożegnałam się z nią. Mam nadzieję, że następna dziewczyna Luke'a - kimkolwiek będzie - doceni jej wartość.

- Jestem pewna - mówię do Chaza.

- To ja chyba lepiej pojedę i oddam samochód. Wolałbym uniknąć tej świątecznej walki o parkowanie i tak dalej.

- No dobra. Prawie zapomniałam, że jest sylwester. Za parę godzin mam iść na ślub Jill. A to mi o czymś przypomina. Słuchaj, a ty w ogóle masz jakieś plany na wieczór? Bo skoro Luke'a nadal nie ma w mieście, a Shari... No cóż, jest z Pat... Masz coś na oku?

- W Honey's jest jakaś imprezka - mówi Chaz i wzrusza ramionami. - Pomyślałem, że tam się pokręcę.

- Spędzać sylwestra w barze karaoke wśród obcych ludzi? - Nie udaje mi się ukryć niedowierzania.

- To nie są obcy ludzie. - Chaz jest urażony. - Ten karzeł z laską? Ta barmanka, która zawsze wrzeszczy na swojego chłopaka? Ci ludzie są już dla mnie jak rodzina. Chociaż nie znam ich imion.

Aja nagle biorę go za ramię.

- Chaz - pytam. - Czy masz smoking?

I w ten sposób dziewięć godzin później stoję u boku Chaza w Wielkiej Sali Balowej hotelu Plaża (teraz przemianowanego na Luksusowy Apartamentowiec Plaża), w jednej dłoni trzymam kieliszek szampana,

a w drogiej wieczorową torebkę dobraną do mojej jedwabnej różowej wieczorowej sukni Jacques'a Fatha z 1950 roku, kiedy Jill Higgins, stojąca na klapie wielkiego koncertowego fortepianu, szykuje się, żeby rzucić swój bukiet.

- No już - mówi Chaz. - Daj mi te rzeczy. I lepiej tam idź.

- Och! - wzdycham. Kiedy już się upewniłam, że suknia Jill wygląda idealnie (a wyglądała) oraz że teściowa na jej widok wybałuszy oczy (wybałuszyła), nie miałam ochoty zostawać zbyt długo na przyjęciu. Dziwnie jest znaleźć się na ślubie, gdzie zna się jedynie państwa młodych, którzy, oczywiście, nie mają zbyt wiele czasu dla nikogo, poza rodziną, w czasie tego wielkiego dnia. Mimo to bawiłam się na tym ślubie nieźle. Chaz stwierdził, że za żadne skarby przed dwunastą nie wyjdzie („Nie wbijałem się w to ubranko dla małp, żeby się przebierać w dzinsy, zanim nie opadnie wielka kula”), i prawdę mówiąc, miał rację. Przyjaciele Jill z zoo byli zabawni do łez i tak samo jak ja czuli się tam nieswojo. A przyjaciele Johna okazali się wcale nie aż tak zarozumiali, jak oczekiwałam. Właściwie jedyną osobą, która na tym ślubie nie miała humoru, była matka Johna, a to najwyraźniej dlatego, że podsłuchiwała, jak Anna Wintour stwierdziła w rozmowie z kimś, że suknia Jill była „bardzo zmyślna”.

Zmyślna. Naczelnia „Vogue” powiedziała, że coś zrobionego moją ręką - no cóż, a przynajmniej przerobionego - jest „zmyślne”.

Co w zasadzie wcale mnie tak bardzo nie dziwi, bo sama uważam, że to całkiem nieźle pomyślana suknia.

W każdym razie widać wyraźnie, że prasa już nie będzie mówiła na Jill Trank-Kranik, a to chyba pogrążyło matkę Johna w depresji... Do tego stopnia, że teraz siedzi przy głównym stole, podpierając głowę dłonią, i odpędza od siebie zatroskanych kelnerów, którzy kręcą się wkoło niej z zimną wodą i aspiryną.

- Moi drodzy! - wrzeszczy Jill znad fortepianu. - Szykujcie się! Osoba, która złapie bukiet, jako następna wstąpi w związek małżeński!

- No idź - namawia mnie Chaz. - Potrzymam ci torebkę.

- Tylko jej nie zgub - ostrzegam. - Mam w niej igły, zapasowe przybory do szycia i wszystko.

- Mówisz jak pielęgniarka. - Chaz się śmieje. - Nie zgubię jej. No, leć.

Idę szybko na środek sali, gdzie druhny Jill i różne pracownice zoo zgromadziły się przed wielkim fortepianem, i myślę z niejaką konsternacją

nacją, że jak na kogoś, kto nigdy nie nosi nic poza džinsami i czapeczką bejsbolową, Chaz wygląda rewelacyjnie. Na jego widok aż mi serce za-
biło szybciej, kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam go za nimi w tym
„ubranku dla małp”, gotowego towarzyszyć mi na ślub.

No ale z drugiej strony mam wrażenie, że wszyscy mężczyźni pre-
zentują się świetnie w smokingach.

- Dobra! - woła Jill. - Teraz się odwróć i rzucę, żeby było spra-
wiedliwie. Jasne?

Wychodzę na środek i dołączam do wszystkich pozostałych dziew-
czyn. Widzę, że Jill mnie zauważa. Uśmiecha się i mruga do mnie okiem,
a potem się odwraca. O co jej chodzi?

- Raz! - woła Jill.

- Ja! - drze się obok mnie jakaś kobieta, którą rozpoznaję jako inną
opiekunkę fok z zoo. - Rzuć go mnie!

- Dwa! - woła Jill.

- Nie, tutaj! - krzyczy jakaś inna i podskakuje w swoim atłasowym,
jaskrawym kostiumie ze spodniami.

- Trzy! - woła Jill.

I jej bukiet z białych irysów i lilii leci w górę. Na moment zawisa
w powietrzu w złotawym świetle lejącym się spod sufitu. Podnoszę ręce,
nie robiąc sobie większych nadziei - nigdy w życiu nie udało mi się zła-
pać rzuconej mi piłki - i jestem niesamowicie zaszokowana, kiedy bu-
kiet trafia prosto w moje wyciągnięte dłonie.

- Wow - mówi Chaz, kiedy chwilę później podbiegam do niego
triumfalnie, żeby pokazać swój łup. - Gdyby Luke cię z tym zobaczył,
chyba zemdlałby z wrażenia.

- Strzeżcie się, kawalerzy z Manhattanu! - wołam, wymachując bu-
kietem. - Jestem następna, jestem następna!

- Jesteś pijana - stwierdza Chaz z zadowoloną miną.

- Nie jestem - mówię, zdmuchując włosy, które mi opadły na
twarz. - Upiłam się życiem.

- Dziesięć! - zaczynają skandować ludzie wkoło nas. - Dziewięć!
Osiem!

- Och! - wołam. - Nowy Rok! Zapomniałam o Nowym Roku!

- Siedem! - Chaz dołącza do okrzyków. - Sześć!

- Pięć! - drę się. Chaz ma rację, oczywiście. Jestem pijana. A po-
nadto, „zmyślna”. - Cztery! Trzy! Dwa! Jeden! Szczęśliwego Nowego
Roku!!!

Ludzie, którzy pamiętali, żeby wziąć w ręce noworoczne trąbki, rozdawane po ślubie, dmą w nie teraz z całych sił. Orkiestra zaczyna grać *Auld Lang Syne*. A ponad naszymi głowami zostaje zwolniona siatka, z której miękko spadają w dół setki białych balonów, niczym płatki śniegu, i stosami lądują na posadzce wokoło nas.

A Chaz obejmuje mnie, a ja obejmuję jego i kiedy zegar wybija dwunastą, radośnie się całujemy.

Rozdział 27

*Plotka podróżuje szybciej,
ale nie zatrzymuje się na tak długo jak prawda.*

Will Rogers (1879-1935),
amerykański aktor i komik

Budzi mnie głośnie walenie.

W pierwszej chwili mam wrażenie, że to coś mi tak wali w głowie, od środka.

Otwieram oczy i przez parę chwil nie mam pojęcia, gdzie jestem. A potem dochodzę do siebie i widzę, że to, co w pierwszej chwili wzięłam za wielkie różowe rozmazane plamy tańczące przed moimi oczami, to w gruncie rzeczy róże. I one są na ścianach.

Jestem w łóżku w swoim nowym mieszkaniu nad zakładem z sukniami ślubnymi.

A kiedy obracam się na bok, dociera do mnie, że nie śpię sama.

I że ktoś właśnie wali do drzwi.

Trochę dla mnie za wiele tych informacji naraz. Każda z nich z osobna mogłaby wystarczająco zbić z tropu. Ale kiedy docierają do mnie wszystkie razem, trwa to jakąś minutę, zanim udaje mi się jakoś przetrwać to, co się dzieje.

Najpierw zauważyłam, że nadal mam na sobie wieczorową suknię Jacques'a Fatha - pogniecioną teraz i poplamioną czekoladowym tortem. Ale jak najbardziej mam ją na sobie - podobnie jak obciskającą bieliznę, którą włożyłam pod spód.

Nie jest źle. Naprawdę nie jest źle.

Co więcej, zauważyłam, że Chaz też jest kompletnie ubrany. To znaczy nadal ma na sobie spodnie i żakiet od smokingu, chociaż chyba zgubił

gdzieś muszkę, a koszulę do połowy sobie rozpiął. Gdzieś zniknęły jego spinki do mankietów po dziadku, ze złota z onyksiem, o których mi opowiadał, pamiętam to - i posiadał też buty.

Łamię biedną, obolałą głowę, usiłując sobie przypomnieć, co zaszło. Jakim cudem Chaz - były chłopak mojej najlepszej przyjaciółki i najlepszy przyjaciel mojego byłego chłopaka - wprawdzie kompletnie ubrany, ale śpi ze mną w jednym łóżku?

A potem, kiedy docierają do mnie kolejne rzeczy - na przykład to, że bukiet Jill leży na stoliku obok łóżka, nieco podwiednięty, ale całkiem jeszcze w formie, a także to, że nigdzie jakoś nie widzę własnych butów - zaczynam sobie odtwarzać ciąg wydarzeń, które doprowadziły do tego zdumiewającego porannego odkrycia: Chaz i ja pocałowaliśmy się z okazji Nowego Roku. Zaczęło się jako takie przyjacielskie cmoknięcie... A przynajmniej ja go zamierałam tylko niewinnie cmoknąć.

Ale Chaz potem otoczył mnie ramionami i pocałunek zmienił nieco charakter.

Odepchnęłam go - ze śmiechem - i zobaczyłam, że on się wcale nie śmieje. A przynajmniej nie tak serdecznie jak ja.

- Daj spokój, Lizzie - powiedział. - Przecież wiesz...

Ale położyłam mu dłoń na ustach, zanim zdążył dokończyć, cokolwiek zamierzał powiedzieć.

- Nie - szepnęłam. - Nie możemy.

- Och, a czemu nie, do diabła? - spytał Chaz przez moje palce. - Tylko dlatego, że Shari poznałam najpierw? Bo wiesz, że gdybym najpierw poznał ciebie...

- Nie! - powtórzyłam, nieco mocniej zatykając mu dłońią usta. - Nie dlatego i ty to wiesz. Po prostu w tej chwili oboje jesteśmy bardzo bezbronni i samotni. I oboje zostaliśmy zranieni...

- Tym bardziej powinniśmy nawzajem poszukać w sobie pociechy - rzekł Chaz, biorąc moją dłoń i odsuwając ją od twarzy, po to, żeby mnie w tę dłoń pocałować! - Naprawdę uważam, że powinnaś na mnie wyżyć wszystkie swoje frustracje związane z Lukiem. Fizycznie. Obiecuję leżeć kompletnie bez ruchu, kiedy się tym zajmiesz. Chyba że będziesz chciała, żeby się poruszał.

- Przestań - powiedziałam, wrywając mu rękę. Jak on mógł do tego stopnia mnie rozśmieszać w chwili, która powinna być poważna? - Wiesz, że cię kocham. Jak przyjaciela. Nie chcę zrobić niczego, co mogłoby zagrozić temu związkowi. Przyjacielkiemu.

- A ja chcę - stwierdził Chaz. - Chciałbym zrobić mnóstwo rzeczy, które bardzo by zaszkodziły naszemu przyjacielskiemu związkowi. Bo my już zawsze będziemy przyjaciółmi, Lizzie. Niezależnie, co jeszcze się stanie. Naprawdę uważam, że powinniśmy teraz poważnie się skupić na fizycznej stronie naszej znajomości.

- No cóż - odparłam, nadal ze śmiechem. - W takim razie będziesz musiał cierpliwie poczekać. Bo moim zdaniem oboje potrzebujemy czasu, żeby odcierpieć to, co nam zrobiono... I żeby rany się zagoiły.

Chaz, co mnie wcale nie zdziwiło, skrzywił się na to z niesmakiem - zniesmaczała go chyba i sama ta myśl, i słowa, w jakie ją ujęłam. Ale ciągnęłam, niezrażona:

- Kiedy minie już trochę czasu i oboje nadal będziemy zainteresowani przeniesieniem naszej przyjacielskiej znajomości na inny poziom, możemy to ponownie rozważyć.

- A o jakim czasie mówimy? - spytał Chaz. - To znaczy, żeby przeboleć i wygoić? Dwie godziny? Trzy?

- Nie mam pojęcia - powiedziałam. Trochę trudno mi się było skoncentrować, zwłaszcza że nadal mnie obejmował i czułam, jak te spinki jego dziadka uwierają mnie w plecy przez materiał sukni. Ale nie tylko one mnie uwierały. - Przynajmniej z miesiąc.

Wtedy pocałował mnie jeszcze raz i zakołysaliśmy się w takt muzyki.

I chyba nie tylko z powodu szampana miałam wrażenie, że dokoła mnie spadają złote gwiazdy, a nie tylko te białe balony.

- No cóż, chociaż tydzień - powiedziałam, kiedy wreszcie pozwolił mi złapać oddech.

- Umowa stoi - rzekł. A potem westchnął. - Ale to będzie długi tydzień. A tak w ogóle, co ty tam masz pod spodem? - Trzymał dłonie na linii pasa moich majtek, które wyczuł pod suknią.

- Och, to tylko obciskająca bielizna - stwierdziłam, decydując się tu i teraz, że tak już będzie we wszystkich moich przyszłych związkach. Że będę w nich skrupulatnie, wręcz brutalnie szczerą - nawet na swoją niekorzyść - na przykład przyznając się przed facetem do noszenia obciskających majtek. I to w zasadzie nawet nie majtek, a pełnych kolarskich szortów.

- Obciskające - mruknął Chaz w moje włosy. - Perwersja. Nie mogę się doczekać, aż cię w nich zobaczę.

- No cóż - powiedziałam, natychmiast korzystając z kolejnej okazji do zaprezentowania brutalnej szczerości - z miejsca cię mogę zapewnić, że to nie będzie tak podniecające, jak sobie wyobrażasz.

- To tobie tak się wydaje. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że kiedy myślę o swojej przyszłości, widzę w niej wyłącznie ciebie. - A potem szeptem dodał: - I nie masz na sobie żadnej bielizny.

A potem podniósł mnie w górę, a ja nagle śmiałam się do tego sufitu, spod którego nadal leciały ostatnie białe balony, rysując w powietrzu leniwe, szerokie łuki.

Reszta tej nocy stanowi zamazany obraz kolejnych pocałunków, kolejnych kieliszków szampana, kolejnych tańców i kolejnych pocałunków, aż wreszcie wytoczyliśmy się z Plaża, i kiedy smugi różowego światła zaczynały barwić niebo nad East River, wsiedliśmy z trudem do czekającej taksówki, a potem jakimś cudem trafiliśmy do mojego łóżka.

Ale nic się nie zdarzyło. Najwyraźniej, nie zdarzyło się nic, bo (a) jesteśmy oboje kompletnie ubrani, oraz (b) ja na pewno nie pozwoliłabym, żeby cokolwiek się zdarzyło, i to niezależnie od ilości wypitego szampana.

Bo tym razem mam zamiar wszystko zrobić tak jak trzeba, a nie na sposób Lizzie.

I to się uda. Bo jestem „zmyślna”.

Leżę tutaj i rozmyślam właśnie nad tym, jaka to jestem „zmyślna” - oraz jak niechlujnie sypia Chaz, biorąc pod uwagę, że twarz wcisnął mocno w jedną z moich poduszek, i chociaż w przeciwieństwie do mnie ślina mu z ust nie cieknie, to jednak zdecydowanie chrapie - kiedy dociera do mnie, że ten odgłos, który brałam za walenie w mojej głowie spowodowane kacem, tak naprawdę dochodzi zza drzwi.

Ktoś wali w drzwi wejściowe do kamienicy - przy których jest wprawdzie domofon, ale zepsuty (madame Henri przysięgła mi, że zostanie naprawiony do końca przyszłego tygodnia).

Kto może walić do tych drzwi o - mój Boże! - dziesiątej rano w Nowy Rok?

Zwlekam się z łóżka i niepewnie wstaję. Pokój się kołysze... Ale potem dociera do mnie, że to tylko ta nierówna podłoga sprawia, że wydaje mi się, jakbym się zaraz miała przewrócić. No cóż, ta podłoga i ten okropny kac.

Przytrzymując się ścian, ruszam do drzwi mieszkania i je otwieram. Na wąskiej - i lodowatej - klatce schodowej prowadzącej na parter walenie rozlega się jeszcze głośniej.

- Już idę! - wołam, zastanawiając się, czy to może być kurier z UPS z dostawą dla zakładu. Madame Henri uprzedzała mnie, że stając się lo-

katorką mieszkania na górze kamieniczki, będę odpowiedzialna za odbieranie wszelkich przesyłek przychodzących po godzinach.

Ale czy UPS dowozi przesyłki w Nowy Rok? Przecież to niemożliwe. Nawet Brown musi dawać swoim pracownikom wolne w Nowy Rok.

Na dole schodów walczę z licznymi zamkami, zanim wreszcie udaje mi się otworzyć drzwi - chociaż nie zwalniam zabezpieczającego je łańcucha, w razie gdyby ten ktoś na zewnątrz był seryjnym zabójcą i/lub religijnym fanatykiem.

Przez dziesięciocentymetrową szparę między drzwiami a framugą widzę ostatnią osobę na świecie, której bym się tu spodziewała.

Luke'a.

- Lizzie - mówi. Ma zmęczoną twarz. I rozczłuszczoną minę. - Nareszcie. Walę już chyba z godzinę. Posłuchaj. Wpuść mnie. Muszę z tobą porozmawiać.

Spanikowana zatrząskuję drzwiami.

O mój Boże! O mój Boże! To Luke. Wrócił z Francji. Wrócił z Francji i przyszedł się ze mną zobaczyć. Po co on chce się ze mną widzieć? Nie dostał mojej zwijęzłej, ale miłej karteczki, na której zapisałam mu nowy adres, żeby wiedział, dokąd ma przysyłać pocztę, ale poinstruowałam też, żeby mnie tu nie szukał?

- Lizzie. - Znów wali do drzwi. - Proszę cię. Nie rób tego. Leciałem całą noc, żeby się do ciebie dostać i powiedzieć ci to. Nie zamykaj się przede mną.

O Boże! Luke jest pod moimi drzwiami. Luke jest pod moimi drzwiami...

.. a jego najlepszy przyjaciel śpi w moim łóżku na górze!

- Lizzie? Otworzysz te drzwi? Jesteś tam jeszcze?

O Boże! I co ja mam teraz zrobić? Nie mogę go tu wpuścić. Nie mogę mu pozwolić zobaczyć Chaza. Nie, żebyśmy z Chazem zrobili coś złego. Ale kto by w to w ogóle uwierzył? Luke nie uwierzy. O Boże. No i co teraz?

- Ja... Jestem tu - mówię i otwieram drzwi. Zdjęłam łańcuch, ale nie odsuwam się, żeby Luke mógł wejść do środka - chociaż strasznie marznę, stojąc na progu w swojej wieczorowej sukni, w podmuchach lodowatego wiatru. - Ale nie możesz tu wejść.

Luke patrzy na mnie tymi smutnymi ciemnymi oczami.

- Lizzie - zaczyna, nawet nie rejestrując faktu, że najwyraźniej spałam w ubraniu. I to nie w byle jakim ubraniu, ale w mojej wieczorowej

sukni Jacques'a Fatha, którą od lat trzymałam w szafie, czekając na wystarczająco odświętną okazję, żeby ją włożyć. Nie żeby on o tym wiedział. Bo nigdy mu nie powiedziałam.

- Zachowałem się jak totalny głupek - ciągnie Luke, ani na moment nie odrywając ode mnie oczu. - Przyznam, kiedy w zeszłym tygodniu poruszyłeś ten temat... To znaczy, sprawę małżeństwa... Naprawdę mnie zaskoczyłaś. Nie spodziewałem się tego. Ja naprawdę myślałem, że no wiesz, że ot tak sobie razem pomieszkujemy. Że tak nam jest fajnie. Ale dałaś mi do myślenia. I naprawdę nie mogłem przestać myśleć o tobie, chociaż prawdę mówiąc, próbowałem. Naprawdę próbowałem.

Stoję tam, drżę z zimna i gapię się na niego. Leciał ten kawał drogi do Ameryki i najwyraźniej spędził sylwestra w samolocie, żeby mi to powiedzieć? Że zrujnowałam mu świąteczne wakacje, chociaż bardzo starał się o mnie nie myśleć?

- Nawet rozmawiałem o tym z matką- mówi, a zimowe słońce wydobywa niebieskawe błyski w tych jego ciemnych jak atrament włosach. - Tak przy okazji, ona wcale nie ma żadnego romansu. Ten facet, z którym spotkała się w dzień po Święcie Dziękczynienia? To jej chirurg plastyczny. Wstrzykuje jej botoks. Ale nie o to teraz chodzi.

Przełykam ślinę.

- Aha - mamrocze. I nieco za późno dociera do mnie, że to dlatego powieki Bibi nie marszczyły się w kącikach, kiedy uśmiechała się, zapraszając mnie na święta do Francji, po prostu miała tam dopiero co wstrzyknięty botoks.

Ale to i tak niczego nie zmienia. Nie zmienia to faktu, że Luke zdecydował się spędzić święta z rodzicami, zamiast lecieć ze mną na Środkowy Zachód i poznać moich.

Przypominam sobie o tym, bo bardzo się staram uzbroić serce przeciwko niemu. Bo oczywiście rana wciąż jest świeża. Jak powiedziałam Chazowi, oboje nadal cierpimy.

Ale widok Luke'a na moim progu, takiego zmęczonego i bezbronnego, nie pomaga mi w tym zadaniu.

- To mama mi powiedziała, że zachowałem się jak ostatni idiota - ciągnie Luke. - To znaczy, trochę była wkurzona tym, że ją podejrzewałaś o romans. Próbowała po prostu ukryć ten botoks przed ojcem.

Nareszcie udaje mi się odkleić język od podniebienia na wystarczająco długą chwilę, żeby powiedzieć:

- Brak uczciwości w związku nigdy mu dobrze nie wróży. - Sama przekonałam się o tym najlepiej.

- Racja - mówi Luke. - Dlatego zdałem sobie sprawę z tego, jakie to szczęście, że mam ciebie. - Wyciąga rękę zmarzniętą pomimo rękawiczki i ujmuję moją dłoń. - Bo chociaż masz może reputację osoby, która trochę za wiele mówi, to jedno trzeba ci przyznać: zawsze mówisz prawdę.

Miłe. I prawdziwe. No cóż, na ogół.

- Czy przejechałeś taki kawał drogi, żeby mnie obrażać? - pytam, próbując mówić wyniosłym tonem, chociaż oczywiście chce mi się wyłączenie płakać. - Czy w ogóle w tym wszystkim do czegoś zmierzasz? Bo ja tu stoję i marznę...

- Och! - woła, puszcza moją rękę i pośpiesznie zrywa z siebie płaszcz, którym potem łagodnym gestem okrywa moje ramiona. - Przepraszam. Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy po prostu weszli do środka...

- Nie! - mówię stanowczo, wdzięczna za ten płaszcz. Chociaż teraz dla odmiany marzną mi stopy w pończochach.

- Dobrze. - Luke lekko się uśmiecha. - Skoro tak chcesz. Powiem po prostu to, z czym tu przyszedłem, a potem pozwolę ci odejść.

Tak. Bo oczywiście księżęta robią takie rzeczy. Lecą tysiące kilometrów po to, żeby ci powiedzieć: żegnaj.

Bo przecież jacy by byli, księżęta są zawsze nieskazitelnie uprzejmi. Żegnaj, Luke.

- Lizzie-mówi Luke. - Nigdy przedtem nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. Ty jakoś chyba zawsze wiesz, czego chcesz, i z miejsca po to sięgasz. Nie boisz się powiedzieć ani zrobić niczego. Podejmujesz ryzyko. Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo cię za to podziwiam.

Wow, jaka miła pożegnalna gadka.

- Ale w moje życie wkroczyłaś jak... No cóż, jak tsunami czy coś takiego. Ale w takim dobrym znaczeniu. Totalnie niespodziewana i totalnie nie do odparcia. Naprawdę, nie wiem, gdzie bym teraz był, gdyby nie ty.

Byłbyś w Houston ze swoją byłą, chcę powiedzieć.

Ale nie mówię tego. Bo jestem trochę ciekawa, co powie teraz. Chociaż najbardziej wolałabym pobiec na górę i wrócić do łóżka.

- Ja nie jestem takim człowiekiem, który umiałby sięgać po to, czego pragnie - ciągnie. - Chyba jestem zbyt ostrożny. Muszę przyjrzeć się wszystkim możliwościom, rozważyć wszystkie za i przeciw...

Tak, wiem.

Żegnaj, Luke. Żegnaj na zawsze. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo cię kochałam...

- I dlatego aż tyle czasu mi zajęło, zanim zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę chcę ci powiedzieć to... - Teraz grzebie w kieszeni swoich ciemnoszarych spodni. A ja się zastanawiam, po co to robi? Próbuje mnie zwyczajnie torturować? Czy on nie ma pojęcia, z jakim wysiłkiem opanowuję ochotę, żeby mu się rzucić w ramiona? Dlaczego nie może po prostu już sobie pójść? - Coś, co chyba zawsze chciałem ci powiedzieć od dnia, kiedy cię poznałem w tym zwariowanym pociągu, to znaczy...

Aha, „wynoś się z mojego życia i nigdy się już ze mną nie kontaktuj”.

Ale on wcale tego nie mówi.

Natomiast z jakiegoś powodu przykłęka na jedno kolano przed wejściem do zamkniętego zakładu renowacji sukien ślubnych, na oczach pani wyprowadzającej psa na spacer, faceta w furgonetce, który szuka miejsca do parkowania, i całej reszty mieszkańców Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej ulicy.

I chociaż nie wierzę własnym oczom, i jestem przekonana, że to moje zmęczone, skacowane oczy płatają mi figla, wyciąga z kieszeni czarne aksamitne pudełeczko, otwiera je i w świetle poranka skrzy się duży brylant w pierścionku.

Tak. On to naprawdę robi. A z jego ust padają słowa. I te słowa brzmią:

- Lizzie Nichols, czy zostaniesz moją żoną?

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Beth Adler, Barbarze Cabot, Carrie Feron, Michele Jaffe, Laurze Langlie, Sophii Travis, a zwłaszcza Benjaminowi Egnatzowi.